

# morze i ziemia



Fot. Stefan Cieślak



W  
S  
Z  
M  
C  
s.  
IS

Na  
Se  
Z.  
MA  
sta  
go

# morze i ziemia

Pr III 01262

ALMANACH  
SPOŁECZNO-KULTURALNY

styczeń 1981 r.

Zamek Książąt Pomorskich  
ul. Korsarzy  
70-540 Szczecin



5648

nr. [9]

008:301](438)(059)

## REDAKCJA:

Ryszard Dżaman  
Janusz Janowski (Red. graficzny)  
Jerzy Jurczyk  
Zbigniew Kosiorowski (Red. naczelny)  
Marian Kowalski (Sekretarz)  
Kazimierz Kozłowski  
Artur D. Liskowacki  
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)  
Wojciech Termanowski (Fotoreporter)  
Lidia Wójcik (Red. techniczny)  
Halina Kuźma

## RADA PROGRAMOWA:

Janusz Bukowski  
Henryk Chmielowski  
Bogdan Dopierała  
Eugeniusz Daszkowski  
Michał Hempoliński (Przewodniczący rady)  
Jerzy Pachłowski  
Walerian Pawłowski  
Guido Reck  
Jerzy Piskorz-Nałęcki  
Romuald Sawicki  
Aleksander Winnicki

## WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury  
Zamek Książąt Pomorskich  
Materiały złożono w lipcu ub.r.

Cena zł 20,—

S.Z.Graf. Zam. nr 1451/I/A, 3000+25, U-5

ISSN 0137-365 X

## Na okładce:

Scena z mimodramu „Mieć albo być” w reżyserii  
Z. Zdanowicza — fot. Z. Ryngwelski (strona 1)  
MARIA TALAGA KORPALSKA — bez tytułu z wy-  
stawy pokonkursowej o nagrodę „Konika Morskie-  
go '80” w Szczecinie — fot. Z. Ryngwelski (strona 4)

## W NUMERZE:

ANTONI CZUBIŃSKI, Rola Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w rozwiązaniu problemu niemieckiego po II wojnie światowej . . . . .	1
WOJCIECH BAJEROWICZ, Hajnrysiowi łatwiej . . . . .	6
STEFAN CIEŚLAK . . . . .	10
KARIN MATHISEN, Wiersz . . . . .	12
HALINA KUZMA, Moje skandynawiana . . . . .	12
PIOTR JAWORSKI, O nową perspektywę dla marynistyki . . . . .	14
IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI, Xeros . . . . .	18
BOGDAN WOJTCZAK, Studio sztuki mimu . . . . .	21
ARTUR DANIEL LISKOWACKI, W literaturę — bez metryki . . . . .	23
JANUSZ ADAM KOBIERSKI, Wiersze . . . . .	27
CZESŁAW MARKIEWICZ, Wiersze . . . . .	28
ALINA GŁOWACKA, Piękne, bo nie ma skończoności . . . . .	29
STEFAN PASTUSZEWSKI, Wiersze . . . . .	33
KAZIMIERZ KOZŁOWSKI, Inicjatywy kulturalne Szczecina w latach 1956—1959 . . . . .	34
JERZY JURCZYK, W labiryncie paryskich galerii . . . . .	37
JAN MAREK, Czy Krzysztof Zanussi jest pisarzem? . . . . .	39
MAREK KOSZUR, Ojciec Kosko . . . . .	41
HALINA LIZIŃCZYK, Poetka morska — Deotyma . . . . .	45
BRONISŁAW SŁOMKA, Siedlisko . . . . .	49
DANUTA KRET, Na Osiedlu Słonecznym nie ma szkoły . . . . .	51
ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI, Wiersz . . . . .	53
MARIAN KOWALSKI, A serce jego nie pękło . . . . .	54
ZBIGNIEW KOSIOROWSKI, Kaes . . . . .	57
STANISŁAW ZAJĄCZEK, Zagadki chromosomu Y . . . . .	59
CEZARY KOWALSKI, Wiersz . . . . .	60
HALINA LIZIŃCZYK, Analizy, część I . . . . .	61
JĘDRZEJ PORADA, Portowe problemy i perspektywy . . . . .	62
KRONIKA . . . . .	62-63
PIOTR FLUKS, Czas i ogień . . . . .	64

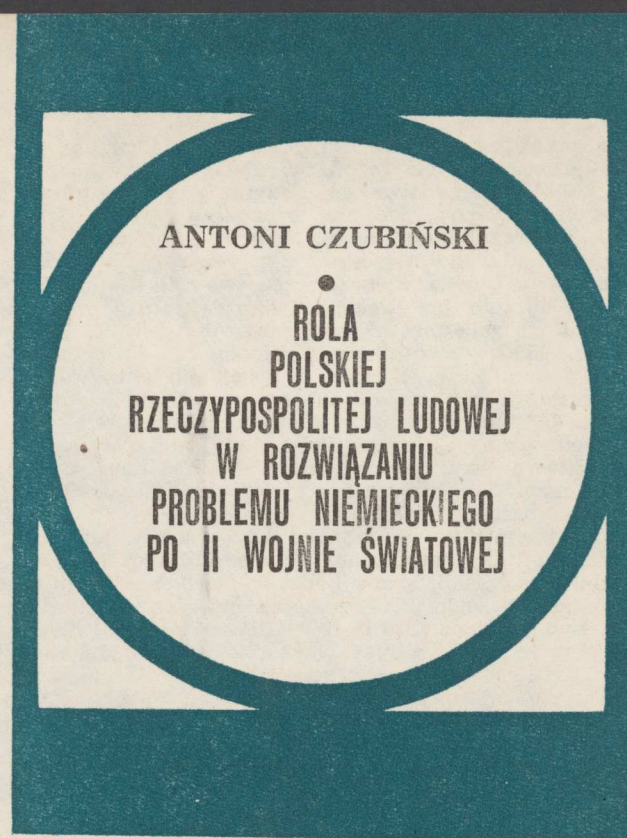
Fakt rozpetania II wojny światowej, dokonane przez hitlerowców w toku tej wojny podboje i zbrodnie ludobójstwa wstrząsały opinią publiczną świata. Obok dążenia do ukarania agresora i zbrodniarzy wojennych na pierwszy plan wysunęło się występujące już po I wojnie światowej dążenie do takiego rozwiązania problemu niemieckiego, by raz na zawsze przekreślić groźbę ekspansji i podbojów zagrażających ludzkości ze strony tego kraju.

### Stanowisko polskich obozów politycznych

Stanowisko rządu polskiego w kwestii niemieckiej w okresie międzywojennym nie było jednolite i nie pokrywało się w pełni z opinią większości społeczeństwa polskiego. Z wyjątkiem nielicznej grupy publicystów o poglądach germanofilskich z Władysławem Studnickim, Adolfem Bocheńskim i Stanisławem Cat-Mackiewiczem na czele, społeczeństwo to było w całości bardzo wyczułone na niebezpieczeństwo zagrażające narodowi polskiemu ze strony militarystyki niemieckiej. Spośród działających w Polsce burżuazyjnych ugrupowań politycznych czołową rolę w mobilizowaniu opinii publicznej przeciw zagrożeniu ze strony odwetowców niemieckich spełniała endecja. Już w 1918 r. pojawiły się publikacje podkreślające słowiańską genezę Berlina i Prus oraz postulujące przesunięcie granicy państwa polskiego daleko na zachód. Przywódcy tego kierunku politycznego odegrali też poważną rolę w przygotowaniu i przeprowadzeniu Powstania Wielkopolskiego i trzech powstań śląskich, które wbrew stanowisku nacjonalistów niemieckich zdecydowały ostatecznie o tym, iż odrodzone państwo polskie przejęło część ziem zagrabionych w przeszłości przez Prusy. W latach następnych przywódcy endecji reprezentowali te grupy burżuazji polskiej, które skłonne były szukać porozumienia z Francją i częściowo z ZSRR w celu stworzenia wspólnego frontu antyniemieckiego. Z inicjatywy tego obozu politycznego w Poznaniu ukształtował się silny ośrodek tzw. polskiej myśli zachodniej. W kwestii niemieckiej endecja reprezentowała nieprzejednany nacjonalizm polski, przywódcy jej nie odróżniali zniewolonych przez junkrów i burżuazję niemieckich mas ludowych od nacjonalistów i militarystów pruskich. Większość postulatów endeckich miała nierealny charakter i napotkała na opór pozostałych ugrupowań politycznych. Ponadto przywódcy endecji wywierając istotny wpływ na kształtowanie opinii publicznej, zwłaszcza przez prasę, nie posiadali w zasadzie wpływu na kształtowanie polityki zagranicznej państwa.

Polityka zagraniczna II Rzeczypospolitej kształtowała się pod przemożnym wpływem piłsudczyków, którzy generalnie biorąc nie doceniali niebezpieczeństwa zagrażającego Polsce i innym państwom Europy środkowo-wschodniej ze strony imperializmu niemieckiego. Obóz ten reprezentował antyrosyjską orientację burżuazji polskiej. Zabezpieczenia suwerenności państwowej piłsudczycy szukali w koncepcji federacji państw rozciągających się pomiędzy Niemcami i ZSRR od Bałtyku do Morza Czarnego. W latach 1932–1933 koncepcje te realizował J. Beck w postaci tzw. „międzymorza” lub „polityki balansowania”. Polityka ta miała pasywny charakter i nie mogła prowadzić do ograniczenia ekspansji niemieckiej. Skrajna antyradzieckość powodowała, iż w praktyce Polsce groziło zejście na pozycję satelity III Rzeszy. Sanacyjna polityka w kwestii niemieckiej nie tylko nie prowadziła do rozwiązania kwestii niemieckiej, lecz zakończyła się pełną katastrofą państwa polskiego.

Przywódcy ruchu ludowego w okresie międzywojennym nie wypracowali własnej oryginalnej koncepcji w kwestii niemieckiej; stanowisko ich było w zasadzie pochodną koncepcji endeckich. Natomiast ruch socjalistyczny w sposób najbardziej pełny w Polsce wyrażał założenie mieszczańskiego pacyfizmu. Socjaliści krytykowali traktat wersalski, popierali natomiast działalność Ligi Narodów, akcję rozbrojenia i koncepcje paneuropejskie. W uchwale XXII Kongresu PPS z maja 1931 r. ostrzegano m.in.: „co do Niemiec socjalizm polski stwierdza znaczne niestety postępy faszyzmu hitlerowskiego i rosnące wpływy reakcji nacjonalistycznej na rządy niemieckie. PPS uczyni ze swej strony wszystko, co będzie mogła, aby mimo wszystkie trudności ułożyć stosunki między obu narodami w sposób pokojowy; właśnie dlatego jej przedstawiciele w Sejmie polskim głosowali za umową likwidacyjną i traktatem handlowym licząc, że w ten sposób spotęgują wysiłki pacyfikator-



skie w Niemczech...”<sup>1</sup>. Dopiero w obliczu pełnego zagrożenia ze strony III Rzeszy w czerwcu 1939 r. Rada Naczelna PPS wezwała do odparcia zakusów hitlerowskich, odrzucając hasła neutralizmu i pacyfizmu. W dalszym ciągu liczyła jednak na Ligę Narodów i jej możliwości zażegnania konfliktu.

### Koncepcja Komunistycznej Partii Polski

W okresie tym w społeczeństwie polskim jedynie KPP posiadała nie tylko oryginalną, ale również w pełni realną koncepcję rozwiązania kwestii niemieckiej. Komuniści odrzucali tak piłsudczykowski germanofilizm, socjalistyczny pacyfizm jak i endecki nacjonalizm w kwestii niemieckiej. Rozwiązanie tej kwestii widzieli oni w rewolucji społecznej, która obalając niemieckie klasy posiadające miała wykorzenić wszelkie tendencje nacjonalistyczne, militarystyczne i imperialistyczne, w Niemczech. Ruch rewolucyjny postulował zrównanie w prawach wszystkich dużych i małych narodów, ich internacjonalistyczną współpracę i sojusz w postaci Federacji Republik Radzieckich Europy. Stanowisko partii komunistycznej w kwestii niemieckiej sprecyzowane zostało dość szczegółowo jesienią 1923 r. w uchwałach II Zjazdu KPRP. Zjazd obradował w atmosferze wielkich nadziei związanych z narastaniem fali rewolucyjnej w Niemczech. Fakt ten spowodował szczególne zainteresowanie partii kwestią niemiecką i rewolucyjną perspektywą ułożenia stosunków w Europie. Przechodząc przed ewentualnym zaangażowaniem się burżuazji polskiej w walkę przeciw siłom rewolucyjnym w Niemczech, Zjazd stwierdzał m.in.: „zwycięstwo kontrrewolucji, zdławienie rewolucyjnych Niemiec i rewolucyjnej Rosji oznacza: zalanie Europy krwią robotniczą, przywrócenie Rosji Mikołajów Mikołajewiczów i Niemiec junkrów hakastystycznych. Byłby to rychły grób Polski niepodległej, a dla ludu polskiego niewola straszliwa”<sup>2</sup>.

Komuniści polscy przywiązywali dużą nadzieję do rewolucji, licząc, że zwycięstwo rewolucji w Rosji i w Niemczech przyspieszy jej zwycięstwo w Polsce, że fakt ten rozwiąże wiele nabrzmiałych i skomplikowanych problemów w Polsce i w Europie.

„Zwycięstwo rewolucji proletariackiej w Niemczech — stwierdzono w uchwale — będzie gwarancją wolności i niepodległości Polski robotniczo-rolniczej opartej na bratnim sojuszu i na rozkwicie gospodarczym ludów w sfederowanych robotniczo-rolniczych Stanach Zjednoczonych Europy Socjalistycznej”<sup>3</sup>. W innym fragmencie uchwał problem ten podkreślono jeszcze dobitniej pisząc: „Zatopienie we krwi lub zamorzenie głodem rewolucji niemieckiej oznacza nie tylko zwycięstwo reakcji, pogębienie robotnika i chłopca, lecz także wskrzeszenie

dwóch potęg zaborczych: kajzerowskiej i carskiej, a przeto groźbę nowych rozbiorów Polski... Trwała niepodległość Polski możliwa jest jedynie pod rządami robotników i chłopów, jedynie w sojuszu z robotniczo-chłopskimi republikami Rosji, Niemiec i innych sąsiednich narodów. Tylko zwycięska rewolucja w Niemczech usunie raz na zawsze niebezpieczeństwo zdlawienia Polski przez burżuazyjne Niemcy. Tylko dyktatura proletariatu w Rosji zabezpiecza przed powrotem caratu. Tylko wreszcie, władza robotników i chłopów w Polsce gwarantuje ludom Rosji, Niemiec i sąsiednich narodów, że mają w Polsce nie wroga i zaborcę, lecz brata od młota i pług. Jedynie w ramach Robotniczo-Chłopskich Stanów Zjednoczonych Europy Polska znajdzie niewzruszoną podstawę swej niepodległości<sup>4</sup>. W innej części uchwał mówiono o utworzeniu Federacji Wolnych Republiki Robotniczo-Chłopskich Europy.

W podobnym duchu komuniści wypowiadali się wielokrotnie, piętnując współpracę klas posiadających Polski i Niemiec, nacjonalistyczną politykę podsycania konfliktów ze strony endecji i sanacyjną politykę współpracy z Hitlerem. W lipcu 1936 r. KC KPP opublikował deklarację przeciw hitleryzacji Gdańska, w deklaracji stwierdzono: „Hitler okraża Polskę. Zamach hitlerowski w Gdańsku to zapowiedź rozbiorów Polski, to bezpośrednia groźba dla niepodległości naszego narodu. Zabór Gdańska przez Hitlera to klucz do nowego rozbioru Polski<sup>5</sup>. W czerwcu 1937 r. KC KPP opublikował odezwę wzywającą masy ludowe do obrony zagrożonego przez Hitlera Górnego Śląska; masy pracujące Śląska wzywano, by stworzyły „potężny front ludu śląskiego dla walki z Hitlerem i jego lokajami w Warszawie”; wysuwano żądanie zerwania porozumienia z III Rzeszą, umocnienia współpracy z ZSRR i innymi siłami pokojowymi świata<sup>6</sup>.

### Polityka rządu emigracyjnego

W okresie wojny koncepcje poszczególnych orientacji politycznych nie ulegały istotnym zmianom; tendencje reprezentujące dążenia burżuazyjnych i drobniemiejszkańskich ugrupowań politycznych wyrażał rząd emigracyjny. Głównym celem działania rządu na emigracji było dążenie do odbudowy niepodległego państwa polskiego. Już w pierwszej instrukcji rządu dla kierowników polskich placówek zagranicznych z dnia 10.X.1939 r. gen. W. Sikorski podkreślał, że cel ten należy „przedstawić w związku z ogólnymi celami wojny, sformułowanymi przez państwa sprzymierzone”. Według Sikorskiego sojusznicy dążyli do zapewnienia „pełnego tryumfu sprawiedliwości i prawa nad gwałtem<sup>7</sup>. Minister spraw zagranicznych A. Zaleski w rozmowach z Brytyjczykami w dniu 12.X.1939 r. dowodził, że bezpieczeństwo odbudowanej po wojnie Polski zależeć będzie od tego, czy zostanie usunięta groźba ataku niemieckiego od strony Prus Wschodnich. Gen. Sikorski postulat ten powtórzył w rozmowie z lordem Halifaxem w dniu 20.XI.1939 r. Francuzi popierali idee likwidacji Prus Wschodnich przez włączenie ich do Polski, natomiast Anglicy godzili się tylko na ich demilitaryzację. Wysłano też postulat zabezpieczenia granic Polski od strony południowej przez usunięcie dawnych nieporozumień z Czechosłowacją i utworzenie federacji polsko-czechosłowackiej. Koncepcja federalizmu godziła jednak nie tyle w Rzeszę Niemiecką, ile w ZSRR. Był to nowy wariant pilsudczykowskiej koncepcji federacyjnej uwzględniający niektóre założenia obozu narodowego. Ponieważ koncepcja ta ostrzem swym skierowana była przede wszystkim przeciw ZSRR, bez którego nie można było rozwiązać problemu niemieckiego, od samego początku była więc mało realna.

W Biuletynie Informacyjnym MSZ z 28.XI.1939 r. za główny cel długofalowej akcji dyplomatycznej rządu polskiego uznano obok odbudowy silnego państwa polskiego, przekonywanie sojuszników o konieczności „pełnego zwycięstwa nad Niemcami, oswobodzenia Czech i Słowacji, zredukowania terytorium Niemiec na zachodzie i na wschodzie” oraz „o konieczności podziału Niemiec na autonomiczne jednostki celem ich osłabienia i uniemożliwienia wybryków imperializmu na przyszłość<sup>8</sup>. 19.II.1940 r. minister spraw zagranicznych A. Zaleski rozesłał do szefów polskich placówek zagranicznych okólnik precyzujący polskie cele wojny. Podkreślono w nim totalny charakter wojny oraz jej ideologiczne aspekty. Okólnik przesiąknięty był duchem anty-

radzieckim. Zwracano też uwagę na nacjonalistyczne i militarystyczne tradycje Niemiec i specyficzne cechy psychiki niemieckiej hołdującej kultowi i brutalnej przemocy. „W historii Niemiec — czytamy w okólniku — ciągle powtarza się to samo zjawisko, że najbardziej wartościowe elementy z punktu widzenia intelektualnego i moralnego nie są w stanie przewyciężyć wpływu hipnotycznego, jaki na naród niemiecki wywiera brutalna siła, zarówno jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne jak i międzynarodowe”. W związku z tym wysuwano pytanie, „czy naród niemiecki, zostawiony sam sobie potrafi utrzymać władzę w rękach czynników naprawdę wartościowych i nie zagrażających pokojowi Europy”. Autorzy okólnika podkreślali, że dotychczasowe doświadczenia historyczne świadczą, iż Niemcy pozostawieni sami sobie nie potrafią żyć w pokoju, że nawet w ich własnym interesie leży, by nałożyć na nich skuteczną kontrolę. Uznając, że na początku 1940 r. zbyt wcześnie było mówić na temat postulatów terytorialnych, zwracano uwagę na konieczność usunięcia Niemców z terenu państw bałtyckich i Prus Wschodnich, dokonanie podziału Niemiec i wprowadzenie kontroli międzynarodowej. Eksponowano rolę Polski jako czynnika integrującego i stabilizującego Europę środkowo-wschodnią. Nie przewidywano rekonstrukcji społeczno-politycznej Niemiec i Europy, natomiast wysuwano postulat obrony kultury i cywilizacji europejskiej.

W deklaracji przyjętej w związku z opublikowaniem Karty Atlantycznej w sierpniu 1941 r. rząd polski stwierdzał, iż w zasadzie akceptuje zasady wyłożone w tym dokumencie, ale jednocześnie podkreślał, że samo rozbrojenie Niemiec, chociaż stanowi poważną gwarancję, nie jest środkiem wystarczającym dla okiełznania Niemiec; postulowano konieczność szukania dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa. W styczniu 1942 r. rząd polski wraz z innymi krajami koalicji antyfaszystowskiej podpisał Deklarację Narodów Zjednoczonych. Postulaty terytorialne rządu polskiego ulegały ewolucji w zależności od rozwoju wydarzeń w krajach okupowanych przez III Rzeszę i na frontach II wojny światowej. Istotną rolę w rozwiązywaniu kwestii niemieckiej odgrywały natomiast tworzone przez rząd Polskie Siły Zbrojne, które brały udział w walce z Niemcami hitlerowskimi i ich sojusznikami na wielu frontach II wojny światowej.

Rząd polski na emigracji dopingował sojuszników zachodnich do bardziej surowego potraktowania Niemiec, ale jednocześnie nie wysuwał zbyt radykalnych koncepcji globalnego rozwiązania kwestii niemieckiej. Okrojone terytorialne Niemiec, podział tego kraju na obszary autonomiczne, ograniczenia ekonomiczne itp. środki zalecane przez polski rząd emigracyjny nie prowadziły do celu. Powtórzono błędy popełnione przez zwycięskie mocarstwa po I wojnie światowej. Były to półśrodki, które mogły osłabić imperializm niemiecki na pewien czas, ale bynajmniej go nie likwidowały.

### Koncepcja lewicy polskiej

Znacznie dalej idące i bardziej realne koncepcje rozwiązania kwestii niemieckiej reprezentował ówczesny lewicy społecznej. Postulaty lewicy społecznej nawiązywały do przedstawionych wyżej koncepcji KPP. Za punkt wyjścia brały one fakt, iż za wybuch wojny i jej skutki odpowiada nie naród niemiecki w całości, lecz imperializm i militarystyka niemiecka. W związku z tym przywódcy lewicy społecznej nie domagali się ukarania całego narodu niemieckiego, podziału Niemiec, nałożenia na nie wielkich ciężarów ekonomicznych itp., lecz naprawienia krzywd wyrządzonych przez faszyzm, likwidacji źródeł nacjonalizmu i militarystyki niemieckiej w postaci junkrów, monopolu i reakcyjnego korpusu oficerskiego. Cel ten można było osiągnąć tylko na drodze rewolucji społecznej w Niemczech, w drodze obalenia władzy klas posiadających i utworzenia demokratycznych, pokojowych Niemiec.

Hitleryzm doprowadził do znacznego osłabienia sił rewolucyjnych w Niemczech jak i na emigracji. Siły rewolucyjne w Niemczech były za słabe, by samodzielnie dokonać rewolucji. Istota rzeczy sprowadzała się do tego, by siły te wzmocnić, by pomóc im w rozbięciu hitleryzmu, przejęciu władzy w Niemczech i przeprowadzeniu reform społecznych. W społeczeństwie polskim cele te rozumieć tylko komuniści.

W 5 numerze konspiracyjnego, lewicowego pisma, pt.: „Do Zwycięstwa” z dnia 11.I.1941 r. opublikowano artykuł krytykujący niemiecką klasę robotniczą za to, iż dała się Hitlerowi oszukać i „przerodziła się w narzędzie zbrodni”. Przewidywano jednak, że robotnicy niemieccy opamiętają się. „Lud pracujący — czytamy w piśmie — można podstępnie oszukać, można oszołomić i siłą zmusić do wykonywania zbrodniczych planów ale nikt nie jest w stanie pozbawić poczucia przynależności do międzynarodowego proletariatu. Wierzmy, że proletariát niemiecki w krwi przywódców hitlerowskich zmyje swoją hańbę i razem z innymi ludźmi wolnej Europy przystąpi do budowy nowego porządku i sprawieliwość”<sup>9</sup>.

Działając w tym duchu komuniści polscy podjęli akcję wyjaśniającą wśród żołnierzy niemieckich w Polsce. W organie KC PPR pod nazwą „Okólnik” w dniu 1.VII.1942 r. opublikowano artykuł o formach pracy partyjnej z żołnierzami niemieckimi. Podkreślano w nim, że ZSRR i siły ludowe w krajach okupowanych nie prowadzą wojny totalnej z narodem niemieckim, lecz z faszyzmem i najeźdźcą. Głównym celem agitacji partyjnej było osłabienie moralne armii hitlerowskiej, ułatwienie żołnierzom dezercji itp. „Związek Radziecki, narody ujarzmione, a więc i Polska dążą tylko do przepędzenia ze swej ziemi armii hitlerowskiej” — pisano w „Okólniku”. Miesiąc później w tym samym piśmie opublikowano artykuł analizujący charakter II wojny światowej. „Narody Europy — pisano — będą dopiero wtedy wolne, gdy nie tylko obcy żołdak nie będzie deptał ich ziemi, ale również gdy nie będą ich uciskać rodzimi kapitaliści i obszarnicy. Odbierzemy plutokratom i imperialistom źródła ich bogactwa i władzy, i uczynimy je bogactwem i władzą mas ludowych. Usuniemy kapitalizm i w ten sposób raz na zawsze zniesiemy groźbę wojny”.

Koncepcje polskiej lewicy społecznej w czasie wojny na temat kwestii niemieckiej i bezpieczeństwa najpełniejszy wyraz znalazły w dwóch dokumentach, to jest w artykule Alfreda Lampego opublikowanym w piśmie ZPP w ZSRR „Wolna Polska” pt. „Miejsce Polski w Europie” z kwietnia 1943 roku i w deklaracji programowej PPR „O co walczymy?” z 1.XI.1943 roku.

W deklaracji „O co walczymy?” stwierdzono m.in.: „Śmierć hitleryzmu będzie zagładą wszystkich sił wstecznych, wszystkich prądów faszystowskich w każdym kraju, w każdym narodzie. Na gruzach faszyzmu wyrośnie demokratyczna władza ludu w świecie postępu i wolności”. Przywódcy PPR wśród tych wolnych i demokratycznych ludów widzieli też naród niemiecki. W grudniu 1943 r. KC PPR opublikował w „Okólniku” obszerny artykuł pt. „Nasz stosunek do Niemców”. Analizując przestępstwa hitlerowskie i sytuację występującą w łonie społeczeństwa niemieckiego, pismo stwierdzało: „Druga linia podziału w społeczeństwie niemieckim, tak w Reichu, jak i na naszych terenach dzieli je na hitlerowców i antyfaszystów, na tych co sprzęgli się na śmierć i życie z Hitlerem, to jest SS, gestapo, wyżsi urzędnicy, przemysłowcy, członkowie partii hitlerowskiej itd. wszelkiego rodzaju policja, dla których koniec wojny równa się ich śmierci i dlatego prą oni za wszelką cenę do przedłużenia działań wojennych kosztem milionów ofiar i na tysięczne masy niemieckich robotników, chłopów, inteligencji pracującej, która ginie pod gruzami bombardowanych miast, których pędzi machina hitlerowska na front. Bunt tych mas ludowych, niemieckich jak języki płomienia ogarnie hitlerowskie Niemcy...”. Precyzując stosunek swój do Niemców, pisano dalej: „Każdy Niemiec sprawujący władzę jest okupantem i wrogiem śmiertelnym, z którym walczymy i walczyć będziemy. Natomiast Niemiec, który rozumiał, czym jest hitleryzm, który zrozumiał, że tylko solidarna walka wszystkich żywiołów antyhitlerowskich może przynieść wyzwolenie masom niemieckim, ten staje się naszym sojusznikiem w walce z hitleryzmem”.

Szczególną rolę odgrywała bezpośrednia walka zbrojna z hitlerowską machiną wojenną. Lewica społeczna w Polsce od samego początku wojny przykładała należyłą wagę do organizowania ruchu oporu i bezpośrednioj walce zbrojnej z okupantem. Komuniści polscy w ZSRR domagali się szybkiego włączenia tworzonych w ZSRR polskich jednostek wojskowych do walki. Napotykali oni jednak sprzeciw ze strony reakcyjnego dowództwa z generałem W. Andersem na czele. Po wyprowadzeniu armii Andersa z ZSRR i zerwaniu stosunków dyplomatycznych, w ZSRR powstała kierowana przez komunistów nowa

dywizja polska, która już jesienią 1943 r. wzięła udział w bezpośredniej walce frontowej, przyczyniając się do osłabienia militarnego III Rzeszy. Lewica polska w ZSRR podjęła współpracę z działającym na terenie tego kraju Antyfaszystowskim Komitetem Narodowym „Wolne Niemcy”. Komitet Centralny PPR w kraju organizował pomoc dla antyfaszystów niemieckich przerzuconych z ZSRR przez Polskę do Niemiec.

Istniała też ścisła współpraca pomiędzy KC KPD i Centralnym Biurem Komunistów Polskich w ZSRR. Z chwilą utworzenia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a następnie Rządu Tymczasowego koncepcje lewicy społecznej w kwestii niemieckiej uznane zostały za oficjalną doktrynę państwa ludowego, które stanęło na stanowisku kontynuowania walki o pełne rozgromienie faszyzmu hitlerowskiego, odbudowę niepodległego państwa polskiego, sprawiedliwe ułożenie granic powojennych i ukształtowanie pokojowych Niemiec w Europie, m.in. w oparciu o współpracę z demokracją niemiecką. Manifest PKWN z 22.VII.1944 r. wzywał m.in.: „Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich spotkacie... Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do Matki Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą! Stawajcie do walki o Polskę, której już nigdy nie zagrozi nawała germańska, o Polskę, której zapewniony będzie trwały pokój i możliwości twórczej pracy”.

Apel ten został zrealizowany. Jak powszechnie wiadomo, militarny wkład odrodzonej Polski w rozbięciu III Rzeszy stawił Polskę na czwartym miejscu w rządzie państw koalicji antyhitlerowskiej. Wojsko Polskie odegrało istotną rolę w wojnie, przyczyniając się do jej szybszego zakończenia.

Kontynuując działania zbrojne nie zapomniano o istotnych celach politycznych. Podjęte przez siły ludowe żądania terytorialne wobec Niemiec szły znacznie dalej niż postulaty polskich ugrupowań burżuazyjnych i rządu na emigracji. Żądania te zmierzały z jednej strony do naprawienia wyrządzonej przez zaborców niemieckich w ciągu wieków krzywdy, a z drugiej strony do osłabienia ekonomicznych podstaw militarystyki i imperializmu niemieckiego. Dzięki poparciu ZSRR władze polskie jeszcze przed zakończeniem wojny przejęły wyzwolone przez Armię Czerwoną i odrodzone wojsko polskie zagrabione w przeszłości ziemie: Warmię, Mazury, Gdańsk, Pomorze Zachodnie, Ziemię Lubuską i Śląsk Opolski. Fakt ten został zaakceptowany przez Konferencję Wielkiej Trójki w Poczdamie na przełomie lipca i sierpnia 1945 r. Było to wielkie zwycięstwo oręża i polskiej myśli politycznej. Zwycięstwo to miało znaczenie międzynarodowe.

## Polityka zagraniczna Polski Ludowej

Bezpośrednio po zakończeniu wojny w maju 1945 r. na I Ogólnokrajowej Naradzie PPR ówczesny I Sekretarz KC PPR W. Gomułka przestrzegając przed groźbą odrodzenia się faszyzmu i niemieckiej polityki rewanzu mówił m.in.: „W momencie kapitulacji Niemiec, w momencie gdy decydują się losy przyszłego pokoju stanowisko Polski w stosunku do Niemiec jest zupełnie wyraźne i zupełnie zdecydowane. Uważamy, że jednym z naczelnych, podstawowych warunków zagwarantowania ludzkości pokoju na świecie, a przede wszystkim zagwarantowania bezpieczeństwa Polski jest po pierwsze — rozbięcie i dobicie resztek wszystkich faszystowsko-hitlerowskich sił, jakie pozostały w Niemczech; po drugie — pozbawienie Niemiec ich przemysłu wojennego, bazy materialnej, na której budowały one swoje siły militarne. Są to pierwsze warunki zagwarantowania ludzkości przyszłego trwałego pokoju na świecie”. W parę miesięcy później w artykule pt. „Zwycięstwo Polski w Poczdamie” W. Gomułka pisał: „jeszcze przez długie dziesiątki lat warunkiem pokoju w Europie i na całym świecie będzie słabość Niemiec. Dlatego też to wszystko, co dzisiaj przyczynia się do osłabienia pokonanych Niemiec wzmacnia trwałość pokoju międzynarodowego. Polska włączyła z powrotem do swych granic ziemie wydarte jej przez zaborczość krzyżacką. Te nasze ziemie stanowiły 18% obszaru państwa niemieckiego. Na ziemiach tych znajduje się bardzo poważny przemysł, który stanowił siłę wojenną Niemiec. Włączając te ziemie z powrotem do granic naszego państwa naprawiamy nie tylko tę krzywdę wyrządzoną nam przez Niemcy na prze-

strzeni wieków, lecz równocześnie osłabiamy Niemcy, czyli działamy w imię utrwalenia pokoju międzynarodowego, co jest dążeniem wszystkich pokojowych narodów świata”.

Dokonując historycznego zwrotu w stosunkach polsko-niemieckich, Polska Ludowa podjęła rację bytu militarystycznego, junkierskiego państwa pruskiego. Rewindykacje polskie objęły większość obszaru ówczesnych Prus. Przywódcy polscy całkiem świadomie od dawna wysuwali już postulat likwidacji tego karykaturalnego tworu państwowego. Alfred Lampe już w kwietniu 1943 r. pisał na ten temat: „Prusy Wschodnie zbudowane na kościach słowiańskich i litewskich plemion, strażnica wojującej niemczyzny, wysunięty na wschód bastion imperializmu niemieckiego, od wieków brama wypadowa najeżdżów na Polskę, Litwę, Łotwę, Estonię, Białoruś i Rosję, krzyżackie gniazdo wczoraj, siedlisko junkrów i faszystów dziś — te Prusy Wschodnie, takie Prusy Wschodnie nie mogą dalej istnieć”<sup>10</sup>. Postulaty Lampego zostały następnie rozszerzone na całe państwo pruskie; uzyskały one akceptację ZSRR, a następnie również pozostałych mocarstw koalicji antyfaszystowskiej. W tej sytuacji Sojusznicza Rada Kontrolna nad Niemcami w dniu 25.II.1947 r. uchwaliła Ustawę nr 46 w sprawie likwidacji państwa pruskiego jako kolebki militarystyki i reakcji niemieckiej. Akt ten stanowił przejaw sprawiedliwości dziejowej.

### Stanowisko komunistów niemieckich

Ocena Prus jako kolebki militarystyki i reakcji w pełni pokrywała się z opinią Engelsa o roli Prus w dziejach Niemiec i Europy Wschodniej. Przywódca komunistów niemieckich W. Pieck w lipcu 1946 r. pisał: „Junkrzy na wschód od Łaby stanowili najbardziej szowinistyczną i najbardziej militarystyczną warstwę narodu niemieckiego. Ponieważ zaś posiadali decydujący wpływ polityczny na państwo prusko-niemieckie, wycisnęli tedy piętno swej władzy również na rozwoju imperializmu. W ten sposób stał się imperializm niemiecki najbardziej militarystycznym i najbardziej wojowniczym imperializmem świata”. Zdaniem W. Piecka, przywódcy niemieckiej klasy robotniczej dość wcześnie rozpoznali ten charakter imperializmu, ale rozbięcie wewnętrzne osłabiło siły klasy robotniczej. „Klęski robotników niemieckich w latach 1919, 1920, 1921 i 1923 — pisał Pieck — były klęskami sił demokracji i pokoju w walce przeciwko militarystyce i imperializmowi”. Dopiero wyzwolenie ze strony koalicji antyhitlerowskiej stworzyło nowe warunki dla umocnienia demokracji. „Uchwały trzech wielkich mocarstw — zapadłe na konferencji poczdamskiej, a przewidujące zniszczenie hitlerystyki, militarystyki i imperializmu — stwierdzał Pieck — nakładają ten obowiązek przede wszystkim na naród niemiecki. W tym kierunku musi on teraz użyć wszystkich swoich sił. Uchwały berlińskie dają narodowi niemieckiemu pełną możliwość wykonania tego zadania... naród niemiecki musiał dbać o to, by nie powtórzyły się zasadnicze błędy popełnione w roku 1918...”<sup>11</sup>. Decyzja o formalnej likwidacji Prus miała doniosłe znaczenie polityczne i ekonomiczne dla całej Europy, a zwłaszcza dla państwa polskiego i narodu niemieckiego. Wraz z upadkiem Prus skończyła się bowiem era dominacji tego państwa nad innymi krajami niemieckimi, upadło znaczenie junkrów pruskich, ograniczone zostały wpływy ideologii podbojów i rewanzu oraz militarystycznych tendencji panujących w tym państwie.

### Znaczenie sojuszu państw socjalistycznych

Realizacja postulatów terytorialnych i antypruskich bynajmniej nie wyczerpywała stawianych przez lewicę polskich celów wojennych. Alfred Lampe pisał: „Jeżeli pazury niemieckiego imperializmu mają być wyrwane, a nie przystrzyżone tylko, jeśli możliwość nowej agresji niemieckiej nie ma straszyć w Europie i mieć współpracy międzynarodowej — pokoju w Europie po zwycięstwie winien strzec potężny zespół państw demokratycznych, w pierwszej linii na wschodzie, zespół do którego obok Związku Radzieckiego wejdzie przede wszystkim Polska i Czechosłowacja. Granica strategiczna tego zespołu, a więc i granice strategiczne Polski, leżą na Odrze”<sup>12</sup>.

Postulat ten po wojnie został zrealizowany przy znaczącym udziale Rządu PRL; obóz państw demokracji ludo-

wej objął jednak większą ilość państw aniżeli proponował Lampe. W przeciwieństwie do federacyjnych koncepcji sanacji i Sikorskiego obóz ten nie kierował się przeciw ZSRR, lecz zakładał, iż państwo to stanowić będzie jego czołową siłę polityczną. Lampe już w roku 1943 pisał: „Uniemożliwienie nowej napaści Niemiec jest dla nas sprawą życia i śmierci. Taka jest też dla nas waga przyjaźni polsko-radzieckiej. Silni zaś poparciem Związku Radzieckiego i pewni jego współdziałania, możemy wziąć na siebie brzemień współodpowiedzialności za ustalenie straży pokoju na Odrze”.

### Problem przeobrażenia Niemiec

Szczególne miejsce w dążeniu sił ludowych do stabilizacji pokoju europejskiego zajmowała sprawa reedukacji samego narodu niemieckiego, demokratyzacji stosunków wewnętrznych i demilitaryzacji Niemiec. W końcowej fazie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu nastroje antyniemieckie, zarówno w Polsce jak i w pozostałych krajach Europy okupowanych przez hitlerowców, były tak napięte, iż trudno było szerzej ten problem rozwiązać. Mimo to przywódcy obozu ludowego w Polsce doskonale go rozumieli i w ogólnej formie często doń wracali. W. Gomułka w sprawozdaniu KC PPR na I Zjazd Partii w grudniu 1945 r. podkreślał, że: „Klęska światowego faszystwu pociągnęła za sobą głębokie następstwa zarówno w dziedzinie politycznej jak i gospodarczego życia narodów, przede wszystkim wyswobodzone zostały tkwiące w każdym narodzie siły demokratyczne ujarzmione i terroryzowane przez faszystów i pokrewne mu systemy. Niezależnie od wyzwolenia tych sił wzrosły one liczebnie bardzo poważnie w czasie wojny. Całe narody ujrzały bowiem ujawnioną w wojnie nagą istotę faszystwu... W świadomości narodów nastąpiła zmiana, odwróciły się one od starych stosunków społecznych, zrodziło się masowe dążenie do szukania nowych form życia, co wyraziło się w gwałtownym wzroście sił demokratycznych na świecie”.

W pełni zdawano sobie sprawę z tego, że procesy te objęły przede wszystkim Niemcy, które po przegranej wojnie stanęły ponownie w obliczu poważnego kryzysu ekonomicznego i politycznego. Osłabione przez hitlerystykę siły ludowe w kraju tym miały do spełnienia szczególną rolę. Siłom tym należało udzielić wsparcia.

Cele te próbowano realizować natychmiast po zakończeniu wojny. Z inicjatywy ZSRR stanęły one na porządku dziennym Konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie w lipcu i sierpniu 1945 r. Rząd polski udzielił pełnego poparcia radzieckiej polityce przeobrażenia Niemiec i odegrał dużą rolę w realizacji Uchwał Poczdamskich.

Rola PRL w rozwiązywaniu problemu niemieckiego w końcowej fazie II wojny światowej i bezpośrednio po wojnie polegała na walce z siłami reakcji, militarystyki i rewanzu celem usunięcia stwarzanego przez nie niebezpieczeństwa nowych podbojów i wojen, na popieraniu sił antywojennych i demokratycznych, celem stworzenia demokratycznego, pokojowego państwa niemieckiego. Zadania te zrealizowano jednak tylko na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej. W pozostałych trzech strefach okupacyjnych celu tego nie udało się zrealizować. Osłabione na skutek klęski wojennej siły nacjonalistyczne i kontrewolucyjne uzyskały pomoc i poparcie kapitału zachodniego. Pod jego patronatem dokonały one podziału kraju, tworząc w 1949 r. Republikę Federalną Niemiec. W tym sensie siły ludowe z PRL włącznie nie zdołały w pełni zrealizować swego celu w postaci odbudowy jednolitego, demokratycznego państwa niemieckiego. Cel ten zrealizowały one jednak przynajmniej częściowo. Jak wspomniano już wyżej, likwidacji uległo państwo pruskie, tj. główne siedlisko nacjonalizmu i militarystyki niemieckiej. Odbudowane państwo burżuazyjne objąć mogło tylko część dawnej Rzeszy Niemieckiej. Było ono stosunkowo słabe i przez pewien czas podlegało międzynarodowej kontroli.

W radzieckiej strefie okupacyjnej ukształtowało się natomiast odrębne demokratyczne państwo niemieckie w postaci NRD. Państwo to spotkało się z próbą bojkotu ze strony RFN i innych państw burżuazyjnych. W tej sytuacji Polska wraz z ZSRR i innymi krajami demokracji ludowej podjęła zdecydowaną walkę o umocnienie NRD na forum międzynarodowym. Rząd PRL udzielił NRD znacznej pomocy ekonomicznej i politycznej ułatwiając jej odbudowę gospodarczą, stabilizację we-



wnętrzną i złamanie izolacji na forum międzynarodowym. Cel ten w pełni osiągnięto. NRD stanowi dziś poważny czynnik stabilizujący siły pokoju w Europie.

## Rola NRD

I Sekretarz KC SED Erich Honecker w czasie spotkania z ludnością Warszawy w dniu 8.VI.1974 r. stwierdził m.in.: „Nasze socjalistyczne państwo wystawiło w swej stolicy — Berlinie — pomnik ku czci żołnierzy polskich, którzy u boku Armii Czerwonej oddali swe życie również za wyzwolenie naszego narodu. Nigdy ich nie zapomnimy. Ich spuścizna żyje w naszej przyjaźni, w naszej wspólnej walce... W 25 roku swego istnienia nasza socjalistyczna Niemiecka Republika Demokratyczna utrzymuje stosunki dyplomatyczne ze 108 państwami. Nigdy nie zapomnimy, że Polska Rzeczpospolita Ludowa była jednym z pierwszych państw, które nawiązało w 1949 r. z naszą młodą Republiką stosunki dyplomatyczne i że Polska Rzeczpospolita Ludowa zawsze okazywała NRD aktywną internacjonalistyczną pomoc w walce o przełamanie blokady dyplomatycznej”.

Powstanie NRD oznaczało zasadniczy przewrót w dziejach Europy i stosunków polsko-niemieckich. Umocnienie i rozwój tego kraju leży w interesie nie tylko narodu niemieckiego i polskiego, ale również wszystkich pokój miłujących narodów Europy. Tow. E. Gierek w przemówieniu na spotkaniu z delegacją NRD w Warszawie w dniu 8.VI.1974 r. stwierdził m.in.: „Powstanie i rozwój NRD spowodowało zasadniczą odmianę problemu niemieckiego, który za czasów niepodzielnego panowania imperializmu w Niemczech polegał na stałym zagrożeniu niepodległości, bezpieczeństwa i pokoju wszystkich ich sąsiadów, całej Europy a nawet świata. Powstanie i rozwój NRD, jej ustrój społeczno-ekonomiczny, jej przynależność do polityczno-obronnego Układu Warszawskiego, jej pokojowa polityka przyczyniły się do ukształtowania nowej sytuacji w tej części Europy”.

Spśród licznych inicjatyw polskich zmierzających do stabilizacji granicy pokoju na Odrze i Nysie Łużyckiej wymienić należy przede wszystkim fakt podpisania dwustronnych układów o przyjaźni i współpracy z ZSRR i NRD, udział Polski w przygotowaniu Konferencji Warszawskiej oraz jej rolę w powstaniu i rozwoju obronnego Układu Warszawskiego czy polskie plany utworzenia w Europie Środkowej i Wschodniej tzw. strefy bezatomowej — „plan Rapackiego”, a następnie „plan Gomułki”.

## Znaczenie układu PRL z RFN z 7.XII.1970 r.

Wielkim sukcesem na tej drodze było podpisanie układu z Republiką Federalną Niemiec z 7.XII.1970 r. o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków. Po wielu latach ignorowania skutków II wojny światowej rząd RFN zdecydował się uznać zmiany graniczne w Europie z granicą zachodnią państwa polskiego włącznie; obie układające się strony zobowiązały się, że „będą kierowały się w swych wzajemnych stosunkach oraz w sprawach zapewnienia bezpieczeństwa w Europie i na świecie celami i zasadami i sformułowanymi w Kartie Narodów Zjednoczonych”. Oba państwa zobowiązały się do rozwiązywania wszystkich spornych problemów „wyłącznie za pomocą środków pokojowych” oraz do podejmowania dalszych kroków zmierzających „do pełnej normalizacji i wszechstronnego rozwoju swych stosunków”. Realizacja tego ostatniego punktu napotykała nadal na wielkie opory w łonie społeczeństwa zachodnioniemieckiego, które w znacznej swej części nie wyzbyło się jeszcze dawnych tradycji nacjonalistyczno-militarystycznych. Sam fakt podpisania układu z 7.XII.1970 r. posiada jednak doniosłe znaczenie polityczne; stanowi on istotny zwrot w stosunkach polsko-zachodnioniemieckich. Kraj ten zmuszony został do uznania powojennych realiów politycznych z zachodnią granicą Polski włącznie, do wyrzeczenia się polityki rewanżu wobec Polski i unormowania z nią stosunków gospodarczych.

<sup>1</sup> L. Ziąja, *Dokumenty do historii polskiego ruchu robotniczego 1918—1939* (wybór), Warszawa 1970, s. 260.

<sup>2</sup> *II Zjazd KPRP (19.IX.—2.X.1923)*. Protokoły obrad i uchwały, Warszawa 1968, s. 512.

<sup>3</sup> Tamże, s. 514.

<sup>4</sup> Tamże, s. 570—571.

<sup>5</sup> *Dokumenty KPP 1935—1939*, Warszawa 1968, s. 173—174.

<sup>6</sup> Tamże, s. 272—282.

<sup>7</sup> *Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej*. Zbiór dokumentów, Warszawa 1965, s. 110—111.

<sup>8</sup> Tamże, s. 124—126.

<sup>9</sup> *Publicystyka konspiracyjna PPR 1942—1945*. Wybór artykułów, T. I, 1942, Warszawa 1961, s. 219—222.

<sup>10</sup> A. Lampe, *O nową Polskę*. Artykuł i przemówienia, Warszawa 1954, s. 65.

<sup>11</sup> W. Pieck, *Imperializm niemiecki — nauki z jego rozwoju*. [W:] W. Pieck, *W walce o nowe Niemcy*, Warszawa 1950, s. 157—169.

<sup>12</sup> A. Lampe, op. cit., s. 251.



# Hajnrysiowi Łatwiej

## WOJCIECH BAJEROWICZ

Dopiero w lecie czterdziestego siódmego roku jako prawie ostatnich zawiadomiono Kropków, że muszą się zbierać, że nadszedł na nich czas. Hajnryś Kropkę przyprowadził mi wtedy swój rower, jakimś cudem ciągle jego i na chodzie. Bo mogli zabrać z sobą tylko rzeczy podręczne — wyjeżdżali przecież osobowymi pociągami — i powiedział, że zostawia go mnie, że daje go mnie, żeby go inni Polacy nie dostali. Właśnie tak powiedział — żeby go inni Polacy nie dostali. Kiedyśmy poszli się z nimi pożegnać, stara Kropkowa, mimo że wzięła od nas paczkę na drogę, nie chciała nic mówić. Odburknęła wprawdzie na słowa pożegnania, ale twarz jej nabrała jeszcze bardziej nieprzejednanego wyrazu niż zwykle. A Hajnryś płakał — przecież to on odkrywał przed nami piękno tutejszych lasów, pokazał nam najkrótsze drogi nad jeziora, ścieżki na grzyby i jagody, a nawet przez swoją hardość umacniał w nas przekonanie, że jednak nasi wygrali. Tracił ojczyznę.

Milicjanci pod bronią pilnowali podstawionych wozów, żeby broń Boże jakiś przypadkowy dureń nie zepsuł nawet słowem tego odjazdu, żeby wszystko odbyło się honorowo. Skąd mogłem wiedzieć, że Hajnryś płakał wtedy jeszcze ze złości. Myślałem, że to z powodu odjazdu. Też mi zawsze było do łez, gdy trzeba było z domu od swoich... Bo tak naprawdę wszystkim nam było głupio. Bo nie lubiliśmy, jak nas samych kiedyś wywożono, jak nam zabierano dobytek i poniewierano, bo pamiętaliśmy swoją biedę.

Więc wszyscy nasi zebrali się jak na jakiś pogrzeb. Milicjantom też było nieswojo. Dali jednemu ze swoich karabiny do potrzymania, a sami po-

magali tamtym mościć się i pakować na wozy. Urzędnicy z urzędu likwidacyjnego w ogóle się gdzieś pochowali, żeby tamci nie zobaczyli, że wchodzą do ciepłych jeszcze mieszkań.

Bo tak naprawdę przez te dwa lata już się wszystko poukładało i właściwie nic by się nie stało, gdyby zostało tak, jak było. Pewnie gdyby pod ręką znalazły się jakieś wyższe władze — ludzie zaczęliby marudzić, że niby po co to wszystko, niech sobie Niemczyska żyją, starczy i dla nich roboty. Przecież Józek Kowalczyk już się zdążył pobrać z Helgą Rhode i dzieciaka już mają.

Naprzód Hajnryś popatrywał przez okno, zza uchylonej firanki przez szybę — kiedyśmy kopalili piłkę na okólniku. Później pojawiać się zaczął za płotem — zerknął przez sztachety. Nareszcie wytknął głowę ponad nie. A potem przyzywany naprzód na migi, zachęcany uśmiechem i gestem, żeby stanął na budzie — zadomowił się zupełnie między nami. Był jedynym w naszym wieku chłopcem od nich i pewnie najadł się samotności, zanim do nas przystał.

Kosmaty, mrukliwy i zacięty, bardzo chciał, kiedy już wylazł zza tego swojego płotu, pokazać, że jest lepszy. — Był lepszy. Wybiegał swobodnie i we właściwych chwilach do piłki, zabierał ją nam dosłownie „z nogi”, z kocią zręcznością łapał mrowane okienka i karniaki. I wreszcie po kilku dniach, bez słowa, gdy niemrawo szamotaliśmy się na tym okólniku, sam wziął piłkę do nogi, wyjechał z bramki, przejechał z nią całe boisko, okiawwszy po drodze wszystkich przeciwników z ich bramkarzem na końcu, po czym lekko, krótkim od niechcenia kopnięciem umieścił ją w

pustej budzie. Wrócił później na swoje miejsce ironicznie uśmiechnięty, zostawiając nas onieśmiałych i onieśmiałych.

W następnych dniach nie chciał już z nami grać mimo zachęt i próśb, że będzie pierwszy wybierał, że nie musi stać na budzie... To pokazywał, że ma jakieś drewno do porąbania, to na nasze gwizdanie wychodziła jego matka i rozkładała ręce, uśmiechając się ironicznie. Bywało, że przechodził koło nas, kopiących tę piłkę i z politowaniem przypatrywał się naszym wysiłkom. W końcu wyszło na to żeśmy grali dla niego. Bo Hajnryś by tak to zagrał, bo on by to tak zrobił, bo Hajnryś... Żeby się choć trochę popisać, żeby spojrzeć, powiedział coś, pochwalił może...

Patrzę na tego siebie z tamtych lat ze zdziwieniem. Dlaczego wtedy nie pamiętałem zupełnie o tym, co jeszcze w tej chwili — bardziej niż wszystkim inne, cudze opowieści czy wstrząsające dokumenty, bardziej nawet niż wołające o pomstę wczorajszych, dzisiejszych i jutrzejszych ludzi i bogów pamiętniki Dawidka Rubinowicza, Anny Frank czy „Medaliony” — dlaczego nie pamiętałem wtedy o tym, co jeszcze teraz przynosi mnie w lata bezprawia?

\* \* \*

Jest oto mroźna zima, początek czterdziestego drugiego roku. Sprzed wojny zostały nam w domu — z niewielu już rzeczy zdalnych do zamienienia na jakąś żywność — duże, pięknie niklowane łyżwy ojcowskie. Zjeżdżamy na nich, przytroczonych do drewniaków, na zmianę z siostrą z oblodzonej górki. Nie myśli się wtedy o głodzie, szarym smutku w domu, o tym, że oni są wszędzie coraz

dalej, że nadzieja coraz odleglejsza.

Leci się z górki na tych łyżwach z ptasią lekkością i swobodą. Dudni łośd, łomoczą wesoło drewniaki, tylko po-frunąć ponad tym wszystkim, co takie codzienne. Wyrwać się z tego strachu, poniżenia, w świat przedwojennych rodzinnych fotografii. Mama i tata uśmiechnięci, młodzi, dobrzy i ładni — wracamy wszyscy z jakichś zakupów, w rękach pełno paczek, siostra dzwiga lalkę, co zamyka oczy, ja taszcę pudło z kolejką. Jak dobrze. Idziemy szeroką, swojską i tłocznią ulicą — za nami pełno ludzi — też się uśmiechają, też chcą dobrze wyjść na tym zdjęciu.

Więc szczęśliwi zlatujemy z tej górki na zmianę na tych jednych łyżwach. Nagle do siostry podbiega dwóch rosyłych, odświętnie ubranych z opaskami ze swastykami na ramionach — hajotów. Podcinają dziewczynce nogi. Obalają na łośd. Odkręcają łyżwy. Na boki uciekają nasze dzieci. Zbiegam z tej górki na pomoc. Mówię, że to niby nasze, te łyżwy. Dostają tylko raz gołą pięścią prosto w nos. Zapadam w straszną, dzwoniącą i miękką bezradność. Ślepnię i głupiej z bólu. Zalewa mi gardło jakaś obrzydliwa słonawa słodycz.

Potem długo płaczemy w domu wobec głuchego, martwego milczenia rodziców. Mama obejmuje nas, próbując nas tym gestem jakoś pocieszyć, ale nie ma dla nas słowa nadziei. Ojciec położył na stole duże, zaciśnięte pięści. Umie tymi rękoma podnosić wielkie ciężary, rozłupuje, ujawszy w nie siekierę albo młot, stuletnie kłody, radzi sobie łatwo z zawężonymi pniakami i karczami. Powaliłby nimi naraz kilku takich hajotów jak muchy. Ale nie mówi nic, tylko odwraca głowę, żeby na nas nie patrzeć, bo kilka dni temu, gdy nie zdjął czapki przed maszerującą ze swoją nienawistną szmatą rotą tych szczeniaków — kilku z nich na rozkaz wodza odłączyło od kolumny, dopadło ojca, skopało, zepchnęło w rynsztok na oczach rozweselonego policjanta i aprobującego sprawiedliwość tłumu folksdojczów. Jego, sprawnego jak wspaniała żywa sprężyna sportowca, ucznia nieodżałowanej pamięci doktora Fazanowicza, reprezentanta kraju w gimnastyce poniewierało kilku nieletnich łobuzów na środku miasta, w którym się urodził, był znany i szanowany, a jego przodkowie mieszkali w nim zawsze.

Bo oni są akurat w największym szłocie. Weszli właśnie do Stalingradu, ogarnęli Bałkany, podchodzą do Kaukazu. Głośniki od rana do nocy

ryczą na ulicach naszego miasta o ich kolejnych sukcesach, a po każdym z nich żołodacki jak kanonenfuter chór odgraża się, że wkrótce i nareszcie przyjdzie kolej na tych flegmatycznych Anglików — „Denn Wir fahren, denn Wir fahren gegen England”.

Dlaczego tego nie pamiętałem ani ja, ani moi rodzice temu Hajnrysiowi? Dlaczegośmy litowali się nad nim, gdy wreszcie musiał wziąć lejce w ręce i wozić rano mleko do miasta, żeby pomóc matce, bo dlaczego niby mieliby żyć w naszym kraju za darmo? Zabieraliśmy się z nim do szkoły. Siedział zmarznięty i skurczony na koźle w za dużej fufajce, łośdkowatej czapeczce, chuchał w spękane ręce, a nas grzała duma i nadzieja zaczęliśmy pierwszy rok nauki w polskim gimnazjum, w tym gimnazjum, w którym przed wojną tylko jeden wujek Roman dobrnął do „małej matury”, a potem poszedł w termin do stolarza, bo nie było pieniędzy na czesne. W czasie tych podróży jakoś spokorniał nasz Hajnrys. I wyłaził pomału ze swojej hardości i skorupy. Ócierał co raz to rękawem fufajki kapkę u poczerwieniałego z zimna nosa i opowiadał nam, słowiańskim untermenschom, że jego fati, zanim nie zniknął gdzieś na wschodzie, to był tu nawet sędzią w powiatowym miasteczku, a on, Hajnrys, też miał chodzić do swojego gimnazjum. Zanim dojechalibyśmy co rano do miasta, referowaliśmy Hajnrysiowi, co tam znowu nowego działo się tu, nad Odrą tysiąc lat temu, że nasi zatrzymali ich pod Cedynią, że on, Kropke, to po prostu jakiś tam dawny Kropka, że Stargard to Stary Gród, że radar dał radę ubotom, że Pokryszkin zwałił sześćdziesiąt ich maszyn, nie jakichś tam dopeldekerów z pierwszej wojny światowej, ale najlepszych fokewulfów i meserszmistów. Nie to go jednak dobijało najbardziej. Najbardziej zdumiewało go to, że po polsku też można na przykład liczyć. Tak, właśnie to, że i u nas z dodawania wychodziła taka sama suma jak u niego, a i to jeszcze, że potrafiliśmy to, co mówiliśmy zapisać. Właśnie tak — zapisać, żeśmy w ogóle umieli pisać!

Zwolna, dzień po dniu, to zdumienie przeradzało się w dziecięcy żal. Mały, coraz bardziej smutny i markotny woznica Hajnrys emokał na konia, brzęczały bańki z mlekiem, a my wchodziliśmy w drzwi naszej szkoły. I już nie mieliśmy czasu, żeby pod jego oknem kopać piłkę. I jego fati nie wracał. Więc wtedy pokazał nam w którąś niedzielę piękne leśne jezioro, potem najlepsze grzybowe i jago-

dowe miejsca i zdarzyło się tak, że kiedyśmy zziązani wrócili w któryś wakacyjny dzień z lasu i nasza matka podała nam chłodne kwaśne mleko i zsunęła z patelni na wspólny talerz rumiane i chrupiące ziemniaczane placki — nie wytrzymał i sięgnął po jednego, a potem poszło już na wyprzódki. I wtedy zaczął się zwyczajnie, po dziecinnemu uśmiechać. A potem przyprowadził mi ten rower na odjezdnym — jeszcze jednak, żeby inni go nie dostali. Nasz ojciec się wściekł — bez łaski — krzyczał — co, my szabrownicy! No i zjawiała się w naszej kuchni sama pochmurna Kropkowa i jakoś tam dogadała się z mamą — piekły kury na drogę, pachniał jakiś placek drożdżowy, klepało się świeże masło w kierzance. Tata troskliwie opakowywał Niemce najważniejszy wtedy banknot — litr cennej, przydziałowej gorzały.

Dlaczegośmy im nic nie pamiętali? Bo ja wiem? Może szczęście było tak duże, może oni w tej chwili trochę podobni do nas sprzed kilku lat? A może byliśmy tacy zawsze?

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych jeszcze nas lali. Pierwszy nasz rekonesans w NRD, w Neubrandenburgu był straszny. A tacy byliśmy ciekawi tego, co tam za tą Odrą robią Niemcy. U nich piłka ręczna zawsze była narodowym sportem, czymś w rodzaju rytuału — grać w piłkę ręczną, w dodatku grać dobrze, znaczyło być patriotą. Willi Sonnenbruch zarzuca przecież Joachimowi Petersowi między innymi to, że grał dobrze w piłkę ręczną i dlatego jego „zdrada” jest tym większa. A myśmy się w to po prostu bawili.

Puszczono na nas ligową drużynę wojskową, taką ich „Legię”. Dali, co mieli najlepszego. Praktycznie co dwie minuty ładowali nam gola. Wyszło coś 30:0. Co przejęli piłkę — zaraz dwa, trzy podania i paka. Nasi chłopcy z płaczem schodzili z boiska. Pamiętam, że dano nam wtedy, bo była to jeszcze gra na dużym boisku, na drogę w Szczecinie nowiuteńkie buty, żebyśmy i od tej strony dobrze prezentowali ojczyznę. Było to faktycznie święto, bo grywalibyśmy dotąd w czym kto miał — a to w trampeczkach, w jakichś remanentach po piłkarzach nożnych, w jakichś przedwojennych koślawcach. Trza być w butach na wesele. No i mieliśmy wesele. W grze się o tym nie pamięta, jeszcze do tego w tym młynie, gdy tamci szaleli, byli wszędzie, umieli wszystko — i lotne zmiany, i wybloki, i różne pozycyjne sztuczki, chytne wejścia na koło, krycie z przekazywaniami, grę

na obrotowych, strzały z obu rąk, z biegu, z padu. Wszystko w milczeniu, na pamięć, w tempie nie do pojęcia. A nas przygniatała rozpacz, wstyd ogrywanych, być może z litości nie ośmieszanych patałachów. Trzeba jednak przyznać, że oni na serio, z regularnością dobrze wyregulowanego mechanizmu robili swoje, bez uśmiechu, solidnie, do ostatniego zbawczego dla nas gwizdka. I te nasze nogi w odciskach potem, gdyśmy zdjęmowali w szatni te nowe buty, które nam zresztą zaraz z rąk wyrwał kierownik, bo się musiał z nich rozliczyć. I to milczenie. A było to w tych dziwnych czasach, kiedy pieniądze zupełnie nie wchodziły w grę. Funkcjonowało takie dziwne coś jak wstyd.

Wieczorem było w planie spotkanie towarzyskie. Przyszli na nie jak gdyby nigdy nic w tych swoich tradycyjnych wyjściowych feldgrau uniformach zupełnie takich samych jak wtedy, odkąd zakodowani zostali w naszej świadomości jak niegdyś tamci w białych płaszczach z czarnymi krzyżami. Naprzód było straszno, nieprawdzwie, dziwnie, potem groteskowo. Siedzieliśmy oto wśród Niemców, sięgaliśmy po te same naczynia — talerze, półmiski, napoje i pokarmy, świadczylismy sobie drobne uprzejmości jak normalni ludzie! I wyszło w końcu na to, że zrobił się wesoły rozgardiasz i poszły rozmowy, najczęściej ręczne. I żebyśmy się nie martwili, bo oni tu u siebie też z wszystkimi wygrywają, a też się bali, że to my możemy im dolać. Ale w kraju są jeszcze lepsze od nich drużyny, to znaczy, że można się lepiej nauczyć grać w piłkę ręczną. I okazali się być wesołymi, równymi chłopakami.

Dziwne, ale to ja chciałem wśród nich znaleźć tego, który ukradł nasze łyżwy, który znieważał i bił mojego ojca, a wśród starszych panów, oficjeli, chciałem odszukać tego, który w czterdziestym trzecim roku uśmiercił moją siostrę, najechawszy na nią ot tak, mimochodem, może dla sportu, wielką cieżarówką, bo nie zatrzymał się nawet, żeby sprawdzić, czy w ogóle coś się stało. Nie, nic w nich nie było z tego małego hajota Hajnrysia, markotnego w końcu, spokojnego, ale lichy go tam wie, na ile szczerogo, nie było już w nich nic z przyzwalającej pychy i uległości jego matki wobec tych chwilowo tylko zwycięskich Polacken. Pocięszali nas, demonstrowali swoje sztuczki boiskowe, rysowali na serwetkach zagrywki i manewry, nie mieli tajemnic.

Dziwne, ale to oni byli normalniejsi niż ja, niż my. Stary, trącił mnie

nagle Rysiek Kobendza — czy my przypadkiem nie śnimy? Bo myślał o tym samym, co ja. Nie, nie śniliśmy. To myśmy pamiętali, a oni po prostu już chyba nie albo wcale. Był rok chyba pięćdziesiąty siódmy. Do kogo ta mowa, że przez ten czas można tak wychować ludzi, żeby nie pamiętali! Ale oni autentycznie nie pamiętali, nie było w ich szczerości nic sztucznego, nakazanego, żadnej tam chęci kajania się, wstydu czy przekonania nas, że sporządzili, że są teraz inni, demokratyczni, że należą do FDJ. O ile pamiętam, nikt u nas tego oficjalnie nie stwierdził, ale oni najzwyczajniej nie musieli pamiętać i to tłumaczy ten niby fenomen, który raz po raz podnosi nasza prasa i telewizja, pokazując to dziwne zjawisko tolerowania i niedostrzegania w RFN-ie przez jego stare i młode pokolenie „sporządzonych” byłych hitlerowców.

Byliśmy dla nich kompanami z boiska, których udało się im pokonać, a teraz można się z nimi pośmiać przy winie i planować spotkanie za rok — i to było takie nie do pojęcia. I teraz nawet po dalszych dwudziestu latach jeszcze, bywa, dreszcz przechodzi mi po plecach, gdy na granicy podchodzi do mnie niemiecki żołnierz, gdy wchodzę bezkarnie do niemieckiego sklepu, ciągle jeszcze dziwić się, gdy z niewymuszoną życzliwością obsługuje mnie sprzedawczyni, gdy stara mi się pomóc, doradzić.

Tak, im jest po prostu łatwiej. Jest w tym straszna ironia losu, paradoks ludzkiego trwania i uczuć w ogóle. Ci pamiętają dłużej, to prawda, których cierpienia powinny być przestrogą przed powtórzeniem się zbrodni ludobójstwa, ale równocześnie ci, co ocalili cudem, ci, którym, żadna pomsta, żaden sąd nie wynagrodzi krzywd — mają zawsze potem trudniej, nawet mimo zwycięstwa, mimo poczucia słuszności idei, która wygrała. Martwią się bowiem za siebie i za tamtych. Dręczy ich poczucie niesprawiedliwości dziejów, świadomość tego, że niczym im nie można wynagrodzić tego, co się wydarzyło, czego doznali. A równocześnie nie mogą przekroczyć tej granicy wiary w człowieka, za którą ciągle czają się takie zjawiska jak szowinizm, zemsta za wszelką cenę, szarpanie ran, odgrzebywanie pamięci i toporów wojennych. Pewnie i dlatego, pewnie jako dziecko — nie pamiętałem Hajnrysiowi tego, co było wcześniej. Bo wspomnień można się nauczyć także później — one ogromnieją.

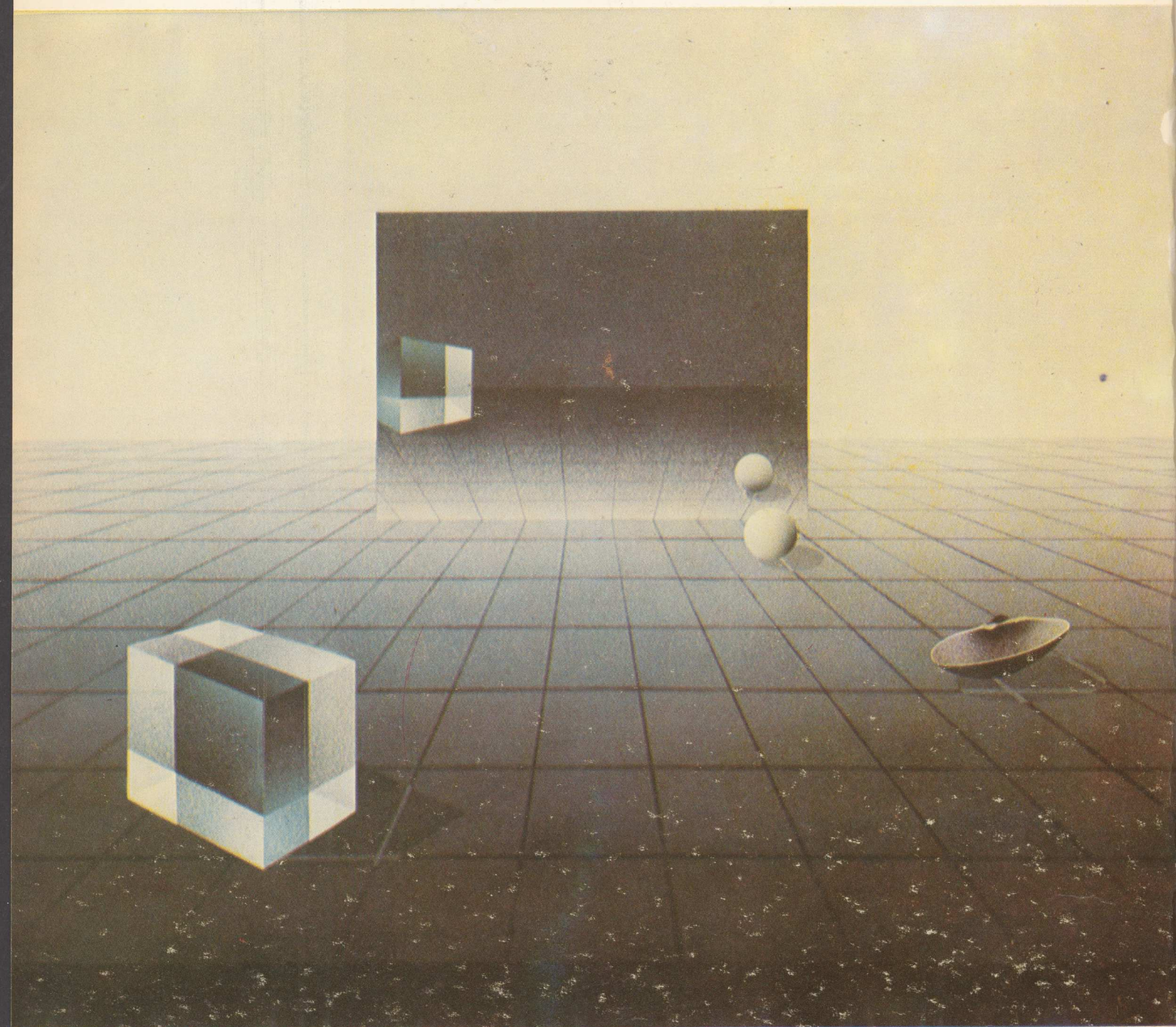
\* \* \*

Po roku przyjechali do nas na rewanż. Żeby spopularyzować piłkę ręczną w terenie i topić lody — urządzono nam coś w rodzaju obwoźnego cyrku po Gryficach, Kamieniu, Resku i tak dalej. Tym razem nasz sportowy związek przyłożył się do sprawy solidnie — całą zimę ciężko pracowaliśmy, był nawet jakiś obóz i zwolnienia z pracy. Ależ to było wydarzenie! Ludzie w miasteczkach, a jeździliśmy po nich wspólnym autobusem, gdzieś się tylko pojawili (oni w swoich feldgrauach), nie mogli w taką symbiozę uwierzyć, pojąc jej. — Film u nas kręca — szła fama i tłumy gapiów otaczały nas na każdym kroku. — Patrzcie, wyglądają jak prawdziwi Niemcy, aż strach podchodzić blisko! Potem, gdy już część naszych gości mieszła się z ludźmi na ulicach, na stadionach, kiedy było już wiadome, że są prawdziwi, widać było, jak trudno, jak jeszcze straszno być z nimi na długość ręki, na przypadkowe dotknięcie w tłoku. Ale nigdzie nie zdarzył się najdrobniejszy eksces.

Już w pierwszym meczu, chyba w Resku, zanosilo się znowu na katastrofę. Zanim się spostrzegliśmy — było już pięć do koła dla nich. Niepozorny, ale nieprawdopodobnie sprytny chłopak w okularach przytroczonych do uszu gumkami sam jeden wrzucił nam to wszystko. Już wprawdzie nie dawaliśmy się złapać na te ich wszystkie szybkie ataki ani zmiany, zastawiliśmy strefową obronę, już nie biegaliśmy bez celu jak barany, ale ten nam zawsze za plecami gdzieś się zaczajał i bezlitośnie wykorzystywał okazje. — Weź go na siebie, na siebie — dotarł do mnie z autu krzyk przerażonego trenera Staszka Roszaka. Okularnik nie był zbyt silny — więc kiedyśmy się kilka razy porządnie otarli o siebie (kości miałem nieco grubsze), kiedy mu przestali, ciągle obstawionemu, podawać piłkę — zaczęliśmy odrabiać straty. Po przerwie tamci zdjęli nieskutecznego okularnika. I stało się tak, że już przy remisie udało mi się wychwycić ich podanie. Zdżichu Burzyński, jakby przewidział, że mi się to uda, tego nigdy nie da się racjonalnie wyjaśnić, był już w pełnym gazie do przodu. Poszedłem z piłką na skrzydło, żeby rozciągnąć obronę, a on wjechał między zwróconych w naszą stronę i zagapionych obrońców — taki wielki rozpędzony przeszło stukilogramowy ludzki spychacz. I wtedy, ta radość zostaje na całe życie, jak na paradzie, na



ANDRZEJ TOMASZEWSKI — „Ciepłe przyjęcie” — olej, płótno”.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski



TERESA BUJNOWSKA — „Próba czasu” — *tempera, płótno.*  
Własność Muzeum Narodowego w Szczecinie *Fot. Z. Ryngwelski*

tym wielkim zielonym polu, na oczach spragnionych naszego sukcesu ludzi, kiedy Zdychu już mijał za późno obudzonych obrońców, posłałem mu ponad ich głowami długą piłkę właśnie w to miejsce, gdzie trzeba, a on z taką samą precyzją wziął ją, właśnie wziął z lotu i trzasnął, rąbnął nią z pełnego biegu właśnie tak, jak trzeba, jak można to sobie wymarzyć, w samo okienko bramki. Piłka uderzyła w wewnętrzną podpórkę w budzie i trzepotała tam, objając się jeszcze o poprzeczkę jak moje radosne serce. Siedziała w środku! I wygraliśmy ten mecz. Wygraliśmy z nimi!

W łaźni, pod prysznicem, w kłębach pary, wśród wrzasku baraszkujących młodych i wesołych, zdrowych nagusów, odprężonych, wolnych od boiskowej zawziętości i skurczu walki, dopiero teraz właściwie przeżywających całą fizyczną radość istnienia — podał mi nagle grabę mój adwersarz, krótkowidz z boiska. Wyszczeryliśmy do siebie zęby w uśmiechu. Chciał mi — powiedział — wyrazić swoje uznanie. Nie dałem mu pograć — załił się półzartem — a tak mu z początku dobrze szło. Kropke. Hajnrys Kropke — powiedział, potrząsając moją ręką. Krzyknąłem poprzez hałas łaźni swoje nazwisko. Zaraz, Kropke, jaki Kropke? I nagle uświadomiłem sobie, że to może być ten mój dawny Hajnrys Kropke. Nie poznawał mnie. Strugi wody zalewały nam głowy, mrużył oczy, ale w uścisku jego ręki był ten dawny, rzadko już komu kojarzący się gest spontanicznej przyjaźni — przecież kiedyś wyciągnięcie do drugiego człowieka otwartej dłoni było dowodem życzliwych zamiarów, znakiem, że się w niej nie chowa ani kamienia ani żelaza. Tak, to był na pewno ten dawny Hajnrys.

Okulary mnie zmyliły. I tych dziesięć lat przeszło — stwierdziłem gdyśmy siedli potem przy wspólnym stole do kolacji. Stwierdziłem to chyba tak jakoś smętnie, ale on tego nie zauważył. Roześmiał się — okulary? Szybko się teraz, bracie, żyje. To chyba z pracy, z powodzenia. Został nauczycielem, musi dużo czytać, dokształca się. Proponują mu pracę trenera w ZSRR. Tak, matka jeszcze żyje. Ostatnio była u nas na wymiennych wczasach w Zakopanem. Wróciła zachwycona. Patrzę na niego i znów te wspomnienia, już sam w końcu nie wiem czy prawdziwe, czy czasem coś mi się nie przyśniło. A on mówi i mówi. O żonie, o dzieciach. Wyjmuje zdjęcia. O wartburgu. O tym, że ostatnio wytapetował mieszkanie, że ze swoim manszaftem

zawiedził już właściwie całą Europę. Cieszy się, że mnie widzi. I wierzę mu. Teraz będzie wykladał łaźienkę kafelkami i nie ma czasu, żeby popracować na działce, a tak by to lubił. Muszę go odwiedzić. Wymieniamy adresy. Widzi, że też sobie dobrze radzimy. Obejmujemy się, bo robiam nam pamiątkowe zdjęcia. Kiedy je dzisiaj pokazuję jakimś znajomym, muszę się zastanawiać, którzy to są oni, którzy jesteśmy my.

A tu już miejscowi działacze wygłaszają przemówienia i toasty, że przyjaźń, panie tego, że niech żyje. Wyciągamy zza pleców drobne podarunki, jakieś tam bibeloty, proporczyki, znaczki i wymieniamy je sobie. Tłumaczę Hajnrysiowi przysłówie, że góra z górą. Pełno wkoło wesołej wrzawy, zaczynają się brudzić. Tutejsi działacze są hojni. Zastaw się, a postaw się. Za pieniądze wyduszone i wystraszone z różnych instytucji sami mają okazję wypić i podeżreć. Goście też nie żalują sobie, mają w domu kłopoty z żywnością. Chwałą nasz dobrobyt, bigos i flaczki, szynkę i polędwicę, kawę i tort.

No i odwiedzamy się z Hajnrysiem

do tej pory od czasu do czasu. Pożeniłiśmy dzieci, zaczynamy mówić o tym, co będziemy robić, gdy przyjdzie emerytura. Jest co wspominać. Potrafiliśmy przecież być młodzi, jeszcze zdążyliśmy być młodzi — myślę.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym patrzę na tego życzliwego Hajnrysia, wcinającego ciasto drożdżowe pod pachnącą kawę i mówię, że te nasiona kwiatów, które ostatnio sobie od nich przywiozłem nieźle mi mimo suszy powschodziły. I z coraz większym smutkiem uświadamiam sobie, że muszę umrzeć, żeby zapomnieć. Jest to nadzieja gorzka, szkoda, że nie dla mnie. Potem tłumaczmy naszym żonom, o czym to akurat rozmawialiśmy. Potem strzelamy, niech sobie będzie „po ichniemu”, jednego sznapsa, drugiego i trzeciego. Pal diabli serce i jakieś tam te inne detale. Jakie to szczęście, myślę, że żyjemy. A jednak zazdroszczę w duchu Hajnrysiowi, że mu łatwiej. On nie musi pamiętać. A może jestem niesprawiedliwy? W końcu on też nie wie, gdzie jest grób jego ojca. Tylko że o tych sprawach nigdy nie rozmawiamy. Mamy we krwi zasady fair play.

Fot. W. Jabłoński





# STEFAN CIEŚLAK

Dlaczego właśnie wybrałem Szczecin? — zastanawia się — Stefan Cieślak. — W czasie wojny wpadło mi w ręce wydawnictwo konspiracyjne „Szańcem Bolesławów”, w którym zobaczyłem zdjęcie Wałów Chrobrego. Pomyślałem, że gdy skończy się ta cała zawierucha warto by było zobaczyć to miasto. I będąc jeszcze w wojsku, korzystając z krótkiego urlopu, przyjechałem tu. Pamiętam jak kilkakrotnie chodziłem wokół placów i wciąż wracałem na to samo miejsce, z którego wyruszałem. Co to za miasto...

Zanim przyjechał do Szczecina... Nikt z czytelników codziennej prasy nie przypuszczał nawet, że ten znany fotoreporter już przed wybuchem wojny latał jako pilot na samolotach. W 1937 roku wstąpił do I Pułku Lotniczego. Służył w 111 Eskadrze Kościuszkowskiej, która potem była za

łążkiem powstania Dywizjonu 303. Skończył kurs pilotażu w Płocku. Należał do kadry podoficerskiej IV Brygady Wojsk Inżynieryjnych. I znów szkoła lotnicza, tym razem w Zamościu. W 1945 roku został skierowany do Dębłina, gdzie wraz z kolegami odbudowywał ze zniszczeń słynną „Szkołę Orła”.

Następnie kontynuował latanie w Modlinie i Radomiu. Był czynnym pilotem do 1947 roku.

Oglądam „Książeczkę roboczą” Cieślaka, w której jako pilot samolotu myśliwskiego robił podręczne notatki, kolorową kredką szkicował mapy, nanosił dane. Inny dokument z tamtego okresu to „Program szkolenia”, coś w rodzaju indeksu zawierającego przedmioty nauczania i oceny zdobywane za opanowanie wiedzy z każdego z nich. Tutaj są tylko bardzo dobre i dobre. No, i oczywiście fotografie Cieślaka w kombinezonie pilota, stojącego przy samolocie.

W czasie wojny, podczas lotów zwiadowczych towarzyszył mu zawsze aparat fotograficzny.

— Trzeba było szybko zdjęcie zrobić i natychmiast wywołać. Posiadałem te umiejętności. Już od dziecka, po amatorsku, zajmowałem się fotografowaniem — wspomina.

Rok 1947. Szczecin. Most na Odrze — skrzypiący, kołyszący się pod ciężarem pociągu. Ludzie obawiając się nieszczęścia wychodzili z wolno posuwających się wagonów. Młody lotnik został w przedziale. Za oknem gruzy. Kikuty budynków. Wiele miejsc zrównanych z ziemią. Straszy pustką i okrutnym zniszczeniem widok oglądany kiedyś na fotografii w konspiracyjnej broszurze.

Stefan Cieślak chodził po tych zgłiszczach z aparatem fotograficznym. Fotografował wszystko. Niemal spontanicznie. A gdzieś w podświadomości tkwiła myśl, że trzeba to utrwalić. Z czasem znikną gruzy, puste place pokryją zieleńce, parki, staną domy...

Po przejeździe do Szczecina podjął pracę w Komendzie Służby Polsce, w wydziale polityczno-wychowawczym, przemianowanej niebawem na Zarząd Wojewódzki Służby Polsce. Jeździł po województwie. Przygotowywał fotograficzne gazetki ścienne, serwisy informacyjne, kroniki wydarzeń. Ba, nawet robił zdjęcia z imprez sportowych dla telewizji u jej zarania.

Na pierwszym zdjęciu utrwalił pierwszy odbudowany w Szczecinie budynek przy ulicy Krzysztofa Kolumba. Na drugim odbudowane osiedle akademickie przy ulicy Bohaterów Warszawy i ulicy Sikorskiego. Zrobił też zdjęcie pierwszemu nowo wybudowanemu w naszym mieście gmachowi „Elektromontażu” przy ulicy Bohaterów Warszawy. Fotografował pierwszy pochód pierwszomajowy w powojennym Szczecinie, odgruzowywanie, budowę i rozbudowę Stoczni Szczecińskiej, historyczne już wodowanie „Oliwy” i „Czułyma” oraz wszystkie inne obiekty szybko przywracane do życia, oddawane do użytku — między innymi są to: Szczecińska Dzielnica Mieszkaniowa, „Famabud”, Elektrownia Pomorzany, Fabryka Kabli w Załomiu, Stadion „Pogoni”, fabryka „Selfa”, osiedle „Pomorzany”. To tylko nieliczne przykła-



dy, wymienione wyrywkowo, niechronologicznie, ale potwierdzające tezę, że rejestrował od początku wszystko, co działo się na ziemi szczecińskiej. W pierwszym etapie odbudowy były to inwestycje przemysłowe, potem domy i osiedla mieszkaniowe; uroczyste chwile ich otwarcia i imprezy z tym związane. Z biegiem lat powstawały całkiem nowe obiekty i powstają nadal, ale już bez euforii jaka towarzyszyła okresowi powrotów i odbudowy. Tak zrodziła się kronika przemian zachodzących w Szczecinie i województwie. Za dzieło to prowadzone na bieżąco do chwili obecnej (teraz w sposób bardziej wyselekcjonowany, pamiętając o tym, że zmieniły się kryteria wartości, potrzeby i zapotrzebowanie na pewne tematy w fotografii) został w tym roku wyróżniony nagrodą wojewódzką.

— Naprawdę byłem zaskoczony — zwierza się. — Przecież to normalna praca, chociaż ciężka. Staram się wywiązywać z niej jak najlepiej. Jak muszę zrobić jakiś materiał, na który czekają w redakcji, makietują zawczasu miejsce — nie zawiodę. Wiedzą koledzy, że mogą na mnie polegać. To mówię zupełnie otwarcie.

— A dla nas to było rodzinne święto — wtrąca Wanda Cieślak. — Uczciliśmy je przede wszystkim w rodzinnym gronie. Przygotowałam na tę okazję moją — dobrze znaną naszym gościom — zupę gulaszową ściśle według węgierskiego przepisu.

Ta atmosfera rodzinna w domu państwa Cieślaków panuje na co dzień. Sporo uwagi i czasu poświęca się domowi, dzieciom, wnuczce, prywatnemu archiwum fotografii i pamiątek skrupulatnie prowadzonemu przez panią Wandę, która oprócz tych obowiązków sama zajmuje się fotografowaniem, to również ceniony fotoreporter. Weszła do tego zawodu ze zwykłej kobiecej przekory. Nie chciała siedzieć sama w domu, gdy mąż miał stale wyjazdy służbowe, imprezy... więc nauczyła się robić zdjęcia. Od razu poszło niezle. Pierwsze fotografie robiła zastępując męża, który nie mógł być równocześnie w dwóch miejscach. I tak się zaczęło. Uzupełniają się w swojej pracy zawodowej. Wspólnie dyskutują nad tematyką, wyborem zdjęć. Razem przygotowali osiemdziesiąt fotogramów na trzydziestolecie „Głosu Szczecińskiego” przedstawiających Szczecin po działaniach wojennych i dzisiejsze miasto. Pamiętają jak kiedyś kupili wspólnie powiększalnik. To było przeżycie i jednocześnie sukces. Dzisiaj pani Wanda ma swoją specjalizację: rolnictwo. Zawsze jest obecna tam, gdzie „coś” się dzieje w tej branży, a to tysięczny tucznik wyhodowany w jakimś PGR, a to wzorowy gospodarz. Trzeba być wszędzie i utrwalać zdawałoby się te drobne sytuacje, momenty, ciche wydarzenia, osiągnięcia ludzkiej pracy. Poza tym — jak mówi — ma zaliczone wszystkie szczecińskie dachy, z których fotografowała panoramę miasta.

A więc fotoreporter pracuje w różnych warunkach, czasami w niecodziennych sytuacjach i miejscach, nierzadko wielce zabawnych. Ale oboje stanowczo zaprzeczają jakoby zawód ten wiązał

się z mitem niezwykłości, bohaterstwa, nawet gdy pan Stefan wspomina o tym jak fotografował znajdujące się 16 metrów pod kesonem Mostu Długiego albo jak stał z aparatem przy bramkarzu w czasie meczu na stadionie Pogoni, a kibice po prostu czekali aż się tam pojawi, bo wierzyli, że przynosi szczęście naszym zawodnikom. Zdarzyło się, że podczas jednego z takich meczów był kontuzjowany. Wszystko to zwykłemu słuchaczowi czy obserwatorowi wydaje się niepospolite, wyjątkowe, a na pewno ciekawe.

Gorsze jest to — zdaniem Cieślaka — gdy takie podejście do tego zawodu ma młody fotoreporter, który swoim zachowaniem przy pracy stwarza sztucznie wokół siebie atmosferę niezwykłości, stara się wzbudzić sensację i zachwyt dla siebie i swoich aparatów. A przecież nie o to chodzi w zawodzie fotoreportera. Podstawowa zasada to dyskretne i taktowne zachowywanie się, skromność, bycie jak najmniej widocznym przy pracy, lecz widzieć jak najwięcej, być uważnym obserwatorem i... lubić fotografować.

— „Lubi pan fotografować? — to pytanie zadał Cieślakowi w 1951 roku ówczesny redaktor naczelny „Kurieria Szczecińskiego” Bolesław Rajkowski. I przez 20 lat czytelnicy oglądali w swojej gazecie zdjęcia wykonane przez Cieślaka. Potem przeszedł do „Głosu Szczecińskiego”, w którym pracuje już 10 lat. A w sumie 30 lat w zawodzie fotoreportera, dodam — fotoreportera szczecińskiego, bo od pierwszych lat powojennych związany z naszym miastem, zna każdy jego zakątek, był świadkiem budowy wszystkich pierwszych inwestycji i tych najnowszych, wydarzeń politycznych, kulturalnych, gospodarczych. Od początku śledzi i utrwała budowę Zakładów Chemicznych w Policach. Natomiast jego żona od początku pilotuje powstanie i rozwój „Dolnej Odry”.

W pewnym momencie Cieślak stwierdził, że już nie fotografuje prawdziwego życia Szczecina, tak jak wówczas, gdy bywał na zwykłych przechadzkach. I czasu wystarczyło. Paradoks? Środowiskiem fotografa jest ruch, działanie, swobodne poruszanie się w rzeczywistości, umiejętność wykadrowania z niej obrazów pozornie błahych i nadanie im odpowiednich wartości. Teraz żyje się szybko. Przemiany, które następują nie są czymś nadzwyczajnym. Wszystko spowszedniało. Trudno o atrakcje. Kiedyś pierwszy dom, pierwszy zakład pracy, każdy skwerek stanowił niepowседневne zdarzenie. Dzisiaj normalnie tego się nie zauważa. Dlatego fotoreporter może nawet przypadkowi nadać rangę i znaczenie. Na zdjęciach dokumentalnych utrwała i przybliża to, co w chaosie różnych układów i sytuacji ginie. Wynika to z tego, że fotoreporter inaczej patrzy na to, co dzieje się wokół, prawdopodobnie dostrzega więcej niż kto inny.

ANNA STANKIEWICZ

# Karin Mathisen

Chór śpiewaczy  
ustawiony we właściwym szeregu:  
wszyscy z otwartymi ustami  
przygotowani do  
wysłania dźwięków  
w pustą przestrzeń.

Czemu tak cicho  
nawet jeśli Else jest chora?  
Od was  
nie żąda się zrozumienia.

No, więc kto  
wyszeptał wam słowa  
o Śmierci?

Dobra senność  
ciężko spoczywa  
na powiekach.

W głębi ciała  
pulsuje  
cięższe od niej zmęczenie.

Na szczęście oni wszyscy śpią  
oddychają  
obcym snem gdzieś  
w ciemności.

W czuwaniu słucham  
szelestu kołder,  
stóp o podłogę,  
nierównych oddechów.

Lecz noc pracuje  
spokojnie dalej  
przenosząc  
swoje umęczone dzieci  
wciąż bliżej  
nowego ranka

HALINA KUŹMA

MOJE

Kiedy rok temu ukazała się drukiem część tłumaczonych przeze mnie wierszy Karin Mathisen, zwrócono się do mnie z prośbą, abym uzupełniła tomik resztą wierszy i napisała do nich wstęp wyjaśniający, dlaczego właśnie te, a nie inne wiersze zwróciły moją uwagę. Wstęp, ponieważ krótko po tym przerwałam prace nad tomikiem, który wciąż czeka na napisanie. Myślę jednak, że o sytuacji, w której wiersze trafiły do moich rąk warto opowiedzieć.

Oto zdarzyło się, że spędziłam rok prawie w Norwegii. Otrzymałam stypendium uprawniające mnie do przebywania w jednej z tamtejszych folkehøgskole, czyli uniwersytetu ludowego, o którym do chwili wyjazdu wiedziałam tylko tyle, że znajduje się za kołem polarnym. Integrering — kiedy po raz pierwszy padło to słowo — a znaczy ono „integracja” — jeszcze nie wiedziałam, co się za nim kryje. Wróciliśmy z lotniska. Elin i Jan-Erik, dwoje nauczycieli, którzy odtąd mieli towarzyszyć większości moich przeżyć, wypytywali mnie, czy zdaję sobie sprawę z tego, jaką szkołą jest Soltun. Nie miałam pojęcia. Wybuchnęli śmiechem. Wszystko wydało mi się nowe, niezwykle, dlatego też nie zdziwiłam się wcale, kiedy usłyszałam w wyjaśnieniu: Soltun funkcjonuje na zasadzie integracji. Ludzie zdrowi przebywają tu razem z chorymi. Jedni i drudzy mają się uczyć wzajemnej akceptacji. Czy boję się ludzi unieruchomionych na wózkach inwalidzkich? Kalekich? Nie, nie bałam się niczego.

Dobiegał końca pierwszy dzień mojej podróży. Wspiealiśmy się na białą drogę mijając drogowskaz z napisem Soltun Folkehøgskole. Z rozświetlonych okien padało światło na tańczące sylwetki. Ktoś puścił muzykę na cały regulator. Parterowe domki zdawały się być zespolone z otaczającą je przestrzenią. Tańczące sylwetki tę przestrzeń uzupełniały.

Pierwsze dni mijają jak w kolorowym filmie. Przyroda naokoło to kompozycje brunatności, brązów, czerwieni. Jest jesień i niebo nad górami granatowieje już za dnia. Czekam na pojawienie się zorzy polarnej. Pierwsze wyprawy w góry i problem: do jakiej grupy zainteresowań mnie przydzielić. Na razie w ramach aklimatyzacji pozostają bez przydziału. Profil szkoły jest wyraźnie określony. Cel mojego przyjazdu również. Nie pokrywają się ze sobą. Pada nawet propozycja, abym nie przyjmując statusu ucznia przyłączyła się do grona nauczycieli i na własną rękę, przy ich pomocy, podjęła studia z zakresu kultury, literatury i języka. Nie chcę. Będąc w Soltun chcę poznać ją od środka. Spróbuję być więc uczniem. A w jakiej grupie? Astrid mówi: psychodrama. Truchleję. Nie czuję wewnętrznej potrzeby, nie chcę. Po wielu dyskusjach, kiedy okazuje się, że każda z grup nieci, a wybrać muszę tylko jedną i wiem na pewno, że nie będzie nią psychodrama, do wyboru pozostaje mi religia, nauki społeczne, muzyka, plastyka i grupa pod nazwą człowiek i przyroda, choć zgodnie z duchem czasu należałoby nazwę przetłumaczyć: człowiek i jego środowisko naturalne. Wybieram tę ostatnią. Surowość i bogactwo otaczającej przyrody fascynuje. Chcę mieć możliwość wypadów. Później będę mówiła, że poznałam przyrodę, a wciąż nie mogę poznać ludzi. Czasami osamotnienie osiągać będzie rozmiary odczuwalne wręcz jako fizyczna dolegliwość i wtedy ratować się będę właśnie ucieczką w plener. Na razie jednak wrogiem do pokonania pozostaje język. Bo północ to także dialekty. Na kartce, którą Jan wyrwał z notatnika, pojawiają się góry i doliny. Całe mnóstwo gór. Przyczyna geograficznej i niedysyjszej kulturalnej izolacji kraju. Także warunki umożliwiające powstanie i zachowanie tak dużej ilości dialektów, które zresztą zachowały prawo obywatelstwa na równi z oficjalnym językiem bokmal i nynorsk, utworzonym na bazie rdzennie norweskich dialektów. Czarną magią wydaje mi się wszystko, o czym rozmawiają między sobą uczniowie. Tylko nauczyciele posługują się językiem, który rozumiem bez większych przeszkód. W dodatku prawie wszyscy chcą okazać mi sympatię zadają przy powitaniu pytanie, które mimo że, za każdym razem brzmi tak samo, za każdym razem brzmi jednak inaczej: Kusentrives'uher? — było wersją najczęstsza. To znaczy jak ci się podoba w szkole? Powinnam natychmiast odpowiedzieć, że bardzo i okrasić to jeszcze uśmiechem. Nie byłoby w tym cienia fałszu, oni takie odpowiedzi oczekują. Ja jednak upieram się za każdym razem, aby powtórzyli pytanie w nadziei, że może teraz usłyszę coś innego. Umiejętności wyczuwania charakteru stawianych pytań, nastroju jaki wytwarzał się między mną a moimi rozmówcami, tego instynktownego reagowania na naturę człowieka i jego stosunek do mnie bez pomocy słów,

# SKANDYNAWIANA

nauczyłam się nieco później. Mam wrażenie, że dzieci w ten sam właśnie sposób reagują na nieznanym, zanim nauczą się rozróżniać mowę i zanim same posiadają zdolność systematyzowania swoich wrażeń.

Któregoś dnia złożyłam wizytę Bjørnowi. W pokoju Bjørna przesiadywały zazwyczaj dziewczyny szukające ucieczki przed uładzoną dobrymi chęciami rzeczywistością, nieprzystosowane także do życia w szkole, nieufne. Bjørn siedział jak zwykle po turecku, kołysząc się z lekka podczas całej rozmowy. Mówił bardzo szybko. Pokój miał zarzucony niedopałkami papierosów i butelkami po Coca Coli i sokach. Picie alkoholu na terenie szkoły było zabronione. Słuchaliśmy głośnej muzyki. Bjørn palił i mówił wyrzucając z siebie masę słów. Jego myśli musiały pędzić z zastraszającą szybkością, a Bjørn próbując je dogonić śpieszył się z każdym słowem, ja za to, żeby dobrze go zrozumieć, bo mówił w dodatku niewyraźnie, z natężeniem wpatrywałam się w jego usta. Próby mówienia wolno najwyraźniej go męczyły. Mówiąc o literaturze Bjørn wpadał w trans. Pościel wałała się na łóżku, na którym siedział, ubranie przemieszane z pościelą nie pamiętało pory roku ani dnia, kiedy je tam rzuciono, a zaabsorbowany literaturą i drugim swoim ulubionym tematem, schizofrenią Bjørn chyba nigdy nie spostrzegł, że w jego pokoju zapach dymu, potu i indywidualny każdego z gości połączył się w mieszaną chwilami trudną do zniesienia. Bjørn nie lubił zimy, która na północy ciągnęła się miesiącami. Męczyła go jej nieustanna biel i chłód, dlatego z rzadka, jak prawdziwy niedźwiedź, opuszczał swoją norę.

To u niego zobaczyłam kiedyś tomik będący debiutem Karin Mathisen. On także polecił mi książkę, na podstawie której nakręcono w Stanach Zjednoczonych film o dziewczynie chorej na schizofrenię („I've never promised you the rose garden”). Spośród stosu książek, jakie ustawił przede mną, wybrałam jednak tomik wierszy. Wydawał mi się prostszy w czytaniu, mówił poza tym o rzeczywistości, która działa się wokół mnie w szkole. Powoli zaciera się w mojej pamięci twarz dziewczyny z fotografii na okładce tomiku. Dwudziestoletnia, z krótko obciętymi włosami blondynka o chłopięcej urodzie i poważnych oczach. Zapamiętałam jeszcze miejsce urodzenia Sandar, Norwegia. Wiersze powstały w zakładzie dla niedorozwiniętych, a całość poświęcona była jego pensjonariuszom: dziewczynie o imieniu Unni i innym. Wiedziałam, że zatrzymam się na dłużej przy tej książce. To, o czym pisała Karin było mi bardzo bliskie. Tutaj też uśmiechała się do mnie Unni o skośnych niebieskich oczach, a jej okrągła sylwetka opięta w wieczny płaszcz pojawiała się jak cień wszędzie tam, gdzie pojawiał się Jan-Erik. Tacy nieprzystosowani do życia z różnych przyczyn stanowili w mojej szkole jedną czwartą uczniów. Wspominałam już, że Soltun była szkołą niezwykłą. Jej niezwykłość polegała na próbie przewyciężenia pewnych schematów myślowych, które powodując sztuczny podział społeczeństwa na ludzi, którzy ludźmi są i tych, którym nadaje się tylko to miano, a w rzeczywistości traktuje jako gorszych i uciążliwych jego członków. O ile ulomność fizyczna prawie natychmiast rzucała się w oczy, to byli wśród nas ci, których kalectwo głębiej ukryte i z pozoru niezauważalne według oficjalnej nomenklatury nazwane zostało mianem schizofrenii, narkomanii, alkoholizmu, bądź zwykłego nieprzystosowania społecznego. Zamiarem szkoły było przywrócić im poczucie własnej wartości, a reszcie uczniów uzmysłwić, że nie każda inność musi być równoznaczna z odrzuceniem. Na co dzień życie w szkole toczyło się normalnym trybem. Uczniowie chodzili na zajęcia, na których pogłębiali swoje zainteresowania, śpiewali w chórze, spotykali się ze sobą w pokojach, urządzali wieczory kulturalne, wyprawy w góry, do lasu, nawet do dalekiej Laponii, a kiedy stopniały lody w zatoce i słońce zatrzymało się nad horyzontem, na nocne wyprawy na kanu. Każdy dzień rozpoczynało poranne zebranie, na którym omawiano sprawy bieżące, problemy mniejszej i większej wagi. Dyżurny nauczyciel rozdawał lekarstwa i przez cały dzień był do dyspozycji wszystkich, którzy mieli ochotę z nim porozmawiać o swoich problemach. Nauczyciele mieszkali na terenie szkoły razem ze swoimi rodzinami w małych domkach, a uczniowie w internatach. Jest to jedna z zasad, na których opiera się funkcjonowanie uniwersytetu ludowego. Mała społeczność licząca stokilkadziesiąt osób przez rok żyje i mieszka ze sobą na tym samym terenie. A przez rok może zdarzyć się wiele.

# karin mathisen

**Jutro  
wszystkie twoje skargi  
będą wysłuchane  
twierdzenia  
słuszne.**

**Jutro upokorzę się  
otoczę twoją poruszoną  
twarz  
czułymi słowami  
i zaśpiewam spokojnie  
poprzez twój krzyk.**

**Nie dzisiaj  
kiedy jestem tak zmęczona  
ale być może jutro.**

**Wzdłuż korytarza  
posuwa się  
wspaniałą przykład  
wiecznej młodości.**

**Unni ma 20 lat  
i mongolskie spojrzenie.**

**Zmieszałam twoje wino  
z wodą.  
Nie tknęłaś go nigdy  
pozwalając mi siedzieć i pić  
w osamotnieniu.**

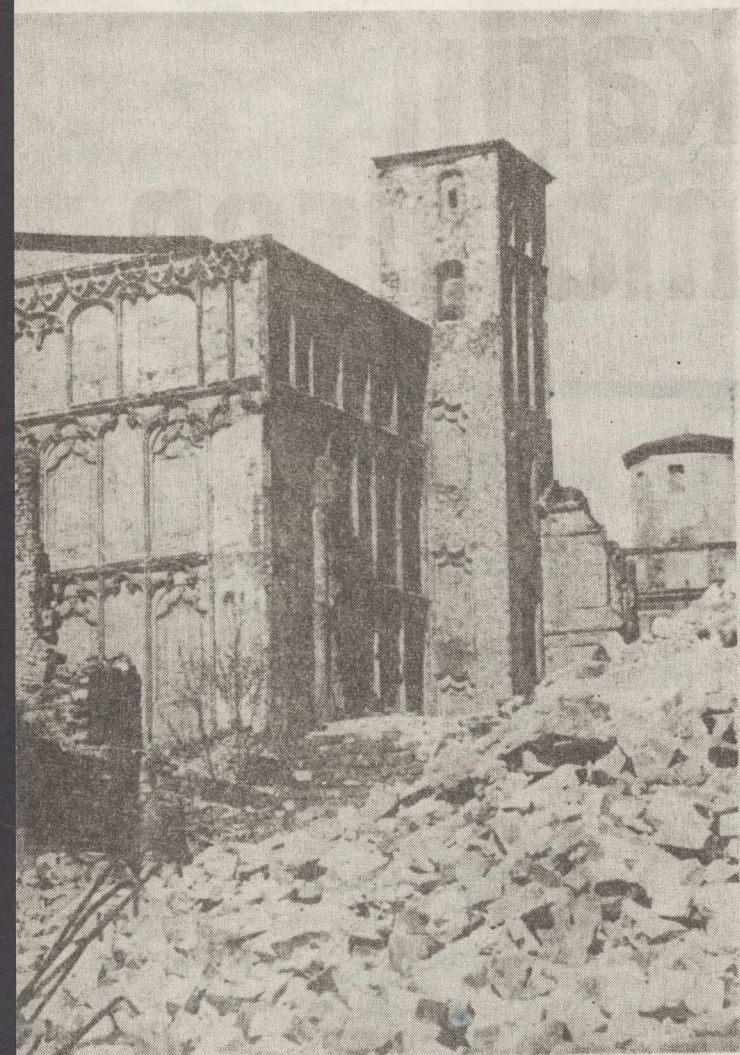
**Dostrzegłaś jednak  
mimo ślepych oczu?  
Przebacz,  
uczyniłam to  
w biedzie.**

PIOTR JAWORSKI

## O NOWĄ PERSPEKTYWĘ DLA MARYNISTYKI

Charakterystyczną cechą każdej naukowej i krytycznej refleksji nad marynistyką literacką jest próba ponownego, głębszego i pełniejszego zdefiniowania pojęcia „marynistyka” i odniesienia rezultatu tych przemyśleń do literatury. Niekorzystne — w moim przekonaniu — piętno na tych próbach wyciska ich okazjonalność, powiedzieć można: doraźność, tymczasowość. Próby takie podejmowane są wprawdzie stosunkowo często, ale zawsze przy okazji przygotowywania większej całości: syntezy literatury morskiej danego kraju<sup>1</sup>, poszukiwania prapoczątków funkcjonowania motywów nautycznych w literaturze<sup>2</sup>, czy wreszcie przy okazji pisania wstępów do różnego rodzaju antologii tekstów literackich, tematycznie związanych z morzem<sup>3</sup>. Wszystko to sprawia, że refleksja generalna nad zakresem i sensem pojęcia „marynistyka”, ciągle jeszcze tkwi w sferze badań potencjalnych. Jesteśmy zatem świadkami sytuacji nieco paradoksalnej. Zainteresowanie sprawami morza znajduje poczesne miejsce w świadomości zarówno artystów: literatów, rzeźbiarzy, malarzy, jak i naukowców: literaturoznawców (choć tu pojęcie marynistyki jest chyba najbardziej niedowartościowane), historyków, socjologów, ekonomistów, itd. I artyści, i naukowcy zgodni są co do jednego: morze pełni w kulturze narodu rolę doniosłą, częstokroć nie jest ono doceniane przez bezpośrednio zainteresowanych. Ale w tym miejscu zgodny dotychczas chór nagle traci swą harmonię, by rozpaść się na kakofonię głosów poszczególnych. Wynika to stąd, że na gruncie każdej dyscypliny naukowej i każdej ze sztuk (choć tu „rozrzut” jest znacznie mniejszy) akcentuje się właściwe dla danej optyki poznawczej czy estetycznej aspekty morza. Z przyjętego w szkicu punktu widzenia nie jest to jednak problem naczelny i nie tu leży przyczyna niepowodzeń nauki o sztuce w bezpośrednim kontakcie ze zjawiskami estetycznymi, tematycznie wyrosłymi z problematyki morskiej.

Podstawowej przyczyny wspomnianych niepowodzeń (głównie natury systematyzacyjnej) doszukiwać należy



Fot. S. Cieślak

się wcale nie w ilości podejmowanych prób uporządkowania wynikłych z morskiej problematyki zjawisk artystycznych, a w ich jakości. Generalny zarzut, jaki można postawić krytycznej i naukowej refleksji poświęconej sztuce związanej z morzem sprowadza się do stwierdzenia, że — mimo wielu czynionych już prób — termin „marnistyka” pozostaje ciągle pojęciem niedostatecznie i chaotycznie wyartykułowanym. Każdorazowo trzeba od nowa precyzować i dookreślać zakres pojęciowy terminu, prawie każdej syntezy czy antologii towarzyszy (i, co gorsza, towarzyszyć z powyższych względów musi) zdanie sprawy z aktualnego i na użytek danej pracy sformułowanego zakresu pojęcia. Aby nie być gołosłownym przytoczę pierwszy z brzegu przykład. W stosunkowo nowym opracowaniu<sup>4</sup>, podejmującym interesującą mnie kwestię znajdujemy cały rozdział pod charakterystycznym tytułem „W kręgu sporów o marnistykę”. Głos Jana Tuczynskiego nie jest ani odosobniony, ani tym bardziej nie stanowi zjawiska wyjątkowego. Jest raczej próbą podsumowania, zbilansowania doczającej się od kilku lat dyskusji, pełnej wzlotów i raptownych załamania, poświęconej sprawom marnistyki. Nie ma w tej chwili większej potrzeby przywoływania wypowiedzi ludzi, dla których marnistyka (przynajmniej w jakimś okresie ich twórczej działalności) stanowiła zasadniczą treść zainteresowań. Warto jednak, koniecznie z komentarzem, przytoczyć za Janem Tuczynskim istotę tego sporu: „1. Termin «marnistyka» jest wciąż terminem wieloznacznym i różnie rozumianym. Pisarze i publicyści podkładali i podkładają pod słowo «marnistyka» coraz to inną treść; 2. klasyfikacja według kryterium tematycznego nie ma uzasadnienia, zwłaszcza jeśli się łączy z tendencjami autonomicznymi marnistyki; 3. do tematyki marnistycznej należą nie tylko okręty, marynarze, praca w morzu, lecz także bliskie i dalekie wybrzeże; 4. morsko-okrętowe środowisko pracy ma wpływ na osobowość i obyczajowość człowieka. Wszelako to morsko-okrętowe czynniki są «neutralizowane coraz bardziej przez inne elementy, nawarstwiające się z wiekami postępu i cywilizacji»; 5. warsztat pisarski marnisty jest tylko w ograniczonej mierze uwarunkowany przez «realia morskie». Marnistą nie musi być tylko zawodowy marynarz czy człowiek obcujący z morzem, lecz również pisarz spoza środowiska morskiego; 6. należy oczyścić marnistykę z «mitów morskich», które się zrodziły i rozwinęły na gruncie «światopoglądu morskiego», należą do nich: człowiek morza, kultura morska, człowiek w służbie morza, autonomizacja marnistyki, fetyszycyzacja żywiołu morskiego. Ta demitologizacja jest konieczna ponieważ zmieniła się sytuacja geopolityczna Wybrzeża i zmieniły się warunki pracy na okręcie. «Dziś praca marynarza-elektryka czy marynarza-mechanika na wielkich statkach w niczym się nie różni od podobnej pracy elektryka czy mechanika na lądzie»»<sup>5</sup>

Głównym — z mojego punktu wi-

dzenia — rysem przytoczonego tu bilansu głosów w sprawie marnistyki jest ściśle powiązanie deklaracji wyrażanych dyskursywnie (wywiady, szkice krytyczne, manifesty, deklaracje programowo-estetyczne pisarzy marnistów) z empirią, z żywą i ciągle ewoluującą literaturą morską. (Do kwestii ewolucji literatury morskiej jeszcze powrócę szerzej w dalszych partiach tekstu). Stwierdzenie to tylko z pozoru ma wartość banalną, jest truizmem. Rzecz bowiem sprowadza się nie tyle do binarnej interakcji literatura — refleksja krytyczna, ile należy ujmować ją w ciągu gradualnym: kulturotwórcza funkcja morza — sztuka „marnistyczna” — meta-wypowiedź „marnistyczna”.

„Zaznaczony konkretny rozwój gospodarki morskiej z pogłębieniem i poszerzeniem świadomości morskiej — powiada J. Tuczynski — ma charakterystyczne odbicie w powiększaniu się zakresu przedmiotów przynależnych do pojęcia marnistyki: do malarstwa dochodzi literatura, potem w ogóle plastyka, muzyka, film, fotografia artystyczna, każda działalność artystyczna. Wreszcie pojęcie marnistyki coraz częściej wymienia się z wyrażeniami kultura marnistyczna, albo kultura morska. Znamienny i osobliwy zarazem przykład owej spójności rozwoju bazy gospodarki morskiej z rozwojem marnistyki i przekształceniami jej terminologicznymi oznacza, przykład twórczej ingerencji do formowania się nowych struktur kulturowych i nowych pojęć”<sup>6</sup>. Trudno przywołanym tu sformułowaniu Tuczynskiego odmówić słuszności, ale jeszcze trudniej zaakceptować je w pełni. Cały bowiem wywód myślowy autora tylko z pozoru wypływa z przytoczonej wyżej przesłanki, której doniosłość i znaczenie dla rozwoju sztuki morskiej znacznie wcześniej zauważyli i docenili twórcy. Jest rzeczą oczywistą, że każda sztuka (w tym także — a nawet przede wszystkim — literatura) jest funkcją kontekstu socjopolitycznego, z którego wyrasta. Oczywiście, rzecz nie w tym, aby literatura w mechaniczny sposób przenosiła do sfery sztuki zmiany zachodzące na płaszczyźnie ekonomiczno-politycznej. Mówiąc, że literatura jest funkcją mamy na myśli przede wszystkim tę właściwość literatury, którą można określić jako zdolność do podejmowania dialogu z warunkującym ją kontekstem, w którym to dialogu relacja literatury do towarzyszącej jej rzeczywistości pozaliterackiej rozpięta jest między biegunami aprobaty i negacji, z całą gamą stanowisk pośrednich. W tak rozumianej literaturze czynnikiem o znaczeniu najdonioślejszym jest ściśle współrzutowanie na siebie wszystkich wyżej określonych elementów triady. Mówię współrzutowanie, bo nie są to relacje jednokierunkowe. Nowej jakości rozumienia morza na płaszczyźnie ekonomiczno-politycznej towarzyszą zmiany w optyce estetycznej — odwrót od mitologizacji na rzecz poszukiwania „prawdy morza”, chociaż ta ostatnia kategoria jest dość enigmatyczna. Skoro zaś sztuka wchodzi w coraz bardziej ściśle związki z problematyką gospodarki morskiej, z politycznymi aspektami morza, coraz silniej akcen-

tuje nie tylko problematykę „oceaniczną”, ale również „lądową”, „przymorską” (port, pobrzeże, przemysł morski), to fakty te nie mogą zostać pominięte w refleksji nad określeniem dzisiejszego statusu marnistyki. Innymi słowami jesteśmy współcześnie świadkami charakterystycznego procesu, jaki zachodzi na gruncie marnistyki. Generalnie można go ująć w kategoriach odrotu od zmitologizowanego kiczu morskiego, którego wykładnikiem w strukturze utworu jest znaczne zagęszczenie pierwiastka emocjonalnego (dotyczy to w równym stopniu kreacji bohatera morskiego jak i ewokowanych przez utwór mechanizmów lektury). Miejsce opuszczane stopniowo przez kicz mityzacyjny zajmuje pierwiastek racjonalny. Obserwujemy dążenie do zobjektywizowania morza w przekazach estetycznych, do intelektualizacji problematyki morskiej, będącej treścią utworów literackich (w mniejszym stopniu dotyczy to zresztą całej „sztuki morskiej”). Nie jest to, rzecz jasna, proces dokonany, a pierwiastek racjonalny jest ciągle jeszcze jakością bardziej potencjalną niż rzeczywistą, jest jakością — rzeźby można — in statu nascendi. Jedno jest wszakże pewne: kicz, egzotyka morska stały się wartościami zdewaluowanymi, a ich szczątkowa postać pojawia się w utworach w zupełnie nowej funkcji. Nie jest już wartością autonomiczną, a jedynie pomostem łączącym „starą” marnistykę z „nową”. Elementy egzotycznego sztafetu morskiego funkcjonują przede wszystkim jako czynnik nawiązania wstępnego dialogu z odbiorcą, co może świadczyć o tym, że proces przewartościowania literatury marnistycznej ciągle dokonuje się, skoro nowe jakości — z punktu widzenia nadawców — mogą być nie w pełni jeszcze akceptowane przez czytelnika.

Raz jeszcze oddajmy głos Janowi Tuczynskiemu, który definiując termin „marnistyka” dochodzi do takiej konkluzji: „Jest to na pół logiczne, na pół psychologiczne, a więc emocjonalno-logiczne pojęcie, które symbolizuje zakres tworów literackich i artystycznych z charakterystyczną cechą «morskości» — i równocześnie koncepcją ideowo-literacką czy w ogóle artystyczną oraz kulturalną, postulującą «przebudowę» mentalności lądowej na morską”<sup>7</sup>. Z całą pewnością definicja ta oddaje w jakimś stopniu aktualny stan marnistyki literackiej, daleko jej jednak do doskonałości czy uniwersalności. Sztynne trzymanie się znanych aktualnych i przeszłych dokonań na gruncie literatury morskiej musi prowadzić do niebezpiecznych ograniczeń w optyce poznawczej.

Wadą naczelną wszystkich metawypowiedzi dotyczących marnistyki jest to, że nadmiernie, wręcz niewolniczo, trzymają się one wyłączenie literatury i wszelkie ustalenia teoretyczne dotyczą tylko sztuki słowa. Izolowanie literatury od innych dziedzin sztuki jest zabiegiem upraszczającym problematykę marnistyki. Ponadto w nikłym tylko stopniu odpowiada dokonaniom współczesnych pisarzy — marnistów. Generalnie zaś, z łatwością można uchwycić tendencję do traktowania pojęcia „marnistyka” w kategoriach

genologicznych. Milcząco przyjmuje się założenie, że „marynistyka”<sup>1</sup> jest odrębną zupełnie sferą literatury czy sztuki w ogóle. Obecność problematyki morskiej na obszarze wszelkich dokonań artystycznych (i nie tylko artystycznych) w niczym nie uzasadnia tezy o genologicznym czy estetycznym charakterze terminu „marynistyka”. Wręcz przeciwnie. Wielość dokonań artystycznych i wzrost zainteresowania problemem morza widoczny przede wszystkim na gruncie nauk społecznych każe widzieć w pojęciu „marynistyka” głównie kategorie społeczno-kulturowe, w której morze pełni funkcję ośrodka konstytuowania specyficznych wartości i pojęć. Przekonanie to nie jest bynajmniej żadnym novum, szczególnie gdy prześledzi się w perspektywie historycznej znaczenie morza w procesie kształtowania kultury i struktury społecznej tych krajów, których położenie geograficzne od pradziejów wiązało je z morzem.

Nie jest moją intencją szczegółowe i systematyczne referowanie morskich koncepcji kulturowych ani też roli morza w procesie powstawania i rozwoju państw morskich, bowiem zamysł taki znacznie przekroczyłby ramy skromnego szkicu. Idzie mi zaś tylko o to, aby wskazać z jednej strony wielość kulturotwórczych funkcji morza, z drugiej zaś — przenikanie różnych aspektów morza do sztuki, co może jednocześnie stać się przyczynkiem zarówno do naświetlenia zagadnienia ewolucji sztuki morskiej, jak i uzasadnieniem — by tak rzec — „polifonicznego” widzenia problematyki morskiej.

Już w starożytności obserwujemy powstanie i rozkwit krajów i narodów, których egzystencja państwowa i ekonomiczno-społeczna ściśle warunkowana była stopniem wykorzystania morza. Przykłady ilustrujące to stwierdzenie można mnożyć w nieskończoność — wystarczy jednak przywołać tu państwo i kulturę Fenicjan, jako typ państwa zasadniczo morskiego. „Fenicja obejmowała łańcuch małych portów opartych plecami o zbocza gór, położonych na półwyspach i wysepkach, jakby nie chciały mieć nic wspólnego z kontynentem, często nazbyt nieprzyjaznym. Tyr, obecnie połączony ze stałym lądem przez naniezione rumowisko brzegowe, pierwotnie był zbudowany na wąskiej wyspie. Miasto znajdowało tam zaspokojenie najważniejszych swych potrzeb: możliwość skutecznej obrony; dwa porty — jeden na północy, łączący miasto z Synodem, drugi na południu, obsługujący żeglugę w kierunku Egiptu; wreszcie źródło wrzącej wody pitnej, tryskające i ujęte pośrodku wód morskich. Dostarczenie całej reszty — żywności, wina, oliwy, surowców — należało już do żeglarzy”.<sup>8</sup> Morski charakter Fenicji nie jest bynajmniej ewenementem w świecie antycznym. W cytowanym już artykule Fernanda Braudela czytamy: „U zarania II tysiąclecia wylaniają się dwa obszary nadmorskie dostarczające statków i żeglarzy: wybrzeże Libanu i wyspy Morza Egejskiego. Istnieją już Proto-

fenicjanie, istnieją już Protogrecy. Pomimo wielkiej aktywności ich następców na wybrzeżach Morza Egejskiego i Azji Mniejszej, to oni byli bezsprzecznie głównymi sprawcami pierwszych narodzin basenu śródziemnomorskiego jako obszaru wymiany handlowej, basenu ograniczonego jeszcze do wschodniej połowy (Lewantu), lecz stanowiącego już jakby jednolity obszar gospodarczy, w obrębie którego wkrótce będzie się wymieniać wszystko — dobra materialne, technologie, mody, upodobania, ludzi oczywiście i nawet korespondencję dyplomatyczną. Tak oto powstaje fenomen stanowiący niezwykłą nowość, kultura kosmopolityczna (podkr. moje — P. J.), w której można rozpoznać wkład różnych cywilizacji zbudowanych na morskich obrzeżach lub na samym morzu”.<sup>9</sup>

I jeszcze jeden, może nieco długi cytat, ale odnotowujący podobne zjawiska na północy Europy, przede wszystkim w basenie Morza Bałtyckiego, cytat z artykułu Jana Białostockiego: „Podróżujący po północnej Europie historyk sztuki nie może oprzeć się wrażeniu, że istnieje jakaś jednolitość artystyczna na obszarze, który rozciąga się wokół Morza Bałtyckiego, na terenach sięgających na zachodzie Holandii i pobrzeżnych prowincji Niemiec, obejmujących Danię, Szwecję, północną Polskę i dalej na wschód aż po Rygę i Tallin. Równocześnie ów historyk sztuki może stwierdzić, że na tych terenach brak jest zjawisk uważanych za typowe dla Francji, południowych Niemiec, Włoch czy Hiszpanii. Jest skłonny przyjąć, że ma do czynienia z regionem artystycznym rozciągającym się od holenderskiego pogranicza do bałtyckich republik ZSRR (na dzisiejszej mapie politycznej Europy). (...) Sztuka stanowiąca punkt wyjścia około 1500 roku była oczywiście głęboko zakorzeniona w późnogotyckiej kulturze, właściwej dla całego obszaru północnoeuropejskiego, szczególnie silnie powiązanego kontaktami łączącymi miasta przynależne do związku hanzeatyckiego. Warto przypomnieć, że kościół Marii Panny w Lubecie, zbudowany w końcu XIII i w początku XIV wieku (ukończony w 1350) w oparciu o najbardziej aktualne wzory brugijskie i gandawskie stał się modelem dla licznych kościołów obszaru bałtyckiego. Naśladowano go w Malmö, Szlezwiку, Wismarze, Lüneburgu, Doberanie, Schwerinie, Rostocku, Dargunie, Parchimie, Stralsundzie, Rydze, Tallinie, Dorpacie. Podobne łańcuchy „pierwszych obiektów” i „replik” w różnych dziedzinach przyczyniały się do znacznej jednolitości regionu. Że takie ciągi mogły powstawać, wynikało z podobieństwa społecznych i ekonomicznych funkcji sztuki i architektury w handlowych miastach portowych” (podkr. moje — P. J.).<sup>10</sup>

Otóż właśnie. Zarówno w czasach antycznych, jak i w erze nowożytnej, morze pełniło niezwykle doniosłą rolę czynnika silnie integrującego rodzące się byty państwowe i kulturowe. Wraz z rozwojem żeglugi, a tym samym zwiększeniem częstotliwości kontaktów narodów odległych (tak geograficznie, jak i kulturowo) dokonywały się niebagatelne przemia-

ny we wszystkich bez wyjątku sferach życia ludzkiego. Morze jak gdyby zmniejszało dystans między krajami i ułatwiając, a także przyspieszając, kontakty narodów, stwarzało możliwość wymiany nie tylko dóbr materialnych, ale także rzutowało na światopogląd ówczesnych ludzi. Niwelując oddalenie geograficzne dzięki wykorzystaniu wodnych (w tym także i morskich) szlaków komunikacyjnych dokonywał się zasadniczy skok jakościowy zarówno w stylu i sposobie życia, jak i w wyobrażeniu o budowie i naturze świata. Era wielkich odkryć geograficznych jest tego nader wymownym przykładem. Przy wszystkich pozytywach morskiej ekspansji należy również pamiętać o zjawiskach negatywnych (rodzenie się imperiów morskich, kolonizacja i wyniszczenie ludności autochtonicznej na obszarach zdobytych, rywalizacja potęg morskich o strefę wpływów, konfrontacje ideologiczne i militarne), ale są to przecież zjawiska, które do dziś wyciskają swe piętno na kulturowej i politycznej mapie świata. Zlekceważenie wpływu, jaki wielkie wyprawy morskie XV—XVII wieku wywierały na intelektualne i emocjonalne horyzonty ówczesnych ludzi, byłoby karygodnym błędem. Podobnie jak nie sposób przecenić konfrontacji z różnymi lokalnymi kulturami etnicznymi, wierzeniami, religiami, obrzędami i rytuałami. Tym bardziej, że wiele z nich bezpośrednio wiąże się z morzem, bądź morza dotyczy. Z całą pewnością dla osiadłych i przez wieki całe nie mających kontaktu z inną oprócz swojej i bliskich sąsiadów kulturą, w dodatku silnie unifikującą się pod wpływem chrystianizacji Europejczyków, zetknięcie się z wierzeniami i obrzędami obcych, nieznanymi ludów musiało być bardzo silnym przeżyciem. Jakkolwiek prawdą jest również to, że z papieskim błogosławieństwem i imieniem Chrystusa na sztandarach liczni Cortezowie skutecznie nawracali pogan (ergo: unicestwiali ich samych a także ich „barbarzyńskie” obrzędy) boć przecież nie fascynacją nieznaną kulturą kazała podejmować ryzyko długotrwałych i niebezpiecznych wypraw za ocean, a chęć zdobycia dóbr materialnych i kolonii. Jednakże z całą pewnością groza żywiołu morskiego, który podówczas był o wiele bardziej niebezpieczny niż dzisiaj, uzyskiwała dodatkowe i niebagatelne, wsparcie w przyswajanych sobie przez odkrywców i zdobywców, i zapewne przekazywanych po powrocie innym, mitach i obrzędach ludzi podbijanych. Czyż sam fakt spotkania z nieznanym nie jest dostatecznym powodem dla powstawania legend? Z całą pewnością „mityzacyjny” nurt we współczesnej marynistyce nie jest bezsporną kontynuacją szesnasto- i siedemnastowiecznych zapisków z podróży, dziuryszy, dzienników i innych — dziś powieździeliśmy (ze względu na znaczny udział w treści dokumentów imagacji ich autorów) — przekazów paradokumentalnych. Ale też wycisnęły one piętno zarówno na świadomości współczesnych pierwszym odkryciom i wielkich żeglarzy, jak i potomnych. Niebagatelną rolę odgrywa pierwiastek akwatywny w mitach kosmogonicznych. Począwszy od mitów pe-

lazgijskich, przez protohelleńskie do chrześcijańskich wyobrażenia o prawie świecie sprowadza się do świadomości istnienia dwóch żywiołów: oceanu i przestworzy. Chaos przeistacza się w Kosmos za sprawą Demiurga i z oceanów wylania się ziemia, a wraz z nią, życie. Wariantem pramitu kosmogonicznego jest słowiańska ludowa wersja powstania świata. Pozwolę ją tu sobie przytoczyć in extenso w wersji uprzystępnionej przez Joannę i Ryszarda Tomickich w pracy „Drzewo życia”: *Przed stworzeniem świata nie było nic, tylko niebo i morze. Bóg pływał po morzu w łódce i napotkał ogromną i gęstą pianę, w tej pianie mieszkał diabeł. — Kto żeś ty? — zapytał Bóg. — Weź mnie do siebie, do łódki, to ci powiem — odpowiedział czart. — No chodź — rzekł Bóg — a zarazem ustyszał: — Ja jestem czart — odpowiedź wchodzącego. Milcząc płynęli. Diabeł zaczął mówić: — Dobrze by było, gdyby miejsce, po którym płyniemy było twarde. — Będzie — rzekł Bóg — zajdź na dół w morze i przynieś mi ziemi garść, mówiąc, że bierzesz w moim imieniu, przynieś, uczynię z tego piasku ziemię. Diabeł poszedł, nabrał piasku w garść mówiąc: — Biorę cię w imieniu moim. Gdy wyszedł na wierzch, nie zostało ani ziarenka piasku. Poszedł drugi raz mówiąc: — Biorę cię w imieniu Jego. Gdy wrócił, zostało mu trochę piasku za pazurami. Bóg wziął ten piasek, posypał na wodę i stała się ziemia, ale tylko tak duża, że mogli się obaj wygodnie położyć. Położyli się tedy, Bóg ku wschodowi, diabeł ku zachodowi. Gdy diabeł się zdawało, że Bóg zasnął, zaczął go spychać, aby upadł do morza i utonął i zginął. Ale nadaremnie, ziemi pod Bogiem przybywało i rozszerzała się daleko ku wschodowi. Widząc to czart jął pomykać ku zachodowi, dalej ku południu i północy, a przez to ziemia rozszerzała się we wszystkie strony. Bóg obudzwszy się ustął i poszedł na niebiosy. Czart pobiegł za nim, wtedy Bóg skinął, pioruny zaczęły uderzać, błyskawice zabłyśły i diabeł stracony został w przepaść.”<sup>11</sup>*

Podobne mity występowały na terenie całej słowiańszczyzny. Istotą mitu słowiańskiego jest przekonanie o powstaniu ziemi w „rezultacie współdziałania dwóch antagonicznych bóstw, z których jedno skojarzone jest z niebem, a drugie z morzem. (...) Początkową sytuację mityczną można więc rozpisać w schematycznej postaci:

Bóg — niebo — ogień — męskie  
Diabeł — morze — woda — żeńskie”<sup>12</sup>  
Przypisanie płci obydwu żywiołom znane jest również z rosyjskiego powiedzenia ludowego, że świat powstał z cara — ognia i carycy — wody. Cechą zasadniczą lokalnych (tu: słowiańskich) transpozycji pramitu kosmogonicznego jest nadanie żywiołom cech etycznych: świat jawi się tu jako efekt antagonicznego działania sił uważanych za dobre i złe, pozytywne i negatywne. Strefy wpływów czy zakresy działania tych sił z konieczności zatem musiały uzyskać określoną waloryzację etyczną, której wynikiem było utrwalenie się w swia-

domości ludzkiej przekonania o względnym bezpieczeństwie lądu, pozostającym w opozycji do grozy morza.

W świetle tego, co dotąd zostało powiedziane, wyraźnie zarysowują się uwarunkowania „mitycznego” nurtu w marynistyce i jego miejsca w całym dorobku wiedzy o morzu. Z perspektywy historycznej wyraźnie wylania się przesłanka pozwalająca traktować morze w kategoriach bardziej lub mniej uświadamianej gry pierwiastka racjonalnego i irracjonalnego, intelektualnego i emocjonalnego. Oczywiście mechanizm ten wiązać należy przede wszystkim z szeroko rozumianą sferą kultury w ogóle, w głównym jednak stopniu z rodzajem się lokalnym folklorem morskim, a także z rozbudowaną sferą obrzędów i rytuałów morskich.

Rzecz charakterystyczna, że wszystkie morskie straszdyła silnie nacechowane są wyobrażeniami lądowymi, są jak gdybyorskimi replikami funkcjonujących do dzisiejszego dnia w folklorze diabłów, smoków, węży, itp. Również w ich wyglądzie obserwujemy tendencję do daleko idącej antropomorfizacji. Zaświadczony w legendzie wygląd syren czy ich męskiego odpowiednika — trytonów — zawsze zawiera pierwiastek ludzki, a postać takiego np. biskupa morskiego, którego wspomina jeden z marynarzy Pizara, przetrwała do dziś z „twarzą dostojną, przy tym lekko różową i pucołowatą, jak brat furtian.”<sup>13</sup>

Daleki jestem od przeceniania legend morskich, tym niemniej uważam, że rozszerzenie optyki poznawczej na funkcjonującą w folklorze ikonografię morską i utrwalone w nim przekazy werbalne jest zabiegiem koniecznym. Wszelka bowiem kultura wysokoartystyczna, jeśli potraktowana jest jako wartość autonomiczna, w odrzuceniu od poprzedzającego ją folkloru może stać się w wielu momentach nieczytelna bądź błędnie odczytywana. Folklor stanowi bowiem substrat kultury wysokoartystycznej. Tu powstają i w jakimś stopniu sprawdzają się pierwociny wszelkiej sztuki (w tym także morskiej), tu wykształcają się pewne wątki i motywy, a także gatunki, anektowane później przez kulturę wysokoartystyczną. Nie wolno także lekceważyć właściwego folklorowi światopoglądu emocjonalnego, który pozostaje w jawnej opozycji do racjonalnego.

Określając granice pojęcia „marynistyka” warto pamiętać także o tym, że właśnie nurt legendarno-mitologiczny legł u podstaw zaistnienia na mapie dokonań kulturowych sztuki „marynistycznej”. W powszechnej świadomości morze funkcjonowało przede wszystkim jako wartość zapośredniczona przez mit, legendę i quasi — dokumentalne zapiski z morskich podróży. Dla przeciętnego człowieka morze było czymś groźnym (przez pamięć o straconym tam z boskiego wyroku diable), tajemniczym i jednocześnie (a może dzięki temu) fascynującym. Zarówno jako składnik światopoglądu, jak i jako zespół motywów artystycznych. Nie od rzeczy będzie tu także wzmianka o roli motywów nautycznych w kształtowaniu się i rozwoju niektórych gatunków literackich. Mo-

tywy te niejako w naturalny sposób były konieczne dla zaistnienia i dalszego rozwoju romansu awanturczo-podróżniczego, na co wskazuje w swym niezwykłe wnikliwym studium M. Bachtin.<sup>14</sup> Rzecz oczywista, nie twierdzą tym samym, że początki marynistyki literackiej sięgają tego właśnie gatunku i tego okresu. Idzie mi tylko o zasygnalizowanie przenikania od początków istnienia literatury motywów nautycznych i kształtowania pewnego stereotypu wyobrażenia i sfunkcjonalizowania morza w literaturze (motyw burzy morskiej, napady piratów, rozbicie okrętu, motyw podróży morskiej jako źródła ekscytujących doznań emocjonalnych). Rzecz charakterystyczna, że motywy nautyczne i metaforyka morska z łatwością przenikają również do kodów silnie skonwencjonalizowanych, przede wszystkim zaś do publicystyki, co ponad wszelką wątpliwość udowodnił na materiale staropolskim Edmund Kotarski.<sup>15</sup>

W refleksji nad genezą i zakresem marynistyki artystycznej nie może zabraknąć przynajmniej wzmianek o sposobach pośredniego przenikania do sztuki, a tym samym do powszechnej świadomości, pierwiastka morskiego. A przecież pamiętać trzeba, że powyższy „rejestr” chwytów i motywów o morskiej proveniencji nawet w części nie wyczerpuje wszystkich związków morza z kulturą.

Powyższe refleksje mają swe uzasadnienie w zamiarze bardziej ogólnym, bardziej uniwersalnym niż odnotowanie, najbardziej nawet skrupulatne, interakcji na linii morze — kultura. W całym dziedzictwie kulturowym nawarstwiło się tyle różnych problemów z morzem związanych i rzutujących na współczesne wyobrażenie o jego kulturotwórczych funkcjach, że pora najwyższa po temu, aby bazując na ustaleniach poprzedników i dysponując dzisiejszym instrumentarium analitycznym (przede wszystkim użyteczne może tu być zastosowanie technik analizy semiotycznej) pokusić się o zarysowanie przynajmniej zasadniczych zrębów metodologicznych badania sztuki, wykorzystującej częściowo bądź w całości motywy nautyczne.

- 1) B. Miałkowski, *Morze w literaturze*, Gdynia 1964.
- 2) E. Kotarski, *U progu marynistyki polskiej*, Gdańsk 1978.
- 3) *Głosy morza*. Antologia polskiej noweli morskiej, Red. J. Mazurczyk, Gdańsk 1973.
- 4) J. Tuczynski, *Marynistyka polska*, Poznań 1975.
- 5) *ibidem*, s. 27.
- 6) *ibidem*, s. 31—32.
- 7) *ibidem*, s. 32.
- 8) F. Braudel, *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski*, „Punkt” 1979, nr 6, s. 84.
- 9) *ibidem*, s. 93.
- 10) J. Białostocki, *Obszar nadbaltycki jako region artystyczny w XVI wieku*. [W:] *Sztuka pobraża Bałtyku*, pod red. J. Białostockiego, Warszawa 1978, s. 13.
- 11) J. R. Tomicki, *Drzewo życia*, Lublin 1975, s. 24—25.
- 12) *ibidem*, s. 29.
- 13) E. Koczorowski, J. Koziarski, R. Pluta, *Zwyczaj i ceremoniał morski*, Gdańsk 1972, s. 197. Por. także: Z. Drapella, *Mity i legendy morskie*, Gdańsk 1978.
- 14) M. Bachtin, *Czas i przestrzeń w powieści*, „Pamiętnik Literacki” 1974, z. 4.
- 15) E. Kotarski, *U progu...*, op. cit., passim.

# XEROS

## IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

Świtało. Morze zryte stromymi falami, poprzez które wicher układał pasma piany. Gwizd rozpędzonego powietrza na wantach. Jacht szedł na wiatr lewym halsem, z prawą burtą w wodzie. Ciemne chmury pędziły nisko nad głową, siekąc deszczem. Trzymałem oburącz rumpel, starając się tak sterować, by kadłub wchodził na falę ukosem, co nie zawsze się udawało, a wtedy kipiel waliła o dziób z takim hukiem, jak bym trafił w betonowy mur. Jeszcze nie było najgorzej, wiała tylko siódemka: mokra żegluga ale do wytrzymania. Kiedyś podczas bałtyckich regat przelecieliśmy w taką pogodę trzysta mil i humor dopisywał wszystkim, poza kucharzem, który mimo ekwilibrystycznych łamańców nie mógł obiadu upichcić. Zapaskudził zupą całą kajutę, a jajecznicę zbieraliśmy ze ścian.

Bolo wylonił się z kajuty; zamiast swej paradnej czapki przykrył głowę rybackim kapturem, pod sztormanką miał jednak wizytowy garnitur.

— Odnoszę wrażenie — powiedział rozglądawszy się — że najgorsze mamy jeszcze przed sobą: barometr nadal spada. Idź się ogrzać.

Wewnątrz mogłoby być całkiem przytulnie, gdyby nie huk nagłych uderzeń fal, zwielokrotniony rezonansem stalowego kadłuba. Po każdym takim uderzeniu dyrektor krzyczał, że toniemy i usiłował skoczyć ku schodkom. Podłoga wszakże nachylona była prawie czterdzieści stopni, stopy mu się obsuwały i walił się z powrotem na koję. Spróbowałem perswazji:

— Wszystko w porządku, panie Korn. Gdy będzie krucho, mamy tratwę ratunkową, zawsze jakaś szansa.

— Co znaczy: będzie krucho? Czy może być gorzej? To łódź podwodna, a nie jacht. Okna są pod wodą!

Pokazał skajlajty prawej burty, za którymi rzeczywiście kotłowała się woda. Zrobiłem mały wykład o żegludze w przechyle, zapewniłem, że wywrotka jest mało prawdopodobna, bo mamy odpowiedni balast.

— Chyba, żeby balast się urwał — wtrącił złośliwie Madura.

— Urwał? Może się urwać? Co jeszcze może się urwać?

— Wszystko, dyrektorku. Żagle, maszty, nadbudówka — ciągnął Madura, opisując nader plastycznie niszczyielską siłę żywiołu. Pomagał sobie szerokimi gestami, a w krtani legły mu się onomatopieczne dźwięki: bulgoty, świsty, jęki, trzaski.

— Co robić, panowie? Musi być jakaś rada!

— Modlić się — mruknął skulony na podłodze Nusiek. Siedział po turecku, kolanami trzymając wiadro, do którego od czasu do czasu strzykał sokami trawiennymi.

— Ba! Gdyby człowiek wiedział, do kogo się modlić! — Madura rozłożył teatralnym gestem ramiona. — Pan Korn nie wie: do Jehowy czy do Baala. Do Tego-Który-Jest czy do Złotego Cielca.

— A ty wiesz? — przerwałem mu.

— Skądże. Wchodzi w rachubę Chrystus albo Szatan.

— Wypraszam sobie drwiny z moich uczuć religijnych! — powiedział pieczarkarz. Krzyknąć nie zdołał, zbyt wyczerpany żołądkowymi sensacjami.

— Drwiny? Powaga chwili wymaga praktycznego wyboru. Jak zapewne panom z Pisma Świętego wiadomo, Szatan piastował w niebie wysoką funkcję: archaniola. Strącony został do piekieł za nieopatrzne krytykowanie Stwórcy, podważanie jego nieomylności. Kara słuszna, zważywszy, że uprawiano tam kult jednostki. Od pamiętnego wydarzenia upłynęło jednakże tyysle czasu! Któż zaręczy, że były archanioł nie został już zrehabilitowany? A co gorsza — czy ogólnoanielski wiec nie powołał go na najwyższe stanowisko?

Z twarzy Madury nie mogłem wywnioskować, czy kpi. Znalazł sobie dylemat, ryży dzieciórób. Nigdy bym go o takie myśli nie posądził.

— Tak, panowie. Tylko ateści, nasz redaktor na przykład, nie mają problemów. Życie dla nich wszystkim, zaświaty bajką dla niegrzecznych dzieci. Żal serce ściska, gdy pomyślę, jak banalny konflikt drażył naszych dziadków: wierzyć albo nie wierzyć. Dziś życie pozagrobowe skomplikowało się ponad miarę, stawiając subtelniejszą część ludz-



kości wobec brzemienne w skutki pytania: w co, a raczej w kogo wierzyć?

— W naszej sytuacji proponowałbym raczej — powiedziałem — bogów wyspecjalizowanych w opiece nad żeglarzami. Na przykład egipskiego Amona, Pana Wszystkich Okrętów. Może być także Afrodyta, bo stanowiano jej posągi w portach, lub Apollo Delphinios, któremu w Delos składano ofiary w postaci miniatur kotwic i sterów. Wszyscy oni zapewniali pomyślne wiatry tudzież bezpieczną żeglugę.

— Rzecz warta przemyślenia — odparł Madura.

Na to Nusiek: — Gdybym wiedział, że popadnę między taką hołotę...

W oczach Madury dostrzegłem błysk, lecz nie zdążyłem przytrzymać mu ręki. Zaklął na ósmą literę alfabetu i trzasnął pieczarkarza. Łapę miał chłop potężną, tamtemu głowa odskoczyła jak na sprężynie. Zemdlął.

Z godziny na godzinę pogoda się pogarszała; nazywaliśmy to piramidą Beauforta. Silny wiatr, bardzo silny wiatr, gwałtowny wiatr, wichura, silna wichura, gwałtowna wichura, huragan. Na huraganie (12 stopni) skala Beauforta się kończyła. Szybkość wiatru sto trzydzieści kilometrów na godzinę, długość fali ponad trzysta metrów, wysokość powyżej dziesięciu, widzialność zero. Gdzieś pod koniec meteorologicznej eskalacji Bolo zawołał nas na pokład. Ostatni wychodził Madura. Usłyszałem, jak uprzejmie informował pasażerów:

— Panowie zostaną w tej trumnie. Siedzieć spokojnie, śpiewać psalmy.

I zatrasnął kłapę. Rozmieściliśmy się w kokpicie, obwiązani linami, których końce Madura umocował do relingu. Bolo trochę się wzbraniał przed tą operacją; fakt — lina krępuje ruchy, za to chroni przed ostatecznością. Fala wejdzie na pokład i człowiek za burtą przepadł, bo podczas takiej nawalnicy każdy manewr niesie z sobą możliwość zagłady jachtu, a jego ratownicza skuteczność jest wysoce problematyczna. Nie mieliśmy przecież pasów ratunkowych; w rozwścieczonej wodzie najlepszy pływak utrzymałby się na powierzchni zaledwie kilkanaście sekund.

Kadłub trzeszczał, maszty skrzypiały, naprężając podtrzymujące je stalówki do granic wytrzymałości, Wizgot pędzącego wichru przypominał syrenę alarmową. Jacht spadał w przepaść między pagórami spienionej wody, by po chwili znaleźć się na szczycie fali i znów runąć w dół. Wierzchołki grzywaczy sztorm rozpyłał w powietrzu z tak potworną siłą, że krople uderzając w twarz i dłonie sprawiały dotkliwy ból. Widoczność pogorszyła się do tego stopnia, iż nie widziałem nawet końca nadbudówki. Porozumiewać się mogliśmy tylko na migi, apokaliptyczny ryk okrążył nas zewsząd, wdzierał się do mózgu z równą natarczywością, jak woda za kołnierz. Byliśmy przemoknięci do suchej nitki. Znałem z opowiadań „biały szkwał”, teraz mogłem go doświadczyć na własnej skórze.

Nagle stało się, co musiało się stać, to czego oczekiwaliśmy, o czym myśleliśmy z utajoną trwogą. Widziałem całą scenę jak na zwolnionym filmie, mimo iż trwała sekundy. Najpierw strzelił forsztat i przedni żagiel przefrunął nad głowami niby skrzydło okaleczonego ptaka. Madura zerwał się, jakby chciał go złapać. Grotmaszt, pozabawiony od strony dziobu podtrzymującej go stalowej liny, urwał się w połowie długości i grzmotnął w pokład, zmiotając Madurę do wody. Wtedy Baca uskoczył instynktownie ku rufie i w tym momencie huragan zmiotł także bezmaszt. Przez chwilę widziałem Bacę, uciepionego rozpaczliwie drzewca, gnanego przez żywioł ku mokrej śmierci. Potem na kadłub, nie słuchający już steru, zwałił się grzywacz.

Gdy udało mi się wreszcie zaczerpnąć powietrza, byłem w wodzie. Śmieszne, jedyna myśl, jaka zakołatała w głowie, dotyczyła gumiaków. Pozbyć się tych cholernych kotwic, które ciągną na dno. Wierzęłem jak wściekły, wiosłując jednocześnie ramionami, aż sztuka się udała. To mnie trochę uspokoiło. Spostrzegłem, że lina, której końcem obwiązany byłem w pasie, jest naprężona. Podciągną się, byle bliżej jachtu, muszę zdążyć, nim zatonie, tam jest tratwa! Trwało to wieczność, wysiłek do zerwania mięśni, bo miotany falami kadłub włókł mnie za sobą z szybkością ślizgacza. Wreszcie burta. I pomocna dłoń Bolo.

Na morzu zawsze musisz zrobić najpierw rzecz najważniejszą. Wiedzieliśmy, że teraz tą „najważniejszą rzeczą” był uciepiony jeszcze stalówkami do pokładu kikut masztu, który bił o burtę jak taran. Jeśli puści poszycie, będziemy załatwieni na amen. Zabraliśmy się więc do odkręcania ściągaczy, mocujących liny do pokładu; miały gwinty długie chyba z dwadzieścia centymetrów. Ja ciągnąłem stalówkę, wrywającą się wciąż z dłoni, Bolo kręcił. Moment, gdy uwolnione wreszcie drzewce poszło do diabła, odczuliśmy jak zwycięstwo w walnej bitwie.

— Jeden zero dla nas — powiedział Bolo.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że słyszę jego słowa. Zmalał impet fal, teraz pokorniejszych, otrząsających się z pienistych grzyw. Widoczność poprawiła się na tyle, że z całą jaskrawością ujrzeliśmy obraz klęski: żalodne reszki jachtu, pozbawionego żagli i masztów, z poszczerbionym pokładem i nadbudówką, jakby kopnął ją but olbrzyma. Reling wzdłuż całej prawej burty był zerwany; dlatego Madura i Baca musieli zginąć. Myśmy mieli liny umocowane z przeciwnej strony — to nas uratowało.

— Zobaczmy, jak czują się pasażerowie — trąciłem Bolo, kontemplującego zniszczenia. — Może rybki nie będą z nas miały pociechy, do następnego sztormu zostało trochę czasu.

— Wątpię — odparł zrezygowany — wokół beznadziejnej pustki, kto mógłby nam pomóc?

Wewnątrz woda po kolana, dobytek pływa: odzież, deski podłogowe, materace, naczynia. Nusiek i Korn wbici w górne koje, ze wzrokiem zaszczytuch zwierząt.

— Cześć — powiedziałem, brodząc w pomyjach. — Wy-skoczcie sobie na kwadrans do kokpitu, zaczerpnąć powietrza. Potem zabierzemy się do wylewania tego świństwa.

— Straciliśmy dwóch kolegów — dodał Bolo zdławionym głosem. — Morze...

Dyrektor i pieczarkarz, rozbryzgując wodę, przepychając się nachalnie ku wyjściu — wyleźli na pokład.

— Tylko nie robić przechyłów — krzyknąłem za nimi — bo pójdziemy na dno!

Zaparzyłem herbaty. Siedzieliśmy na stole, siorbiąc cierpki płyn. Dopiero teraz zważyło się zmęczenie. Byliśmy pokaleczeni i poobijani, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Mokra odzież lepila się do ciała. I trudna do zwalczania pokusa, rozłożyć by utrudzone gnaty, na koi i spać, na przekór rzeczywistości. Chyba już drzemałem, na siedząco, gdy rozległo się wołanie o pomoc. Poznałem głos Korna:

— Tonę! Ratujcie!

Błyskawicznie znaleźliśmy się w kokpicie. Widok był zaskakujący. Kilkadziesiąt metrów od jachtu tratwa, oddalająca się nieubłaganie, w połowie drogi goniący ją crawlem Nusiek, bliżej prychający wodą rozwrzeszczany dyrektor. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że ani pływak nie dopędzi celu, ani my nie będziemy mogli pomóc jego kompanowi.

— Sukinsyny — zakląłem — o nas nie pomyśleli.

— Strach odebrał im rozum — podsumował Bolo ze współczuciem; chyba nie czuł do nich żalu.

Prawda. Wykorzystali naszą nieobecność i rzucili tratwę. Gdyby jednak zrobili to po nawietrznej, wiatr docisnąłby ją do burty i spokojnie mogliby się załadować. A po zawietrznej Eol zdmuchnął im ratunek sprzed nosa. Przez egoizm tych panów także nasze szanse zmalały do zera. Odczuwałem złą satysfakcję, patrząc jak się topią. Najpierw Korn, bo tusza i brak swobody ruchów utrudniały pływanie: w lewej dłoni trzymał jakiś przedmiot. Jeszcze dwakroć wypłynęła zanurzona łysina. I już tylko lewica na sekundę wyniosła w górę — teraz poznałem — złotą patelnię. Nusiek tymczasem zawrócił, spostrzegłszy, że tratwa mu uciekła. Opadał z sił. Płynął coraz wolniej, z cawła przeszedł na żabkę. Fale spychały go dalej i dalej od jachtu, aż stopił się z rozkołysanym tłem.

Zaczęliśmy wybierać wodę. Najpierw Bolo napełniał w kajucie wiadro i podawał na pokład, a ja wylewałem za burzę. Po stu kolejkach zmiana. A po dziesięciu zmianach stwierdziliśmy, że w środku wody jeszcze przybyło, szyfrowy trud poszedł na marne. Oględziny kadłuba nie wykazały mechanicznych uszkodzeń, zauważyliśmy natomiast, że blaszane poszycie od wewnątrz jest pokryte gęstą rosą. Krople łączyły się, spływały w dół, na ich miejsce natychmiast pojawiały się nowe. Nie do wiary — przez dwumilimetrową blachę stalową woda przenikała łatwiej niż przez szmatę.

Bolo przyglądał się chwilę dziwnemu zjawisku. Potem zdjął żółte sztormowe ubranie, co wymagało sporej zręczności zważywszy, iż stał po pas zanurzony. Podniósł pływającą po kabinie swoją paradną białą czapkę.

— Odprowadzisz mnie? — zapytał.

Wyszliśmy na pokład. Spoza chmur wyjrzało słońce, barwiąc morze seledynem. Uścisnął mi serdecznie dłoń.

— Żegnaj. Jeśli jest prawda... to niebawem spotkam moją starą.

I w wymiętym, zmoczonym, wizytowym garniturze, z czapką na głowie, skoczył w ten seledyn.

Zostałem sam, świadom nieuchronnej śmierci. Pokład zanurzył się całkowicie, ponad wodę wystawał tylko kikut grotmasztu i nadbudówka, na której siedziałem. Jacht znajdował się w stanie chwiejnej równowagi: ciężar własny ciągnął go w głębinę, a poduszka powietrza, stłoczonego we wnętrzu, pchała ku powierzchni. Gwałtowniejsze uderzenie fali lub jeden mój nieostrożny ruch mogły ową równowagę zakłócić.

W zalanej wodą kajucie zabulgotało i wyłonił się kapitan. Nie wierzyłem oczom, przecież szukaliśmy go podczas sztormu! Twarz wydawała mi się znajoma: kanciaste rysy, gęste brwi zrosnione nad nosem, wąskie wargi i ta siwa plereza. Gdzie ja go widziałem? Co dziwniejsze, dres miał suchy, nie spłynęła z niego ani kropla wody. Oparł się o nadbudówkę i wlepił we mnie szare, zimne oczy. Nie mogłem znieść tego spojrzenia. Odwróciłem wzrok i... zauważyłem pływającą płachtę papieru — mapa! Gdy znalazła się w zasięgu ręki, chwyciłem.

Jeszcze całkiem nie przemokła. Wykreślony kurs urywał się w połowie akwenu. W tym miejscu czerwony długopis kapitana zatoczył koło i wymalował napis: Xeros. Zrozumiałem teraz wszystko. Ogarnęła mnie wściekłość. Za ten burdel na jachcie, za komedianckie ukrywanie się przed nami, za śmierć załogi.

— Ty kurewski Charonie! — wrzasnąłem.

Chciałem się rzucić doń z pięściami — nadbudówka zachybotała — i tyle mego gniewu. Powoli, jak automat, kapitan unosił ramię. Wycelował we mnie kościstym palcem:

— Następny. Rejs. Poprowadzisz. Ty. Zdecydowano.

Cedził słowa, mówienie sprawiało mu trudność, jakby nie mógł szczęk rozewrzeć. Rozchodził się od niego zgnily zapach wodorostów.

— Zgodnie. Z tutejszą. Tradycją. Nadaję. Ci. Imię: Siedemset. Siedemdziesiąt. Siedem.

Poznałem go. Jego zdjęcie obiegało przecież całą prasę, gdy wrócił triumfalnie z rejsu dookoła świata. Fetowano go w miastach małych i dużych. Gdy przejeżdżał odkrytym autem przez nasz port, dzieci sypały confetti i płatki róż. Kapitan Roman Szmidt był ubóstwianym bohaterem przez jeden sezon. Potem jego syn, Marcin, ruszył w ślady ojca; wystartował do regat samotnych żeglarzy przez Atlantyk i zaginął bez wieści. Ojciec wówczas zrezygnował z życia publicznego. Zdała od ludzi zbudował jacht, nazwał go imieniem syna, poczym wyszedł w morze. Trwał właśnie okres jesiennych sztormów i „Marcin” rozbił się o skały przy norweskim wybrzeżu. Szmidta uratowano. Wrócił do kraju i powiesił się. Było to przed dwoma laty...

Kontury postaci kapitana zaczęły się zacierać. Po chwili widziałem tylko morze, leniwe, lekko pulsujące. Z oddali szła wysoka, martwa fala. Zrozumiałem, że zbliża się ostatnia fala jaką w życiu oglądałem. Przymknąłem powieki. Niech się stanie. Niech się to wreszcie stanie!

Od tej pory kursuję sobie spokojnie między krańcem świata a Xeros. Zajęcie dość monotonne, przyznaję. Całe szczęście, że regulamin tutejszy zezwala wstawać wyłącznie między północą a godziną pierwszą (z jednym wszakże wyjątkiem: do portu przeznaczenia zawijamy w pełnym blasku dnia). Wykreślanie kursu zajmuje mi zaledwie minutę, pozostałych pięćdziesiąt dziewięć przeznaczam moim notatkom. Cóż, zawodowe przyzwyczajenie.

Miał słusność Bolo, twierdząc, że wszelkie wydarzenia muszą mieć swoją logikę. Sens obecnej funkcji pojąłem dość szybko — ludzie nie pamiętają momentu zgonu. Kres nadchodzi niespodziewanie i na ogół w okolicznościach niezbyt fortunnych. Operacja „Xeros” pozwala żeglarzom zginać, mówiąc patetycznie, z honorem. Mogą walczyć z losem, pozwala się im sprawdzić własny charakter, objawić cechy altruistyczne, zdławić strach. To piękna śmierć wartościowych ludzi, nie więc dziwnego, że ofiarowano im tę niepowtarzalną szansę.

Czasem na mój jacht zaplącze się element przypadkowy, a to jakiś niby-działacz, a to hochsztapler lub zwykła szuja. Raz trafił się nawet intelektualista, ukrywający w zanderzu paszkwil na swój kraj, który zamierzał sprzedać za granicą. Dla osób ich pokroju śmierć na morzu jest czymś niepojętym, okrutnym, bezsensownym. Zagryźliby wszystkich wkóło, byle własny zadek ocalić. Żyli podle, umierają podle.

Nieco ożywienia w moje trwanie wprowadzają obserwacje, jakie czynię mimochodem. Myślę o załogach. Owe gorączkowe próby rozwikłania tajemnicy rejsu. Rozumują jeszcze kategoriami świata, który opuścili; nie pojmują, że tutaj rządzi inne prawo. Rozszarpany tajfunem jacht może w odpowiedniej chwili odtworzyć dawny kształt, może płynąć bez żagli i pod wiatr, nie potrzebuje na dobrą sprawę ani jednej rzeczy z regulaminowej listy wyposażenia. Jeśli operujemy pewnymi rekwizytami to wyłącznie dla stworzenia pozorów, bez których akt ich ponownego zejścia mijałby się z celem.

Bowiem żeglarze nie wiedzą, że w chwili, gdy znaleźli się na pokładzie jachtu kapitana 777, ich ciała były już martwe.

(fragment powieści)

RYSZARD KIELTYKA — „Spojrzenia X” — *technika mieszana.*

Z wystawy pokonkursowej o nagrodę „Konika Morskiego 80” w Szczecinie. Fot. Z. Ryngwelski



Studio  
Pantomimy  
Politechniki Szczecińskiej.  
Scena zbiorowa  
z mimodramu  
„Mieć albo być”  
w reżyserii  
Zygmunta Zdanowicza.  
*Fot. Z. Ryngwelski*



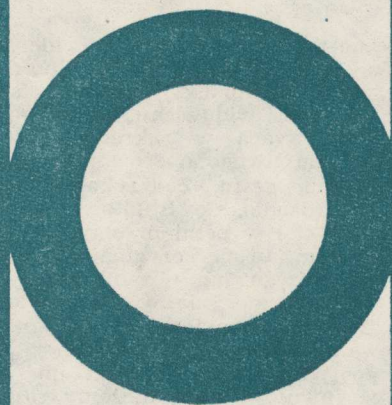
„Ciało nasze, rzeźbione od wewnątrz,  
rozciąga się na zewnątrz.  
Mim jest równocześnie rzeźbiarzem  
i posągiem.  
Staje ze swym świadectwem, aby  
powtórnie dotknąć świata”.

Etienne Décroux

Podobnie jak Antoine Artaud dał najpełniejszy, a zarazem najbardziej eteryczny, poetycki opis fenomenu zwanego, teatrem, tak Etienne Décroux określa nam źródła, mechanizmy sztuki mimu. Między obu teoriami zarysowuje się podstawowa różnica, którą można by sformułować wprost w formie pytania: czy można stosować mim równocześnie ze słowem? Décroux wyjaśnia przewrotnie, że owszem, gdy oba są ubogie i gdy jedno uzupełnia drugie. Dzisiaj, gdy przez świat przewalały się wichury kontestacji, nowatorskich trendów, które znacznie zachwiały podstawami sztuki teatru — wydaje się, że nadszedł czas zmagania o powrót do czystości gatunków, określenia czym teatr, taniec, pantomima są w swej istocie.

I tutaj wszelkie mariaże mimu ze słowem nie wytrzymują próby czasu. Są zdewaluowanym przez historię kompromisem, który nie rozjaśnia a zdecydowanie zaciemia rozumienie tej trudnej sztuki. Świadczą o tym dokonania zarówno prekursorów jak i wybitnych przedstawicieli — Marcela Marceau, Charlie Chaplina, Jeana Louisa Barrault czy na rodzinnym gruncie Henryka Tomaszewskiego. Ich konkretne, sprawdzalne w praktyce działania dowodzą, iż ilu twórców, tyle kierunków indywidualnych poszukiwań, tyle estetyk i sposobów scenicznego obrazowania. Współczesna pantomima, w swym obecnym kształcie zdaje się wybiegać daleko poza ramy wynikające z jej etymologicznego rodowodu (pantos-wszystek, mimikos-naśladowcy). Po etapie imitacji działań ludzkich, stanęła na nowym, niezbyt jeszcze ukształtowanym gruncie, wolna od krępującego ją gorsetu kanonów estetycznych. Może dlatego też pojawiają się trudności z definicją tego zjawiska. Często określamy pantomimę jako TEATR CIAŁA, TEATR RUCHU, TEATR GESTU.

Wciąż rodzą się nowe trudności z określeniem opozycji, w jakiej pozostaje pantomima w stosunku do innych dziedzin sztuki, jako, że następują tu wzajemne przenikania. W



## studio sztuki mimu

### BOGDAN WOJTCZAK

owych poszukiwaniach jeden punkt jest styczny, wyrażony przez Artauda:

„Najwyższym z możliwych pojęć teatru jest to, które godzi w nas filozofowanie ze stawianiem, widocznym przez myśl o przemianie, przejściu idei w rzeczy, a nie przemianie i przeistoczeniu uczuć w słowa”. I tu stajemy właśnie na gruncie sztuki mimu. Współczesna pantomima odeszła od etiud, scenek naśladowczych czy parodiujących. Ma ambicje kreować świat wyobraźni, skojarzeń sennych, baśniowości i fantastyki, a także umownych czy symbolicznych obrazów naszej, skomplikowanej rzeczywistości.

Pantomima wymaga szczególnych cech twórczych. Należy opanować podstawowe elementy środków wyrazu, klasyczne reguły gry. Dopiero po prze-

kroczeniu progu imitatorstwa można pokusić się o akt kreacji. Kto wie, może właśnie owe trudne początki zniechęcają adeptów? Praktyka wskazuje, iż wielu początkujących artystów rezygnuje z uprawiania tej profesji na rzecz teatru czy baletu. Dzieje się tak dlatego, iż tylko nielicznym udaje się przekroczyć etap fascynacji mistrzami. Zbudować własną, oryginalną estetykę, wypracować indywidualny styl przekazu poetyckich treści.

Współczesność zaś mile nas zaskakuje. Bo o dziwo, choć nigdy nie byliśmy prekursorami sztuki mimu dziś mamy się czym pochwalić w czym szczególnie zasługa Pantomimy Wrocławskiej Henryka Tomaszewskiego. Ale czy tylko? Sukcesy tej znakomitej grupy wpłynęły mobilizująco na rozwój całego ruchu studenckiego powodując, że w chwili obecnej, mamy kilka liczących się zespołów w kraju. Jednym z nich jest Studio Pantomimy Politechniki Szczecińskiej.

Zważywszy niestałość studenckiego ruchu artystycznego aż trudno uwierzyć w okrągłą rocznicę 20-lecia istnienia Studia. Zakrawa to na swoisty paradoks, który stał się przecież faktem. Sięgnijmy więc do pożółkłych zapisków, kronik i recenzji prasowych. Czytamy w nich, że Studio powstało dokładnie w lutym 1960 roku z inicjatywy choreografa i pierwszego kierownika artystycznego, pani Haliny Zemmler-Zielińskiej. Zgodnie z upodobaniami założycielki stanowiło coś na kształt zespołu tańca, baletu z pewnymi elementami ruchu.

„Systematycznej, wyteżonej pracy, która stała się dla zespołu piękną zabawą i pasją, towarzyszyły poszukiwania własnej formuły artystycznej. Ambicje i nonkonformizm w owych poszukiwaniach należy podkreślić z całym naciskiem” — napisze później kronikarz. Odnotowała ten fakt redakcja studenckiego tygodnika ITD pisząc, że „oto w Szczecinie powstało nowe, interesujące nie zblazowane i nie zakompleksione studenckie środowisko artystyczne — i to jest jeden z fenomenów”. Brzmi to obiecująco, ale czy wszystkim było wiadome, że pomijając brak nazwy, zespół nie posiadał własnej sali? Pierwsze dwa programy nie opatrzone tytułami. Trzeci to „Kłęgi” a następne — „Milczenie na głos i słowa” oraz „Mimodramy”. Do zespołu dołączył znany dziś aktor scen szczecińskich — Bohdan Albert Janiszewski oraz Jerzy Werner — późniejszy lider grupy. Osobowość Wer-

nera wyraźnie zaciążyła na pracy zespołu. Dzięki jego niezwykle pasji, i zaangażowaniu rodzi się już pewien styl prezentacji. Powstają pierwsze próby poetyckiego kreowania scenicznej rzeczywistości. To właśnie dzięki spontanicznej działalności Jerzego Wernera i jego „przybocznego teoretyka” Zenona Joffe rodzą się pierwsze sukcesy.

W 1963 roku Studio zostaje zaproszone na Międzynarodowy Festiwal Teatrów do Nancy, gdzie zaprezentowane „Mimodramy” uzyskują specjalną nagrodę Radiodiffusion et Television Française. Ku zdziwieniu młodych mimów pojawiają się entuzjastyczne recenzje. „Le Republicain” pisał: „Polscy mimowie przypomnieli nam sztukę, w której dynamika ciała, zmysł dramaturgiczny, muzyka — zmierzają do osiągnięcia emocji artystycznych: oszczędni w postępowaniu się dostępnymi pantomimie środkami wyrazu, zachwycili nas przedstawiając program pełen autentycznej poezji”.

Słowa te określają w jakiś sposób następne programy, takie jak „Eseje”, „Iluzje i banały”.

Można już podkreślić pewną odrębność stylistyczną na miarę aktualnych, wysokich umiejętności szcześcińskich mimów. Udanie układu się współpraca z wrocławskim teatrem Henryka Tomaszewskiego, którego członkowie występują często w roli konsultantów. Do stałych współpracowników należeli Zbigniew Papis, Poweł Rouba, Rajmund Klechot oraz Leszek Czarnota.

W tym okresie następuje fakt bardzo znaczący. Kierownictwo Studia przejmuje doświadczony mim — Jerzy Kubicki, współtwórca późniejszych liczących się sukcesów zespołu.

Jerzy Kubicki rozpoczyna nowy etap mając gotowy, dalekosiężny plan działania:

*„Rozpoczynaliśmy od postawienia sobie pytania, czy w ogóle jest możliwe powstanie widowiska pantomimicznego w wykonaniu mimów amatorów? W pierwszym etapie stosowaliśmy jedynie naturalny, aczkolwiek nieco stylizowany ruch. Była to najbardziej prosta forma pantomimy, polegająca na naśladowaniu czynności i zjawisk spotykanych w życiu codziennym. Teraz czas rozpocząć studia nad rozbudową naszej bazy ruchowej”.*

Wynikiem tych długofalowych studiów, wymagających zwiększonego wysiłku całego zespołu było pierwsze, pełnospektaklowe widowisko „Seans spirytystyczny”, które w Ankarze i Istambule na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich uzyskało I nagrodę. Tak więc po latach prób z etiudami i mimodramami, przy konsekwentnej rozbudowie bazy ruchowej można było pokusić się o realizację jednorodnego spektaklu tak pod względem formy jak i treści. Przykładem było „Sanatorium pod Klepsydrą” wg Bruno Schulza wystawione w 1968 r. Ten śmiały zamiar zakończył się pełnym powodzeniem. Okazało się, że pantomima jest w stanie oddać w pełni niezwykle wizję pisarza nie gubiąc przy tym niepowtarzalnego klimatu poszczególnych scen. Rezygnując ze słowa znaleziono pla-

styczno-ruchowy klucz do ideogramów „Sanatorium”, przystawalność do literackiej symboliki Schulza. Istotnie, w tym widowisku zaowocowała wytrwała praca w zakresie plastyki ruchu, właściwego operowania ciałem, wyważenia gestu. Zaryzykować można twierdzenie, że Studio w sposób nowatorski i w pełni przemyślany odkryło nam urodę oryginalnej prozy Schulza, czego nie uczynił przed nimi żaden profesjonalny teatr dramatyczny. Szkoda więc, że nie kontynuowano dalszych doświadczeń z prozą poetycką. Jerzy Kubicki nie lubi eksperymentów. Jeśli możemy rozróżnić następny etap pracy, to wynika on z rozeznania aktualnych możliwości warsztatowych, do których dostosowywano formę prezentacji. „Wszystkie dotychczasowe programy były tylko modelowaniem tematu i nie wprowadzały przebudowy samych założeń uprawianej przez nas formy teatru. Możliwość rozwoju mima, gdy następuje inny sposób myślenia. Myślenia kategoriami ruchu”.

Nowy etap wyznacza „Syn marnotrawny” według scenariusza Mariusza Czarnieckiego i Jerzego Kubickiego. Spektakl ten poza walorami czysto formalnymi przekroczył ramy widzenia poetyckiego dotykając konfliktów naszej codzienności. Uświadamia potrzebę miłości w sytuacji jej braku, a nie zaistnienia czy nadmiaru. Rozwinięto w tym widowisku i uplastyczniono myśl Rainera Marii Rilkego „być miłowanym, to znaczy spalać się. Miłować to świecić niewyczerpanym olejem. Być miłowanym znaczy przemijać, miłować — znaczy trwać”. Wspólna to zasługa zarówno scenarzysty jak i reżysera, iż potrafili dać piękną wykładnię humanistycznej idei opierając się po raz pierwszy na improwizacjach na zadany temat.

Ryzyko opłaciło się, gdyż w 1971 roku na Ogólnopolskim Festiwalu Pantomim, Studio uzyskało nagrodę główną i trzy nagrody indywidualne. Jerzy Kubicki po latach konsekwentnych prób: „Reprezentowany przez nas gatunek teatru dopracował się własnych środków wyrazu. Uważamy, że wierne tłumaczenie literatury na język ruchu i gestu jest zabiegiem mało ambitnym. Jestem skłonny stwierdzić, że najbardziej właściwe pole do działania dla nas to akcje i reakcje współczesnego człowieka, przede wszystkim te psychiczne, a więc: wyobrażenia, sny, marzenia, retrospekcje, przywidzenia itp.”

W dwa lata później gospodarze kolejnego Festiwalu znów sięgnęli po prymat w kraju. Tym razem spektaklem „Temat z wariacjami” będącym kolejną kreacją zbiorową przygotowaną pod kierunkiem niestrudzonego Jerzego Kubickiego.

Osiągnięcia twórcze Studia Pantomimy Politechniki Szczecińskiej odbijały się szerokim echem nie tylko w kraju ale i za granicą. Od 1974 r. datuje się owocna współpraca z kilkoma grupami międzynarodowymi, które przyjeżdżały do Kamienia, Maszewa czy Gryfina na tradycyjne wakacyjne warsztaty twórcze. Przybywały zespoły ze Stanów Zjednoczonych, Danii, Czechosłowacji, Hiszpanii i Bułgarii

pobierając nauki doświadczonych mimów Pantomimy Wrocławskiej — Ewy Kamas i Leszka Czarnoty. Odbływały się ostre ćwiczenia z zakresu plastyki ruchu, kompozycji scenicznej, baletu i gimnastyki artystycznej, a plonem obozów były galowe koncerty w studenckim klubie „Kontrasty”. Goście podkreślali korzyści wyniesione z kontaktów ze szcześcińskimi mimami, którzy prezentowali m. in. ciekawe widowisko „Homo lupus”, konkurujące z powodzeniem z „Footnote” w wykonaniu zawodowej grupy „The United Mime Workers” z USA. „Homo lupus” ujrzeni widowni belgijscy i duńscy i podkreślali wysokie walory artystyczne spektaklu oraz oryginalny sposób obrazowania myśli teatralnej. Wręcz podkreślano iż „zainteresowanie podstawą scenicznych możliwości spowodowane jest inspiracją przejętą od Polaków — mistrzów w tej dziedzinie sztuki” oraz że „było to niezwykle i pozostawiające niezatarte wspomnienia spotkania z grupą teatralnych idealistów”.

Entuzjastyczne recenzje i gorące przyjęcie międzynarodowej widowni z pewnością cieszy, ale bardziej istotnym wydaje się fakt, że Studio Szczecińskie wystąpiło w roli pedagogów trudnej sztuki mimu i że dzięki wzajemnym kontaktom wyraźnie podniósł się poziom współpracujących grup międzynarodowych a szczególnie duńskiej grupy Naestved Amatørscene i bułgarskiej grupy studenckiej z Rousse, która po powrocie z obozu w Maszewie przyjęła nazwę Studia Pantomimy. Warto tu wspomnieć również o udanych występach Studia z „Homo lupus” podczas Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Studenckich we Włoszech odnotowanych w najpoważniejszych dziennikach „Il Messaggero” czy „Corriera della Sera”. Historia Studia nie składa się jednak z samych sukcesów. Po latach tłustych przyszedł moment chwilowej stagnacji spowodowanej naturalnym „zestarczeniem się” zespołu. Liderzy pokończyli uczelnie, rozpoczęli pracę zawodową i siłą rzeczy musiała nastąpić zmiana warty.

W wypadku pantomimy jest to moment przełomowy. Upłynęło sporo czasu zanim chłonni, lecz zupełnie surowi adepci opanowali podstawy rzemiosła, zdołali zaaklimatyzować się w zespole. Złośliwi przebąkali wręcz o rozpadzie Studia obserwując pierwsze niezbyt udane próby wspólnych występów z Chórem Politechniki Szczecińskiej czy z jazzmanami. Kto wie, czy jedynym optymistą w tym trudnym, przełomowym okresie nie był Jerzy Kubicki? W zupełnym milczeniu czy wręcz izolacji Studio (w nowym składzie osobowym) przygotowywało tymczasem akcję pod nazwą AMATEATRI. Zaczęło się od pomysłu scenariusza, który dałby szansę porozumienia się w gronie zaprzyjaźnionych grup z Belgii, Holandii i Danii. Idea ta, szlachetna w zamierzeniach, napotykała na opory i kontrargumenty wynikające z nie tylko z mizernej sytuacji finansowej zespołu ale i z przyrody natury formalnej. Goście z Zachodu nie bardzo wierzyli w możliwość pełnego porozumienia ze względu na specyficzne warunki rozwoju myśli teatralnej w ich krajach, a tak-

że wątpili w szansę zrozumienia awangardowej struktury widowiska przez międzynarodową widownię. Tylko dzięki zapałowi Polaków, a szczególnie dyplomatycznym zdolnościom szefa Studia krok po kroku udało się przełamać wstępne opory i przystąpić do pracy nad programem „Struktury”. Kolejne spotkania warsztatowe odbywały się w danym kraju z udziałem miejscowych specjalistów, wśród których brylował jednak były członek zespołu, obecnie doświadczony reżyser — Zygmunt Zdanowicz. To najbardziej ambitniejsze i najtrudniejsze przedsięwzięcie w dziejach Studia zakończyło się, po trzech latach pracy, pełnym sukcesem. Obserwowaliśmy podczas premierowego występu w Szczecinie zarówno etiudy narodowe jak i zbiorowe widowisko o jednolitej poetyce, pełne uniwersalnych, a jednak czytelnych symboli. Raj utracony, kłótnia, apokalipsa, rządy monstrum, śmietnik tego świata. Na końcu zaś niezwykle spontaniczny kamawał radości, który rozbija gorset moralnych nakazów jawiących się jako martwe skorupy. Międzynarodowa grupa jako bohaterowie wymyślonej lepszej przyszłości. AMATEATRI zaprezentowane zostało w Danii podczas Dni Polskich. Stanowiło kolejny wkład zespołu w propagowanie narodowej kultury za granicą. Zamknęto też udanie kolejny, najtrudniejszy etap w dziejach Studia.

Z okazji jubileuszu 20-lecia Studio przygotowało spektakl „Mieć albo być” inspirowany „Hamletem” Szekspira, wystawę scenografią oraz widowiska „Remanent Show”. Impreza ta, z udziałem zaprzyjaźnionych zespołów z Wrocławia i Olsztyna była okazją do wspomnień i refleksji, a także okolicznościowych odznaczeń najbardziej zasłużonych artystów. Zwykle przy takich okazjach na plan pierwszy wysuwają się osiągnięcia najbardziej efektywne. Powstaje jeszcze spory margines działalności może mniej błyskotliwej, a przecież bardzo znaczącej. To właśnie długoletnia współpraca ze środowiskiem akademickim i robotniczym w Szczecinie, a także poza jego granicami. Współpraca uhonorowana nagrodą I stopnia za upowszechnianie kultury teatralnej przyznana przez Centralną Komisję Koordynacyjną ds. Upowszechniania Kultury. To także liczne koncerty dla pracowników Mechanizmów Samochodowych „Polmo” — stałego patrona zespołu, „Dzięki działalności Studia przybyły nam nowe grupy — w Koszalinie „Blik”, a w Szczecinie „Filia”, kierowane przez byłych wychowanków Jerzego Kubickiego. Pantomima rozwija się przez pączkowanie. Wciąż zdobywa nowych zwolenników powiększając się jej zasoby twórcze. Istnieją więc realne szanse dalszego rozwoju trudnej sztuki mimu, a znając zapał i pracowitość Jerzego Kubickiego nie wątpię, że szansa ta nie zostanie zaprzepaszczona.

## W LITERATURĘ — BEZ METRYKI

O młodej literaturze pisze się ostatnio stosunkowo chętnie, podobnie jak o młodych pisarzach. Przymiotnik „młody” bywa okrasą każdej posiadającej ambicje dyskusji o stanie współczesnej literatury. Charakterystyczne jednak, że w tym czasie, gdy dyskusje o wartościach toczą się wartko, a definicje są coraz celniejsze — ogromna część góry lodowej ukryta bywa przed okiem dyskutantów...

Daleki jestem od przeceniania wpływu życia literackiego na kształt powstających dzieł, myślę jednak, że nie sposób dziś pisać o tzw. młodej literaturze nie łącząc jej z całym zespołem zjawisk tworzących podstawy kultury oficjalnej. W ramach tego ruchu wytworzyły się bowiem tak charakterystyczne formy uczestnictwa, że pytając o jego specyfikę — pytać musimy tym samym o określony model kultury.

### GRANICE MŁODOŚCI

U podstaw samodzielności i oryginalności ruchu młodoliterackiego leży jednakże pewien paradoks. Wynikły zarówno z braku konsekwencji w godzeniu teorii i praktyki, jak i rozciągłości samego terminu „młoda literatura”. Im więcej słyszy się głosów opowiadających się przeciw dyskryminującemu podziałowi na „młodą i starą” literaturę — tym prężniej, tym uparciej rozwija pół-oficjalną „kulturę młodych” pozostała część środowiska. Nieporozumienia zaczynają się zresztą już przy samej terminologii — kogo bowiem, w gruncie rzeczy, dotyczy cały problem?

Kogo nazywa się dziś młodym pisarzem? Jakie są w tym względzie decydujące kryteria? Co wynika z faktu przynależności do firmowanej ową młodością kultury? Pytania istotne tym bardziej, że zakres ich nie ogranicza się do środowiskowych kłopotów, a nabiera rangi klucza do całości zagadnienia.

Tygodnik „Fakty” zamieścił w roku ubiegłym cykl wypowiedzi pisarskich pod znamienym tytułem: „Młodzi o sobie”. Wśród wypowiadających się twórców byli tam m. in. M. Jagiełło, S. Srokowski, J. Łoziński... A więc pisarze rocznikowo już nieco odlegli od biologicznej młodości, legitymujący się kilkoma dojrzałymi książkami. Rzeczywiście młodzi bardzo się obruszyli na takie stawianie problemu, twierdząc, iż wymienieni wyżej pisarze z młodą literaturą nie mają nic wspólnego... Czy to tylko odmienność perspektywy redaktorów „Faktów” i dyskutantów ze studenckich „Integracji”? Czyżby jedynym kryterium był po prostu wiek autora? Oczywiście — nie, choć i to jest znamienne dla całości zjawiska...

Młodzi pisarze podkreślają bowiem za każdym razem, że chodzi im w tym względzie o model literatury, a nie metrykę piszącego. I słusznie. Prowadzi to jednak do kolejnych wątpliwości. Bo niby dlaczego nie miałyby mienić się młodym pisarzem taki na przykład Łoziński, którego starsza wiekiem krytyka chętnie do owego grona zalicza? Przecież w jego prozie trwa nieustanny ferment wartości, język jest oryginalny, rozwiązania nowatorskie... To jednak mało. Najważniejsza wydaje się być bowiem, tak przynajmniej głoszą oficjalne deklaracje, więź pokoleniowa, wspólnota przeżyć, jednorodność społecznych i kulturalnych doświadczeń. Pozornie wszystko w tej mierze jasne jest i logiczne. Kłopoty zaczynają się jednak w chwili gdy młodzi manifestujący tak silnie swą pokoleniową świadomość — pokoleniem nazywają się niechętnie. A czyniąc w ten sposób bronią się jednocześnie przed ujednoliceniem artystycznym całego ruchu, przed wciśnięciem sobie w ręce identycznie brzmiących transparentów...

Potrzeba twórczego indywidualizmu raz po raz napotyka wszak na zapory stworzone z latami wypracowywanych, charakterystycznych dla środowiska, form działalności... Ambicje i szczytne hasła wikłają się więc w sprzeczności, o których pisałem na początku tego rozdziału. Bo choć, jak słusznie argumentują niektórzy, kiedyś liczyła się przede wszystkim ranga dzieła i nikt szesnastoletniemu Rimbaudowi nie wymyślał od literackiej młodzieży, to argument ten dotyczy przede wszystkim sfery wartości... I o ile rzeczywiście deprecjonujące jest zaliczanie dojrzałej literatury debiutanckiej do kręgu literatury „młodej”, więc (w podtekście) niższego rzędu — o tyle nie sposób rozpatrywać pojedynczych przykładów jako stanowiących problem. Spór toczy się przecież nie o rzeszę niedocenionych, genialnych Rimbaudów, lecz o formy obecności wstępującego do literatury pokolenia, o kształtowane przy tej okazji wzory i postawy.

## W PRZEDPOKOJU LITERATURY

Jedną z metod uporządkowania metodologicznego (a i światopoglądowego) bałaganu mogło być powoływanie się na przepisy administracyjne zinstytucjonalizowanej kultury. Za podstawę tak sformułowanego kryterium „granic młodości” służyłby w tej sytuacji Związek Literatów. Ścisłej — przepisy dotyczące rekrutacji jego członków. Tak więc autorzy minimum dwóch wydanych książek przyjmowani w poczet ZLP przekraczaliby tę granicę stając się dojrzałymi pisarzami; młodszy, zrzeszeni w tzw. Kołach Młodych stanowić by mieli rodzaj zaplecza,

literackiej szkółki, z której bezpośrednia droga wiedzie do opiekuńczego Związku.

Niestety panujący na tej łączce chaos skutecznie uniemożliwia traktowanie podziału na pisarzy z kręgu ZLP i ich następców, za przydatny do rozwikłania powyższych dylematów. Z jednej bowiem strony czyni się Koła Młodych naturalnym, młodzieżowym zapleczem koturnowej kultury, a z drugiej — nie potrafi się wprowadzić w życie w pełni wartościowego, odpowiadającego sytuacji statutu. Koła nie mają przecież zrzeszać na zasadach masowej organizacji wszystkich chwytających za pióro młodych ludzi. A jaką rolę spełniać powinny? Oficjalną? Odpowiedź na to pytanie stanowią w pewnym sensie przepisy rekrutacyjne do tychże Kół.

Dawniej mógł (choć nie musiał) do nich trafić autor kilkunastu wierszy drukowanych w prasie, a nawet ktoś, kto przedstawił zarządowi Koła swą niepublikowaną a godną uwagi produkcję literacką. Stawiało się przede wszystkim na kryterium wartości. Dziś, jest na pierwszy rzut oka, tak samo, tylko, że o jakości tego kryterium decydują przede wszystkim książkowe wydawnictwa — członkiem Koła może być teoretycznie tylko ten, kto ma z nimi podpisaną umowę. Na zewnątrz ścisk, tymczasem w oficjalnym przedpokoju literatury pozorny spokój. Pozorny, bo wywodzący się ze sztucznego trochę podziału na nobilitowanych własną książką i hołdyszy — zdolniaczków, którzy swój debiut mają jeszcze przed sobą. W praktyce jednak, w zarządach Kół panuje zwyczajna dezorientacja: nie wiadomo już dokładnie, kto i do czego ma tu prawo. Jest w tym również trochę winy ZLP, nie zawsze zainteresowanego sytuacją w Kołach. Cóż więc dziwnego, że wiele z nich rządzi się według „własnych przepisów”, od przypadku do przypadku...

Powie ktoś, że KM przy ZLP to nic innego jak przedproże związku zawodowego, więc warunek podpisania umowy jest uzasadniony. Z pewnością. I myślę jednak, że ów zwolennik profesjonalizmu zubaża znaczenie Związku Literatów, a więc także istniejących przy nim Kół. Zubaża odbierając im zadania propagatorskie, wychowawcze, kulturotwórcze... Granica wieku — 38 lat — krańcowa dla członków kół — wydaje się być w tych warunkach ograniczeniem najmniej istotnym.

Pałeczkę po Kołach Młodych próbują przejąć tu i ówdzie członkowie Klubów Młodych Pisarzy działających pod egidą ZSMP. Skrzykują się umiejętnie, potrafią walczyć o swoje prawa — w sumie zacieśniają jednak obraz młodej kultury. Brak literackich szlifów rekompensowany bywa tu niejednokrotnie bombastycznością wystąpień, w których znów pojawia się ta enigmatyczna, niejasna „mło-



dość" jako nadrzędna wartość artystycznej wypowiedzi. Nie bez przyczyny z taką ufnością KMP-owcy nazywają się Pisarzami — dla nich fakt organizacyjnej przynależności jest już rękojmnią twórczej pozycji i spełnionego talentu. Gdybyż sprawa była tak prosta...

Tymczasem ów pęd ku rejonom kultury oficjalnej, próba przekroczenia zaklętych progów ZLP, prowadzi do pokoleniowych rozłamów. Istnieją w tym względzie dwie strategie. Pierwsza, którą można by nazwać strategią odchodzenia, bardzo chętnie używa argumentu, iż jedynym podziałem w łonie literatury jest podział na literaturę dobrą i złą. Argument to słuszny, ale wykorzystywany bywa demagogicznie. Czołowi, aktywni przedstawiciele młodoliterackich środowisk przekraczając zaklęty próg zmieniają się najczęściej od razu w statecznych Literatów i odsuwają się od swych rówieśników. Rówieśników sterowanych tymczasem przez tych, którzy wybrali drugą ze strategii, tę wiecznego uczestnictwa. Przez owych „najwierniejszych” młodości autorów niedocenionych, pisarzy z jedną jedyną (od lat) książką, animatorów wstępującej kultury, czterdziestoletnich mecenasów, jacy nagle bliżsi są młodym niż dwudziestoparoletni „klasycy”...

## OBECNI, NIEOBECNI

Sprzeczność, w jaką uwikłał się ruch młodoliteracki, przybierać zaczęła powoli formę błędnego koła przyczyn i skutków... Napierający na twierdże oficjalnej kultury początkujący pisarze, zlaknieni debiutu i bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem, spróbowali przedostać się do środka podziemnym przejściem. Skazani na bierność postawili na aktywność w ramach dostępnych sobie środków. Nieobecni zaznaczyli swą obecność we własnym gronie, lecz im wyraźniej ją zaznaczyli tym wyższym odgradzali się murem od literatury przez duże L. I znów stawali się nieobecni, anonimowi...

Wszystko wskazywało zresztą na to, że przedstawicielom kultury oficjalnej taki stan rzeczy bardzo odpowiadał. Szacowne pisma literackie ze smakiem publikowały tzw. kolumny młodych, gdzie ściśnięci i bełkoczący na różne głosy autorzy wydawali się rzeczywiście tak podobni do siebie, tak nieopierzeni, że zupełnie niezdolni do wysokich lotów. Zdenerwowani młodzi raz po raz próbowali szukać rozwiązania w wewnątrzśrodowiskowych inicjatywach — i znów znajdowali się na marginesie życia literackiego...

Dziś częściej już dają się słyszeć głosy: pozwoliliśmy się zapędzić w młodoliterackie getto. Szukajmy z niego wyjścia, bo tworzone przy tej okazji

schematy kształtują nie tylko zewnętrzny odbiór, ale i nas samych...

Ale rozpędzona machina młodzieżowej sub-kultury nie daje się jednak łatwo zatrzymać. Wprawiają ją w ruch kolejne generacje nieświadomie angażując w ten proceder wszystkie swoje siły. Obietnica uczestnictwa kusi, i nie ma się co dziwić, że debiutant chętnie korzysta z szansy jakiegokolwiek podkreślenia swej obecności. Bardziej niepokojące jest to, że z owych przedbitewnych harców zwykło się czasem czynić prawdziwe batalie. Zachwiane proporcje mszczą się jednak najbardziej na ufnych w moc słowa drukowanego młodych autorach.

Nieprofesjonalny ruch wydawniczy stanowi jeden z mocniejszych atutów w ręku młodoliterackiego środowiska. Jednakże to właśnie ów atut zmienia się powoli w najskuteczniejszą broń przeciw niemu. Nie chciałbym być niewłaściwie rozumiany — pisać źle o witrynach poetyckich, pół-oficjalnych seriach literackich, arkuszach, tomikach odbijanych na ksero, powielanych przez biblioteki, domy kultury i fabryki, to naiwnie przekonywać o pozytywach tworzenia do szuflady. Tymczasem problem jest rzeczywiście złożony i pomstując na chaos powodowany przez powyższe oficyny łatwo utracić właściwą perspektywę... Trudno na przykład nie zgodzić się z faktem, że sprawnie redagowana, złożona z wartościowych tekstów, seria poetycka wydawana w bardzo krótkim terminie, lepsza jest od tomików sygnowanych przez niektóre państwowe oficyny. Mam tu na myśli chociażby „Pokolenie, które wstępuje” wydawane pod auspicjami SZSP i „Nowego Medyka”. Trudno też mieć specjalne pretensje do tzw. prowincjonalnych środowisk twórczych, leżących poza zasięgiem zainteresowań wydawnictw, a starających się zaistnieć właśnie poprzez takie skromne serie, mające być świadectwem kulturalnej aktywności.

## ZADEBIUTOWAĆ

Mimo tych wszystkich uwarunkowań, zalew literatury trzecio-, a i czwartorzędnej, spowodowany rozrośniętym ponad miarę procederem nieprofesjonalnego ruchu wydawniczego, wydaje się przynosić młodej kulturze więcej szkód niż korzyści. Ustawnie zmniejsza się ranga publikacji, giną w masie bezwartościowych druków cenne częstokroć inicjatywy edytorskie...

Nie od dziś narzekają młodzi twórcy na brak odzewu ze strony predysponowanych do tego instytucji. Redakcje nie odpowiadają na listy, krytyka wydaje się być głuchą na głosy młodości, najpopularniejszą formą publikacji są wciąż kolumny młodych, a o własną książkę trudno.

Wszystko to prawda, lecz jest także druga strona medalu. I tak, ci spośród młodych, którzy przejawiają autentyczny talent, znajdują się czasami w łatwiejszej sytuacji niż ich starsi, o lat kilka czy kilkanaście, koledzy po piórze. Istnieje bowiem tendencja, którą można by określić — modą na debiutanta.

Przyczyną gwałtownego zainteresowania krytyki staje się czasem jedna interesująca książka, ba, nawet wydany poza siecią państwowych oficyn arkusz poetycki. Mnożą się omówienia i recenzje, a w tym samym czasie kolejna książka „dojrzałego” pisarza, nie mniej godna odnotowania, pozostaje bez najmniejszego echa.

O książkowy debiut nie jest rzeczywiście łatwo, ale przecież faktem jest, iż wydawnictwa zrobiły w tej mierze sporo i debiutów ukazuje się więcej niż kiedykolwiek. Łącznie z tymi, które uznać można za pół-oficjalne, bo drukowanymi sumptem nieprofesjonalnych oficyn — ukazuje się ich rocznie około sześćdziesięciu!

Nie sposób zresztą przy tej okazji pominąć coraz powszechniejszego i szkodliwszego zjawiska jakim jest rodzaj moralnej, wewnątrzśrodowiskowej presji, którą można by określić umownie jako — dyktaturę debiutu. Wśród pisarzy początkujących debiut przybrał bowiem postać bożka. Nie pisze się już dla siebie, dla czytelnika — lecz do tomu, książki, do debiutu. Tylko pozornie wygląda to na zdrową ambicję. W praktyce twórczość staje się nie celem a środkiem... Tak rozpoczyna się gra, której daleko do naiwności debiutanckich westchnień. Twórcza dojrzałość sprowadzona zostaje do nobilitującej wartości samodzielnego druku.

## KOGO KSZTAŁCĄ PODRÓŻE?

Ruchliwość piszących spod znaku młodej literatury, łatwo dostrzegalna na codzien, czyni w pierwszej chwili bardzo dodatnie wrażenie. Przy okazji licznie organizowanych imprez, zjazdów, sejmików mówić przecież można o upowszechnianiu kultury, o rozwijaniu zdrowej atmosfery w samym środowisku, o wymianie doświadczeń. W praktyce jednak stanowi to wszystko jeden z trybików wprawiających w ruch błędne koło, w jakim znalazła się młoda literatura.

Gdybyż jeszcze rzeczywiście ułatwiano przy powyższych okazjach dyskusje o środowiskowych kłopotach! Dzieje się tak czasami, ale bywa też zupełnie inaczej. Precyzyjnie, z zegarkiem w ręku opracowane zloty pozbawione są jakiegokolwiek myśli przewodniej. Wszystko sprowadza się do pospiesznych wycieczek autokarem, mniej lub bardziej wystawnych posiłków i oczywiście jakiegoś konkursu.

Świat widziany z okien autobusu nie dostarczy jednak bodźców do twórczości — a wysiłki organizatorów idąc w złym kierunku permanentnie są marnowane. Marnuje się przy tym szanse na rzeczową — opartą o możliwość szerszego społecznego rezonansu, dyskusję nad problemami środowiska. Czyż nie warto by zamienić liczne i kosztowne imprezy na jedną ogólnopolską i poważną? Na mię-

dzyśrodowiskowy, przypadający choćby i co dwa lata, Zjazd Młodych Pisarzy?

Rodzą się oczywiście wątpliwości, czy tak ostentacyjne podkreślanie odrębności młodej literatury nie przyczyniłoby się do przyspieszenia obrotów błędnego koła, o którym tyle tutaj piszę. Myślę jednak, że sporo w tym względzie zależałoby od formuły... A warto by przecież zastanowić się wspólnie nad konsekwencjami gwałtownie rozwijającego się ruchu. Niebezpieczeństwo jego kulturalnej izolacji wydaje się być problemem szczególnie istotnym.

Żeby uświadomić sobie dynamikę środowiska wystarczy zresztą zatrzymać się przy jednym przykładzie — wspomnianych już otwartych konkursach literackich. Plenią się one tak obficie (zwłaszcza poetyckie) że zagłuszają się niemal zupełnie. Co prawda mnogość tych wszystkich Turniejów Jednego Wiersza i batalii o laur wywodzi się ze źródła czystego, lecz źródło to ostatnimi czasy wydaje się być po prostu skażone. Miała być propagacja młodej literatury — a jest wszechogarniający bałagan. Wyróżnienia i nagrody zdobyte w tych konkursach miast stanowić bodziec do artystycznego rozwoju — propagują pisarską łatwiznę i wzory pseudo-twórczego wyszcigu. Młodzi autorzy piszą więc „pod konkurs”, „pod jury”, a że jury złożone z dojrzałych poetów bywa różne, więc i wiersze tego samego autora chętnie zmieniają skórę. Sztuka literackiego persyflażu w wysokiej tam bywa cenie i trudno przypuszczać, by wpływ jej oddziaływania kończył się po rozdaniu nagród. A jury? Prędko się zniechęca i w nawale tekstów widzi już tylko tę agresywną i nudną — młodą literaturę. Koło się zamyka...

Młoda literatura skazana na zaspokajanie głodu swoim kosztem znalazła się w sytuacji węża pożerającego własny ogon. Paradoksalna to sytuacja i trudno o proste rozwiązania. Póki co trzeba by sobie jednak zacząć uświadamiać, że samodzielność to jeszcze nie samowystarczalność. Jedną jest przecież literatura i wspólny być w niej winien udział wszystkim pokoleń. A z młodością — nie przesadzajmy, wtedy dopiero odgrywa ona swoją wspaniałą rolę, kiedy w drugim akcie może się zmienić w dojrzałość.

PS. Już po napisaniu tego artykułu przeczytałem w „Studentencie” o dyskusji, jaka toczyła się podczas otwartego zebrania Komisji Młodzieżowej ZLP w ramach jubileuszu 50-lecia krakowskiego Koła Młodych. Organizacyjny chaos panujący w Kołach Młodych uderza w najwartościowszych ich członków — mówili dyskutanci. — Pora zmienić statut...

Nie wiem, jaki ten nowy statut będzie i co praktycznie zmieni, lecz fakt, że zauważyli problem sami zainteresowani, dobrze wróży na przyszłość.

Zwłaszcza dziś, w dobie posierpniowej aktywizacji środowisk twórczych — gdy jak grzyby po deszczu rodzą się efektywne pomysły i konkretne propozycje rozwikłania trudnej sytuacji.

ARTUR DANIEL LISKOWACKI



RONALD RITTER — „Narodziny Wenus” — *granit*.  
Z wystawy pokonkursowej o nagrodę „Konika Morskiego 80” w Szczecinie. Fot. Z. Ryngwelski



RONALD RITTER — „Rafa koralowa” — granit.  
Z wystawy pokonkursowej o nagrodę „Konika Morskiego 80” w Szczecinie. Fot. Z. Ryngwelski

# janusz kobierski

adam

Zanim w Wydawnictwie Poznańskim ukazał się w 1978 r. debiutancki tomik „Zzza siódmej skóry” — Janusz Adam Kobierski (Słupsk) zdążył już opublikować dziesiątki wierszy w prasie literackiej. Drukował w „Poezji”, „Nurcie”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Miesięczniku Literackim”, „Literaturze”, „Kulturze” i wielu, wielu innych. Oryginalność jego pisarstwa — związanej przecież z tzw. młodą literaturą — polegała na śmiałym przypisaniu się do poetyckiej tradycji. Kobierski nie próbuje żadnej z młodo-poetyckich metod wdarcia się na Parnas — programowo klasyczny, oszczędny w słowach, nie waha się jednak pisać o rzeczach ważnych używając dużych liter. Poezja przez niego uprawiana swą siłą wywodzi z lirycznej czystości. Bardzo często dotyczy spraw ostatecznych, a pytania, które stawia, są również pytaniami o celowość, sens egzystencji. Te wiersze zdyscyplinowane formalnie, choć ustawione po przeciwnym biegunie młodej literatury, stanowią jednak ważne jej uzupełnienie. Potwierdzenie związków, których wartość nie kończy się wraz z artystyczną modą.

## Kołyska

Melodia chybotliwej wody  
szum senny morskiej kołysanki  
i niebosiężny pejzaż chwiejny  
pod sierpem bladym na tle nocy  
Wieczne uściski fal na piasku  
rozmowy brzegów w oddaleniu  
Pomiędzy nimi jak w kołysce  
sny się kolebią tych odważnych  
o mroczniejących grzywach burzy  
błękitnym lustrze w tarczy słońca

Ty  
coś początkiem  
i kołyską  
pełną śmiałych snów  
które snujesz  
swą pieśń nieustanną  
czułem szeptem  
wierność wyznajesz  
i dzwonem szkwału  
bijesz na trwogę  
któreś pierwszą łąką świata  
morze

\* \* \*

Płynę  
aż do tej wciąż dalekiej  
linii horyzontu  
Płynę do lądu  
w który wierzyć muszę  
wodą pragnienia zewsząd osaczony  
przeszyty ostrzem słońca  
żar w sobie niosę  
wyspę płonąca  
Ugaś ją wodo żywa  
albo przyjmij mnie w siebie  
jak wszystko  
co mi zabrał  
twój nurt zwiłkany

## Chwila

Sad majowy w uroczystej bieli  
podobny przywidzeniu  
w którym świąteczność wabna  
ludzi nastrojami  
wrażen śnieżne gwiazdy  
topniejące w dłoni

Tu spokój  
brzemienny daleką śpiewociszą  
jak przed grzmotem burzy  
nieruchomość chwili  
a spoza słuchu senna  
muzyka odcina  
rzeczy od natury

# CZESŁAW MARKIEWICZ

Czesław Markiewicz urodzony w 1954 roku w Zielonej Górze, gdzie do dziś mieszka i pracuje, należy do wstępującego pokolenia poetyckiego. Nie bez kozery jego debiutancki arkusz „Modlitwa oszukanych” ukazał się właśnie w SZSP-owskiej serii „Pokolenie, które wstępuje”. Debiutował w „Nadodrze” w 1976, od tego czasu publikował systematycznie w akademickich czasopismach kulturalnych i ogólnopolskiej prasie literackiej. Jego wiersze charakteryzuje ostry, manifestacyjnie zaczepny ton. Programowa szorstkość, cynizm nawet, dalekie są jednak od młodzieńczej agresji. Epatowanie czytelnika nie jest tu literacką grą — niezgoda na życiową łatwiznę, zakłamanie codzienności prowadzi czasem do sytuacji ekstremalnych. Liczy się w nich tylko prawda i fałsz, bunt i rezygnacja. Wtedy można powiedzieć: „kiedy zobaczysz coś pięknego i czystego policz do stu i spluń trzy razy” (Wierszyk dla dobrze usposobionych). Forsowanie poetyki szyderstwa wywodzi się jednak z lirycznych źródeł, z tęsknoty za stałymi wartościami... Młodzi poeci niechętnie piszą dziś wiersze — protesty, bunt stał się jakby mniej popularny, tym wyraźniej więc od tego tła odcinają się niespokojne strofy Markiewicza...

## **Coraz dalej prawdy**

chodźcie ze mną dziewczyny  
porzućcie majowe  
pierwszokomunijne sukienki  
i wianki z cepeli  
pójdziemy za rzekę za las  
na górę świętego marcina  
na dancing i befsztyk  
jakiego nie ma w waszym chlewiku  
będziemy w wieczerniku tańczyć  
przy dźwiękach oszalałej kapeli  
ja płacę  
za synkopy nadziei  
za wasz wstyd  
za niepotrzebne do tego matury  
daję wam łzy za uciulaną niewinność  
niepotrzebną nawet wikaremu  
który właśnie ostrzy źrenicę  
o udo bierz mowianej przez kelnera  
dziewczyny  
a jednak wróćcie do zapachu siana  
z chorobą w sąsiękach serca  
nie będzie żadnego lekarstwa  
prócz powtórzenia zabawy  
chodźcie ze mną dziewczyny  
opowiem wam bajkę

## **Lasem zwany**

przed lasem  
skończyły się wakacje  
połatane zasmarkane  
za lasem  
dyskoteka reflektory  
śliskie dziewczyny wężami rąk  
podają bukiety woskowych jabłoni  
w tunelach kościołów  
krety źrenic wypatrują  
niefarbowanej bieli  
ludzie płaczą  
otwierając puszkę pandory  
za lasem chudnie ziemia  
w lesie  
który nie wiadomo skąd  
murszeją barwne piwnice  
ludkowie w matniach  
spijają stuletnie jable  
kobiety piorą chusty w mrowiskach  
rozcierają na noc jagody  
pachnie drewnem jak dziewicą  
wszystko to stworzone  
nie wymyślone  
umiera sobie pod omszałą przyłbicą  
tak rodzą się twarze  
zwrócone do ziemi  
niebo po płątku prószy na plecy  
już za chwilę zaoblęczeni  
zapomnimy przed wyjściem  
zakrećć kurki boru

*Drogi Janie!*

*Promieniuję dumą słuchając tylu wspaniałych słów o Waszych koncertach: że byliście najbardziej oklaskiwani i chwaleni nawet przez samego Prezydenta i jego żonę, że jesteście pierwsi wśród wszystkich innych chórów zagranicznych i tematem Nr 1 rozmów w całym kraju. Doprawdy, jakże cudownymi jesteście ludźmi! Pięknymi i utalentowanymi. Mówię nie tylko o odczuciach mieszkańców Cagayan, ale o wszystkich Filipińczykach, którzy widzieli i słyszeli Wasze koncerty. Kiedy Was znowu zobaczymy?*

Teresa

Adresat tego listu imię otrzymał po harnasiu beskidzkim Janie Tadeuszu Klimczoku, jako, że Szyroccy ze Śląska się wywodzą znad samej czeskiej granicy. W domu rodzinnym mocno osadzonym w śląskich tradycjach — jak tylko pamięcią sięga rozbrzmiewała muzyka. Grywali sąsiedzi, każdy z dziada pradziada na kilku instrumentach, grywała matka, niedzielne koncerty w domu zawiadowcy stacji Alojzego Szyrockiego były częścią rytuału świątecznego dnia. Przymierzał się i Janek do fortepianu, najpierw pod okiem matki, a potem prywatnego nauczyciela muzyki. Tyle do wojny, która skomplikowała rodzinne losy. Wysiędlenie z Ruptawy, głód, rozłąka. Janka oddano na wychowanie do dalszej rodziny w Katowicach. Właściwą edukację rozpoczyna dopiero po wojnie w Rybniku, w szkole znanych na Śląsku pedagogów — braci Szafranków. Równolegle, jako uczeń Liceum Ogólnokształcącego należy do chóru, zakłada orkiestrę mandolinową, w której sam gra na akordeonie, muzyka jest jednak marginesem tych młodzieńczych działań. Rodzina żądała od niego zdobycia konkretnego zawodu. Temu celowi miała służyć matura, a potem dalsze studia. Zamierzał podjąć je w Politechnice Gdańskiej, przypadek zrzucił, że w ostatniej chwili złożył papiery do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie. Na egzamin wstępne przyjechał nie informując rodziców. Wstydził się ewentualnej porażki. Niepotrzebnie. Przyjęto go na pierwszy rok WSI. Stało się to A.D. 1951.

*Na Wall Street o wojnie wciąż marzą  
i o zyskach z niej snują rojenia.  
Wola Truman z poblądą twarzą:  
jeszcze milion, milion na zbrojenia.*

Ow wiersz tak charakterystyczny dla estetyki i atmosfery lat pięćdziesiątych znalazł się w programie arty-

stycznym IV grupy studenckiej I roku Wydziału Budownictwa. Programem tym, który zdobył pierwsze miejsce w konkursie ogłoszonym przez nowo powstałą organizację ZSP wśród poszczególnych grup studenckich złamał Szyrocki swoje śluby separacji od muzyki. Chciał być przykładnym studentem oddanym tylko nauce i wytrwał w tym postanowieniu cały pierwszy semestr. Na początku drugiego w nagrodę za dobre wyniki w nauce i popularność wśród kolegów wybrano Jana mężem zaufania owej czwartej grupy. Po ogłoszeniu wspomnianego konkursu zwołał zebranie, na którym wyłoniono wszystkie możliwe talenty: solistów grających na ustnej harmonijce, gwizdzących, śpiewających, recytatorów, poetów i jak się wyżej napisało — satyryków. Zjednoczonymi siłami zmontowano półgodzinny program estradowy. Program podobał się. Błysnął pięknym basem Olek Oleśniewicz, jeden z późniejszych filarów Szczecińskiej Czwórki Wokalnej, ujawniły się osobowości Zdzisława Staudego i Bogdana Pasierbińskiego według legendy tamtych lat — do dziś niezastąpionych prezenterów i konferansjerów wielu imprez studenckich, objawił się przede wszystkim niezwykle talent organizatorski i doświadczenie muzyczne Jana Szyrockiego, który w oparciu o przyjacielską grupę z Akademika stał się animatorem wielu inicjatyw artystycznych uczelni.

Na drugim roku studiów poproszono Jana o objęcie opieką kulturalną wszystkich grup studenckich działających na Wydziale Budownictwa oraz na I roku Wydziału Chemii. A że był to rok wyborów do Sejmu i na studentów spadł obowiązek wypełniania tzw. części artystycznej na spotkaniach wyborców z kandydatami na posłów, uczył Jan swych kolegów różnych pieśni, które potem wykonywano w Baniach, Pyrzycach, Gryfinie i innych miejscowościach. Na ile ówczes-

PIĘKNE, BO NIE MA SKOŃCZONOŚCI

na działalność Szyrockiego przyczyniła się do wygrania wyborów przez kandydatów Frontu Jedności Narodu — o tym kroniki milczą. Natomiast faktem jest, że wspólne koncerty semen-towały poszczególne grupy, a studenci polubili ten rodzaj pracy społecznej. W październiku miejscowa prasa ogłasza komunikat o konkursie pieśni i tańca narodów radzieckich z okazji zbliżającego się Miesiąca Przyjaźni. W Zarządzie Uczelnianym zapada decyzja o wzięciu udziału w tym konkursie. Postanowiono kilka grup połączyć w jeden kilkudziesięcioposobowy zespół i wystawić reprezentację uczelni: W pierwszym porywie chemicy odmówili wspólnego śpiewania z łądowncami i na odwrót. Jednakże muzyka pogodziła adwersarzy. Po kilku próbach uznali, że co sto głosów — to nie trzydzieści, że wszystko brzmi potężniej i wspanialej. Repertuar zaczerpnięto z popularnego wówczas zbioru „40 Pieśni Radzieckich”. Przez potrójne sito eliminacji chór przeszedł gładko, w finale zajął pierwsze miejsce. Niezawodny Kurier odnotował: „W gronie zespołów chóralnych młodzieżowych I nagrodę otrzymał zespół Szkoły Inżynierskiej, który dysponuje doskonałymi głosami, odznacza się świetną dyscypliną i znakomicie dobrał bogaty i ciekawy program” (13.12.1952). Tak zakończył się okres prehistorii naszego wspaniałego zespołu i dyrygenckiej kariery Jana Szyrockiego.

#### Winterthur 29 października 1977

*Drogi studentki i studenci — przyszli koledzy po fachu! Zrobiliście nam tu Polakom mieszkającym w kantonie zurychskim w Szwajcarii wielką sjęstę duchową. Wam pięknym paniom i miłym panom jak i Waszemu mistrzowi Janowi Szyrockiemu jak najserdeczniej za to dziękujemy. Ja Was w tym krótkim czasie bardzo obserwowałem i stwierdzam z radością, że jesteście młodzieżą wartościową. Daję Wam dobrą dewizę życiową: popierajcie mądrość i inteligencję ludzką. Niszczcie głupotę, bo to niebezpieczeństwo ludzkości.*

*Wasz kolega Zdzisław Pręgowski  
dyplomowany architekt*

Zarówno zespół jak też jego dyrygent uznali, że wraz z pierwszą nagrodą na konkursie w roku 1952 cel został osiągnięty i można rozejść się do zajęć bardziej pożytecznych. Żal im się jednak zrobiło tego, do czego już przywykli — atmosfery wspólnoty, jaka zaczęła powstawać na próbach. Od słowa do słowa — postanowiono sprawę ciągnąć dalej. Próby odbywały się

na zasadzie kurendy. Na wykładach puszczano w obieg listę, na którą wpisywali się chętni. Spotykali się przy ulicy Pułaskiego w auli przy zdezelowanym Bechsteinie — tu gdzie spotykają się do dziś. Wiosną 1953 roku, a więc po półrocznej pracy zostają zakwalifikowani na centralne eliminacje zespołów studenckich do Wrocławia. W konkurencji z dziesiętnastoma chórami z całej Polski zajmują czwarte miejsce. Przeżyciem staje się koncert galowy w Hali Ludowej. Śpiewają „Pieśni o Bierucie” i „Wesele sieradzkie” Prosnaka. Nagrodę stanowią siatka i piłka do siatkówki. Po powrocie do Szczecina odbywają triumfalny przemarsz ulicami miasta pod Politechnikę. Na czele pochodu kroczy koryfeusz z piłką, za nim zespół z rozciągniętą na całą szerokość siatką. Słodki jest smak sukcesu.

W następnym roku jesienią znów udział w konkursie z okazji Miesiąca Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. To ważne wydarzenie. Zasiadający w jury eliminacji ówczesny dyrektor Średniej Szkoły Muzycznej Antoni Huebner odkrywa wielki talent dyrygencki Szyrockiego. Namawia go na podjęcie dalszej edukacji muzycznej w swojej szkole. Nie ma w niej wprawdzie ani wydziału instruktorskiego, ani klasy dyrygentury, ale czas spędzony w klasie fortepianu prof. M. Doliwy Dobrowolskiej też nie będzie czasem straconym. Huebner od nowa zapala Szyrockiego do muzyki. Uświadamia korzyści, jakie przynieść może zespołowi i dyrygentowi głębsze wniknięcie w teorię. Zwalnia Szyrockiego z obecności na niektórych zajęciach, pewne przedmioty pozwala zdawać eksternistycznie. Słowem, stwarza młodemu studentowi szansę, której nie sposób nie wykorzystać. Sześć lat później profesor dumny z własnej intuicji i ze swego absolwenta napisze w recenzji: „Wystarczy popatrzyć na ręce dyrygenta podczas występu: każdy ruch wyrazisty, zaokrąglony, frazujący, bez efekciarstwa. Trzyma chór na wodzy — jak igłę pod magnesem. Szyrocki — to muzyk artysta”. „Kurier Szczeciński z 12. IV. 1969).

Dyplom Średniej Szkoły Muzycznej zdobywa Szyrocki w 1959 r. Od trzech lat jest już asystentem w katedrze żelbetu Politechniki Szczecińskiej. W tym samym roku żeni się oraz pierwszy raz w życiu wyrusza z chórem na wyprawę zagraniczną do Bułgarii.

Dalsze lata są pasmem nieprzerwanych sukcesów na wielkich krajowych imprezach muzycznych, jak też zagranicznych festiwalach. Krytyka muzyczna zarówno nasza jak i obca do-

strzega, iż Szyrocki rozsądził tradycyjny repertuar chóru amatorskiego. Wprowadza na estradę zapoznane w tym ruchu arcydzieła chóralistyki staropolskiej: Wacława z Szamotoła, Bartłomieja Pękla, Mikołaja Zielińskiego. Śmiało sięga po efektowną, „szlagierową” literaturę XIX wieku — polską i światową. Wreszcie, i kto wie czy to nie jest największa zasługa Szyrockiego dla, nie boję się tego określenia, światowego śpiewactwa, że odkrywa prowokujące piękno współczesnej muzyki chóralnej. Wbrew obiegowym opiniom o nieprzyswajalności tej muzyki przez odbiorcę. Byłam świadkiem koncertów, kiedy po „Muzyce Fa-remi-do -si” Koszewskiego, czy „Simfonięcie Hawela” aplauz na widowni osiągał temperaturę wrzenia. Szyrocki zrywa z podziałem: muzyka łatwa i trudna. Może być tylko źle albo dobrze wykonana. W tym drugim przypadku zaaprobuje ją najszerza widownia.

Sukcesy chóru w repertuarze współczesnym zachęciły kompozytorów do wypowiedzania się w formach chóralnych. Możliwość skonfrontowania własnej wizji utworu z tym, co zostanie wykonane przez interpretatorów, stanowi istotną zachętę do pracy. Od wielu już lat współpracuje ze szczecińskim zespołem Andrzej Koszewski z Poznania. Okres poprzedzający prawykonywanie jego utworów stanowił ważny dla kompozytora sprawdzian warsztatu. W czasie prób dokonywał wielu zmian, poprawiał tempa i dynamikę poszczególnych fragmentów. Piszą dla chóru: Jan Wincenty Hawel, z Katowic i Jan Fotek z Warszawy. Rozważa możliwość współpracy ze szczecińskimi całą grupą młodych kompozytorów warszawskich. Utało się, że kompozycje „wypróbowane” przez zespół szczeciński wchodzą potem do repertuaru innych chórów.

Na pytanie: jaka muzyka jest mu bliższa — dawna, czy współczesna? — Szyrocki nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Wykonanie utworu dawnego musi być poprzedzone gruntowną analizą. Trzeba wejść w epokę, przesledzić założenia kompozytorskie, znać ówczesne tradycje wykonawcze. Dawna muzyka posiada jednakże walor, którego pozbawione są często utwory współczesne: mieści się idealnie w granicach ludzkiego głosu, gdy kompozytorzy współcześni często tę granicę przekraczają, wręcz nie liczą się z nią. Dlatego trzeba stosować pewne uniki, lub środki zastępcze, żeby wykonać miejsca teoretycznie niewykonalne z punktu widzenia amatorskich możliwości. To właśnie jest podniecające. Otwiera cał-



kiem nowe możliwości eksperymentowania z głosem ludzkim. Zaś ludzki głos to jest to, co w życiu pasjonuje Jana Szyrockiego najbardziej. Uważa go za najwspanialszy i najbardziej wszechstronny instrument ze wszystkich istniejących. Niepowtarzalny, bo nie ma dwóch ludzkich głosów brzmiących jednakowo. Śpiew chórally harmonijnie zespala te głosy i jest szybszą formą muzykowania zespołowego. Prosty przykład: dziesięciu ludzi w jednym dniu zaczyna uczyć się gry na instrumentach i tyle samo przystępuje do nauki śpiewu. Ta druga grupa szybciej dojdzie do pewnej doskonałości, aniżeli grupa grających. A zatem w warunkach zespołu amatorskiego, studenckiego — przy dużej rotacji chórzystów, gdy ludzie pozbawieni są możliwości kształcenia muzycznego — praca w chórze stanowi optymalną szansę wykorzystania talentów i muzykalności. Proste.

Gdybyż wcześniej ziściło się marzenie Szyrockiego o Wyższej Szkole Muzycznej w Szczecinie. Gdybyż! Tropiąc fenomen ludzkiego głosu Jan po raz drugi zostaje słuchaczem Średniej Szkoły Muzycznej, tym razem w klasie śpiewu solowego prof. Janiny Wyrzykowskiej. Na własnym przykładzie, na własnym aparacie artykulacyjnym chce poznać istotę pracy nad głosem, zgłębić warsztat pedagoga szkolącego ten głos. Przez cztery lata pilnie uczęszcza na zajęcia, w zrobieniu dyplomu przeszkodziła mu choroba. W pewnym bowiem momencie organizm odmawia posłuszeństwa, buntuje się przeciw ciężarom przyjmowanym bez opamiętania na własne barki. Praca z Chórem Akademickim Politechniki Szczecińskiej, w 1960 roku powołuje do życia i przez kilka lat kieruje chłopcym zespołem „Słowiki Szczecińskie”, w 62 roku odzywają się „Berżeretki”, wdzięczny zespół dziewczęcy wykonujący dawną muzykę, a jeszcze prezesura Szczecińskiego Oddziału Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, a jeszcze członkostwo prezydium STK i aktywny udział przy organizowaniu wielu imprez muzycznych na terenie województwa szczecińskiego, a jeszcze udział w Radzie Programowej do spraw ruchu amatorskiego przy Ministerstwie Kultury no i praca zawodowa, bo od 1956 roku jest Szyrocki pracownikiem naukowym Politechniki Szczecińskiej i przechodzi kolejne stopnie gradacji naukowej od asystenta, do starszego wykładowcy. W pewnym momencie zgodnie z przepisami zostaje postawiony przed koniecznością zrobienia doktoratu. Otwiera więc przewód doktorski na temat: „Włas-

ności fizyczne betonów piaskowych”. Chodziło o przebadanie możliwości wykorzystania do konstrukcji żelbetonowych w miejsce żwiru nie występującego na naszym terenie — bogatych zasobów piaskowych regionu szczecińskiego. Poważne zadanie badawcze całego Zakładu Żelbetu objęte planem centralnym i przewidziane na kilka lat. Umówił się Szyrocki ze swym promotorem, że na czas trwania badań niezbędnych do opracowania tematu wyłączy się z życia chóralnego. Szczęśliwy dla muzyki przypadek zrzucił, że promotor wyjechał ze Szczecina. Jan stanął przed alternatywą: albo wyjechać za nim do Bydgoszczy, albo zmienić temat pracy doktorskiej, w którą już się zaangażował. Nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie. Los podsunął mu trzecie rozwiązanie: roczne stypendium muzyczne w Wiedniu przyznane mu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Był rok 1974.

Myślę, że ten zbieg okoliczności nałożył się na dojrzewającą decyzję o przekroczeniu progu muzycznej zawodowości. Zapadło Szyrockiemu w pamięć gdzieś usłyszane powiedzenie, że zespół nie jest w stanie przeskoczyć dyrygenta, jeżeli zespół ma się rozwijać — musi rozwijać się dyrygent. Przed wyjazdem do Wiednia odbywa więc rozmowę z rektorem Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu Stefanem Stulgroszem o możliwości podjęcia studiów na wydziale dyrygentury w trybie indywidualnego toku studiów. Rektor wyraża zgodę. Z programu Wyższej Szkoły Muzyki i Sztuki Odtwórczej w Wiedniu wybiera więc te wykłady i ćwiczenia, które będą mu pomocne przy egzaminach w Poznaniu. Zostaje podopiecznym profesora Günthera Theuringa wybitnego dyrygenta, opiekuna klasy dyrygentury chóralnej. Uczęszcza na zajęcia do innego mistrza, w dziedzinie dyrygentury instrumentalnej Hansa Twarovskiego, wybitnego specjalisty w dziedzinie analizy utworów muzycznych.

Zdolności i wiedzę Polaka dostrzegają inni mistrz wiedeński Karol Asterreicher. Początkowo oschły i nieufny, pod koniec pobytu darzy studenta z Polski serdecznością i przyjaźnią. Jan na wykładach i ćwiczeniach spędza średnio 12 godzin dziennie. Wieczorami i po nocach odrabia zadania domowe i przygotowuje się do ćwiczeń w dniu następnym. Gaststudent Szyrocki traktowany jest jak każdy normalny student wiedeńskiej uczelni i w każdej chwili może być wyrwany do odpowiedzi. Przy uczelni działa orkiestra ćwiczebna złożona z byłych członków Wiener Symphoniker i Wiener Filharmoniker. Starzy wyjadacze grają dzieła klasyków i romantyków, w którą stronę się chce. Świetny warsztat dla dyrygenta, ale nie można stanąć przed takim zespołem bez znajomości partytury na pamięć. Szyrocki wróci do Polski z imponującym bagażem pamięciowego opanowania partytur około trzydziestu symfonii, oratoriów i innych kobyl muzycznych, co jest ewenementem przy pulpitych dyrygenckich. Na zajęciach kamera rejestruje każdy ruch. Zapis odtwarza się następnie i zbiorowo omawia. Wiedeń to była dobra i twarda szkoła. Do Poznania wrócił znakomicie przygotowany, z zapasem ćwiczeń, własnych kompozycji i instrumentacji na różny skład in-

strumentów. Zdał kilkanaście egzaminów, świetnie obronił pracę na temat: „Zagadnienia wykonawcze wybranych utworów Andrzeja Koszewskiego”, a koncert dyplomowy z udziałem chóru i orkiestry szczecińskiej filharmonii przypieczętował kolejny, ostatni już etap edukacji muzycznej docenta Jana Szyrockiego.

„Byłam niedawno w Chicago na cudownym koncercie Chóru Politechniki Szczecińskiej. Poszłam raczej z obowiązku, jako że polska kulturalna impreza i myślałam, ot, chór jak każdy inny. Tymczasem olśniona zostałam tak ich niebywale ciekawym repertuarem (muzyka renesansu, baroku, a potem znowu najnowsza awangardowa). Więc czysta rozkosz dla wszystkich muzycznych ludzi. Nie rozumiem jak zespół Politechniki, gdzie przecież ludzie się zmieniają, może być tak kunsztownie zgrany i tak trudne utwory śpiewać. W każdym razie powinszować szczecińskiemu tak wysokiej klasy”. (Z listu mieszkanki Chicago do szczecińskiej przyjaciółki).

Ludzie się zmieniają. Można powiedzieć, że każdego roku zaczyna się od początku, to prawda. Ale zaczyna się za każdym razem inaczej, bo ważne są doświadczenia poprzednich lat, które sumują się i nanoszą na siebie dając efekty jakich nie można było osiągnąć poprzednio. Inaczej dyryguje się utworem wykonywanym po raz pierwszy.

„Najpierw słyszę go w sobie, wyobrażam sobie szatę brzmieniową, a potem realizuję tę moją wewnętrzną wizję. Często te wyobrażenia radykalnie zmieniają się pod wpływem tego, co mogę usłyszeć już praktycznie na estradzie. Po pierwszym koncercie okazuje się, że przeceniłem znaczenie miejsc w gruncie rzeczy mało istotnych, a inne ważne miejsca potraktowałem marginalnie. Utwór wymaga dalszego dopracowania szczegółów, które następnym razem ukażą go w nowym blasku. „Już się zmierzcha” zupełnie inaczej realizowaliśmy 10 lat temu, inaczej śpiewamy teraz. Nie wiem: lepiej, czy gorzej, ale na pewno inaczej. Bo teraz inaczej czuję ten utwór”. A czy przeżywał Pan na estradzie momenty, kiedy brzmienie utworu odpowiadało tej wizji idealnej słyszanej w sobie? — „W pełni jeszcze nigdy. Były czasami jakieś przebłyski, kiedy wydawało się, że to już jest ten stan idealny, zawsze jednak okazuje się, że można to było zrobić lepiej. Może dlatego właśnie praca dyrygenta jest tak pasjonująca w ciągłym dążeniu do ideału. Ciągłe tłumaczę młodym kolegom: myśmy to już robili w innym składzie, ale może z wami lepiej wyjdzie to miejsce, to brzmienie, ta fraza lepiej wyspiewana. Właśnie to jest piękne, że nie ma skończoności”.

Sposób pracy Szyrockiego budzi wśród chórzystów bardzo różne emocje. Od nienawiści na próbach po euforię uwielbienia na koncertach. Zauważcie — Szyrocki na estradzie ma w sobie coś z maga — zaklinacza. On hipnotyzuje zespół. Trudno inaczej tłumaczyć stopień koncentracji obserwowany w czasie występów. Hipnotyzuje w taki sposób, iż każdemu wydaje się, że połączony jest z tym człowiekiem stojącym przy pulpicie dyrygenckim niewidzialną struną, przez którą płyną impulsy w dwie strony. „Jeżeli pomył-

tekst, albo wejść o ułamek sekundy później — tłumaczyła mi jedna z dziewczyn, to wiem, że chociaż nie zauważyła tego żadna z osób najbliższych — to Szyrocki spostrzegł to na pewno. Okropny jest ciężar winy, jaki noszę potem w sobie całymi tygodniami”.

Czytają z jego ręki, ust, błysku oczu, zmarszczenia brwi — zespolenie stu osób ze swym dyrygentem zatrąca wręcz o metafizykę. Na estradzie wykonywane jest jedno z wielkich oratoriów. Chór towarzyszy partii basowej w wykonaniu jednego z operowych śpiewaków. Część ta śpiewana jest a capella, a więc bez możliwości wsparcia się jakimkolwiek dźwiękiem podzucanym przez instrument. Solista śpiewa fałszywie, co chwilę wypada z tonacji i dzielnie stara się wytrącić z niej zespół. Ale nie z nami te numery! Oni słyszą dźwięki wysyłane przez wewnętrzny kamerton Szyrockiego. Do końca nie zaśpiewają jednej fałszywej nuty i skończą w tej tonacji, w jakiej zaczęli. Prawie cud! Szyrocki twierdzi jednak, że to tylko odpowiedni trening.

Zdarzało mi się widzieć na próbach poprzedzających jakiś ważny występ ludzi mdlejących ze zmęczenia. Cucono ich, po czym wracali na próbę. Ze znanych mi ludzi tylko Hubert Wagner w złotych czasach polskiej siatkówki wyciskał taki pot ze swoich podopiecznych.

„U nas tak jak w sporcie wyczynowym — nie ma taryfy ulgowej. Nie sposób wyjść na scenę i powiedzieć: proszę państwa dzisiaj zespół zaśpiewa słabiej, ponieważ dziesięciu zdaje egzamin, dwóch jest chorych, a trzech pojechało na wycieczkę. Jestem tylko konsekwentny wobec zespołu — jeżeli osiągnęliśmy pewien poziom to musimy utrzymać go za wszelką cenę, bo inaczej zabawa przestaje mieć sens. Chórzycy są świadomi tego. W końcu przynależność do chóru nie jest obowiązkiem. Ci, którzy nie wytrzymują, po prostu odchodzą”. I dlatego „Chór szczeciński dysponuje wspaniałym, sprężystym, jasnym instrumentalnym brzmieniem, śpiewa z fenomenalnym wyczuciem rytmu. Tym chórem kieruje muzyk... naprawdę wysokiej klasy. Dyrygując wyzwała całą energię z zespołu. Chór śpiewa jak w transie (jest to cecha najlepszych wykonawców chórów) żarliwie, sugestywnie, agresywnie i fenomenalnie czysto”. („Ruch Muzyczny” Nr 13/1963 r.)

„Nie można mówić o jednej przyczynie, dla której ludzie podejmują wysiłek śpiewania w chórze. Na pewno muszą posiadać pewne wrodzone predyspozycje. Przede wszystkim muszą lubić śpiewać. Ci którzy nie lubią — wykruszają się najszybciej. Muszą posiadać cechę systematyczności i być pozbawieni egoizmu, żeby wyrzekać się własnych przyjemności na rzecz zespołu, czy sprawy której się podjęli. Na pewno największą atrakcją są wyjazdy, ale też nie tak jak to się na ogół rozumie. Na festiwalach zagranicznych wyzwała się pewien rodzaj ambicji, którą wywołuje moment konkurencyjności. Możliwość zmierzenia się, porównania z innymi, możliwość udowodnienia, że jesteśmy lepsi od tych innych — to istotne bodźce psychologiczne, które działają dopingująco. Wielu chórzystów ma trudności. Nie ukrywam tego. Czę-

sto trzeba wybierać: zajęcia na uczelni — czy dodatkowa próba. Jest część takich, którzy skończyli studia i pracują. Niektórzy boją się przyznać w miejscu pracy, że należą do zespołu. Inni zapraszają szefów na koncerty, żeby ci zobaczyli, że warto czasem dać chórzycie zwolnienie z pracy na wyjazd. Ciągłe rozdarcie między dyscypliną studiów, dyscypliną pracy a surowymi rygorami chóralnymi powoduje określone stressy, ale nas to nie może obchodzić, dla mnie liczy się tylko fakt uczestnictwa, bądź nieobecności w zespole”.

— Czy nie wydaje się panu czasem, że zbyt wyprzedził pan swój zespół pod względem fachowości. Są pozycje w literaturze chóralnej wymagające pełnej zawodowości, których nie może pan wprowadzić do repertuaru zespołu amatorskiego.

— To nie tak. My często źle pojmujemy zawodowość — tak jak pani w tej chwili. Według mnie zawodowość to nic innego jak pełna dyspozycyjność. Wszyscy codziennie stają do pełnej dyspozycji dyrygenta. Tylko tyle. Natomiast u nas ludzie przychodzą na próby wtedy, kiedy mają czas i nie w takich wymiarach w jakich ja chciałbym z nimi pracować. Natomiast jestem przekonany, że gdybym miał możliwość przesłuchania wszystkich studentów, którzy zaczynają studia na Politechnice, to z tego zespołu można by stworzyć najwspanialszy zespół zawodowy zarówno w sensie brzmienia jak i w sensie repertuarowym. Nasze ograniczenia wynikają jedynie z braku „mocy przerobowej”, z chronicznego braku czasu. To, co z zawodowcami przygotowywałbym przez dwa miesiące, tu przy istniejącym rytmie prób muszę robić przez rok. Ale za to zawodowiec przy lekkim zakręceniu gardła idzie do laryngologa i bierze zwolnienie, które dyrygent musi respektować. Dla mnie nie liczą się takie drobiazgi jak choroba, bo powtarzam, ważny jest człowiek na próbie, a nie ten, którego nie ma. Jeżeli jednak marzy mi się zawodowy chór Radia i Telewizji w Szczecinie, który — miejmy nadzieję — powstanie przy nowym ośrodku, to właśnie dlatego, że jest szeroki zakres literatury chóralnej, którą chciałbym bardzo kiedyś w życiu zrealizować, a ze względów czasowych nie mogę wprowadzić go do programu chóru studenckiego. Jest tyle do zrobienia w zakresie polskiej jak i światowej literatury. Wiele wspaniałych dzieł nie ma u nas wykonawców. Bo albo są zespoły specjalizujące się w określonym kierunku jak np. Cantores Minores albo zespoły amatorskie, których nie stać na wprowadzenie ambitniejszego repertuaru, o czym przekonały nas dwuletnie doświadczenia Akademii Cantat. Obracamy się wśród stale tych samych kilku-nastu kantonów literatury chóralnej.

— A więc jednak wychodzi na moje. Ciasno panu chwilami w uniformie dyrygenta chóru amatorskiego, nawet tak znakomitego jak Chór Politechniki.

— Tak. Z zastrzeżeniem, że zawodowość byłaby tylko drogą do celu, a nie celem samym w sobie. Gdybym mógł znaleźć w moim zespole trzydzieści osób stale do dyspozycji — to nie interesuje mnie, czy ci ludzie są muzycznie „gotowi”, czy mają solfeż i mają ustawione głosy, ponieważ w ciągu

dwóch lat mogę na nich zbudować taki program jaki mi się marzy. Ale na ogół rotacja jest tak olbrzymia, że program nie utrzyma się dłużej niż przez jeden sezon. W następnym roku trzeba powtarzać od nowa i nie można wprowadzać do repertuaru nowych pozycji w takim zakresie, w jakim by się chciało — tylko dlatego, żeby zespół mógł w ogóle egzystować jako koncertujący. Na moje ręce wpływa ogromna ilość zamówień na wykonawstwo muzyki chóralnej — od dyrekcji Filharmonii z całej Polski, od kierownictw różnych festiwali — niestety muszę odmawiać, bo nie nadążamy w czasie. Chciałbym w związku z tym móc stworzyć specjalny system szkolenia dla studentów Politechniki śpiewających w chórze. Skierowałem w tej sprawie wnioski do Szkoły Muzycznej II stopnia i Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego. Proponuję utworzenie przy wydziale wokalnemu sekcji wokalistyki chóralnej. Jeden z naszych dorocznych obozów szkoleniowych byłby poświęcony edukacji teoretycznej ze szczególnym uwzględnieniem nauki czytania nut głosem tak, aby w dziesięciu dniach zamknąć jeden semestr. Każdy z chórzystów ponadto raz w tygodniu miałby obowiązkowy kontakt z nauczycielem śpiewu. Przy takim systemie szkoleniowym możliwości naszego zespołu poszerzyłyby się dwukrotnie, a może więcej. Moje inne marzenia — to wspomniany Chór Radia i Telewizji w Szczecinie. Zespół mniejszy, a więc bardziej operatywny, o większych możliwościach technicznych. Przy istniejącej w ośrodku nowoczesnej aparaturze istnieją wspaniałe możliwości zapisu. Rysuje się wręcz możliwość eksperymentu wokalistycznego dla uzyskania nowej faktury brzmieniowej. Być może uda się nakłonić naszych najlepszych kompozytorów współczesnych do stworzenia nowych, wspaniałych dzieł chóralnych, które po zapisie na taśmie byłby w stanie zadziwić świat i rzucić go na kolana przed polską muzyką chóralną, tak jak ukorzył się przed wielkością polskiej współczesnej muzyki instrumentalnej. To wydaje mi się realne”.

Zastanawiamy się z Janem Szyroczkim, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby podjął studia w innym mieście o bogatych tradycjach muzycznych, naszym rynku wykonawczym i wyższej uczelni muzycznej. Trudno po latach odpowiedzieć na takie pytanie. Nie żałuje niczego ze swych szczecińskich doświadczeń. Ani studiów, ani pracy na Politechnice, ani orki na muzycznym ugorze, jakim był przed laty Szczecin. Jedyne, o co ma żal do losu to, że zbyt wiele czasu stracił na doświadczenie do miejsca, w jakim dziś się znajduje — powiedział to: wspaniałego dyrygenta o światowej renomie, dojrzałego artysty, jednego z najwybitniejszych znawców chóralistyki w Polsce. Chciałby mieć więcej czasu przed sobą. Tyle jest jeszcze do zrobienia!

ALINA GŁOWACKA



Na odwrocie:  
Jan Szyrocki i Chór Akademicki Politechniki Szczecińskiej. Fot. S. Pleśniarowicz.



ELŻBIETA TERLIKOWSKA — „Con motivo I” — olej, płótno.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski



ZBIGNIEW PALUSZAK — „Requiem” — olej, płótno.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski



KRZYSZTOF CANDER — „Pralnia IV” — *tempera, płótno.*

Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski

# STEFAN PASTUSZEWSKI

## W SŁOWNIKU MORZA

w słowniku morza nie ma słów  
są czucia  
do ręki przyłgnał chłodny zapis ryby  
ułamek stali nazywany okrętem  
świdruje w mózgu  
jak daleko płynie  
we włosach szumi muszla —  
słońce głębokości  
i wszystko wokół cichą oślepia białością  
chelbie jak palce trupa przylegają szczelnie  
do dna nogi  
do ręki  
do podeszwy brzucha  
na drugą stronę rzeczy myśli przeciągają  
woda jest jawą  
ziemia snem  
ja lotem  
tak płynąc morza przerzucam stronicę

## BIAŁY IKAR

fala zieloną dłonią otwiera horyzont  
na grzbiecie takiej dłoni przysiadł  
biały Ikar  
to żaglowiec  
myśl skrzydlata  
zaraz wzleci  
sypnie piaskiem w oko  
słońca  
od wschodu do zachodu  
do żaru rozkrwawi  
biało-czerwona  
pieśń nasza  
już za horyzontem  
spełnia nasze marzenia nigdy nie spełnione  
do końca

## PIERWSZY REJS

popłynęli za rękę mola  
minęli chorągiew wiatru  
przebyli to niepokojące urwisko horyzontu  
i strachu  
roztrzaskali białą boję słońca  
wrócili  
zamyśleni i cisi  
jakby już posiadli szaleństwo Ikara  
mówią że zawsze będą tam  
wracać

# INICJATYWY KULTURALNE SZCZECINA w latach 1956-1959\*

W latach 1956—1959 nastąpiły znaczące dla środowisk twórczych Szczecina przemiany uwarunkowane polityką kulturalną państwa, a co za tym idzie nowymi możliwościami działania władz terenowych i inicjatywami twórców. Proces ten zachodził równocześnie z dalszym intensywnym rozwojem potencjału gospodarczego i ludnościowego miasta i wzrostem jego znaczenia w kraju.

Już w 1954 r. zarówno szczecińskie środowisko twórcze jak i przedstawiciele władz terenowych dawali wyraz niezadowolonia ze stanu życia kulturalnego regionu zarówno w sensie organizacji jak i efektów działania.

Występowało dążenie do uwzględnienia nie tylko eksponowanych wcześniej działań w zakresie upowszechniania kultury w szerokich kręgach społeczeństwa lecz także potrzebę rozwoju twórczości. Podjęta została sprawa fachowego przygotowania kadry organizatorów życia kulturalnego, skuteczniejszego mecenatu, rozwoju bazy materialnej, stworzenia zaplecza humanistycznego.

Do 1956 r. tendencje do zmiany w sterowaniu życiem kulturalnym miasta dawały o sobie znać w dyskusjach środowisk twórczych częściowo na zebraniach aktywno partyjnego i rad narodowych, dyskusje te koresponowały z ogólnym klimatem „odwilży” nurtującej cały kraj, lecz nie uwewnętrzniały się instytucjonalnie. Po 1956 r. sytuacja uległa zmianie, nacisk poszczególnych środowisk na władze terenowe zaczął odnosić skutek.

## Teatr Propozycji

Poważną rolę w integrowaniu środowisk artystycznych, rozwijaniu ich kontaktów ze społeczeństwem oraz umożliwianiu twórcom działalności studyjnej i eksperymentalnej odegrał Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych „13 Muz”.

Jak wynika z informacji prasowych i zachowanych sprawozdań Klub ożywił swoją działalność od jesieni 1957 r.

Istotne znaczenie spełnił Klub w zakresie rozwoju kultury teatralnej, a szczególnie eksperymentu twórczego związanego z Teatrem Propozycji. Inicjatywa ta poparta programowo przez dyrekcję Państwowych Teatrów Dramatycznych i dotacją Prezydium MRN przetrwała się kilka miesięcy później w „Teatr Propozycji”. Ireneusz Gwidon Kamiński pisał w „Głosie Szczecińskim” na ten temat m. in. „...Teatry szczecińskie mają bardzo napięty budżet i przy ustalaniu planów repertuarowych liczyć się muszą z masowym odbiorcą, który pójdzie jak w dym na sztukę popularnego klasyka lub na komedię współczesną — ale niechętnie kupi bilet na przeintelektualizowany lub tzw. eksperymentalny dramat współczesny...”. Kamiński pisze dalej, że lukę w prezentacji dorobku dramaturgii współczesnej winien zapewnić powstający w Klubie „13 Muz” Teatr Propozycji. Udany eksperyment szczeciński spotkał się z uznaniem innych ośrodków kulturalnych. W 1959 r. Bogusław Kogut na łamach poznańskiego „Tygodnika Zachodniego” w artykule „13-ta muza ma głos” pisał „Ważny chociażby przykład z Klubu „13 Muz”, który w Szczecinie spełnia rolę jakiej w Poznaniu nie udało się pełnić żadnej placówce...”, a Jerzy Horodyński relacjonując swój pobyt w Szczecinie w „Życiu Literackim” pisał: „Teatry niczym specjalnym ostatnio pochwalić się nie mogą, ale za to utworzono Teatr Propozycji. Unikając kłopotów finansowo-budżetowych, urzędników, ZAIKS-u itp., co pewien czas zbierają się aktorzy i publiczność, aby poświęcić wieczór jakiemuś utworowi współczesnej — zagranicznej lub rodzimej dramaturgii (...). W Krakowie tymczasem zlikwidowano nawet warsztat dramaturgiczny, przeznaczony skromnie wyłącznie

dla miejscowych twórców. Czy nie warto wziąć przykładu ze Szczecina i powtórzyć tamtejszy eksperyment na naszym terenie...”

## Problemy wydawnicze

Upadek w 1949 r. pierwszej szczecińskiej oficyny wydawniczej „Polskie Pismo i Książka, a także „Tygodnika Wybrzeża” nurtował środowiska twórcze, których przedstawiciele na oficjalnych zebraniach, a także rozmowach prywatnych podnosili ten problem. W wyniku konsekwentnej działalności głównie środowiska literackiego w maju 1956 r. powołano do życia pismo społeczno-kulturalne, tygodnik „Ziemia i Morze”. Redakcja pisma przejęła koncepcję prezentowania czytelnikom przede wszystkim spraw społeczno-kulturalnych, ekonomicznych i politycznych Wybrzeża.

W odezwie do czytelników, zamieszczonej w pierwszym numerze z dn. 19 maja 1956 r. redakcja pisała „Od szesćciu lat Ziemia Pomorska, ogromny pas wybrzeża od Szczecina po Gdańsk, pozbawiona była pisma społeczno-kulturalnego, mogącego stanowić ważny czynnik w rozwoju humanistycznej myśli, pisma nie tylko rejestrującego, ale i kształtującego rozwój wszystkich dziedzin kultury. Wynika stąd wiele zaniedbań (...). Tygodnik nasz będzie usiłował pomóc w odrobieniu zaniedbań w tej dziedzinie. Chcemy mówić o dokonaniach twórców-pisarzy, plastyków, uczonych, muzyków, aktorów, architektów i konstruktorów. Chcemy z nimi dyskutować, pośredniczyć między ich dziełami a odbiorcą (...). Jednocześnie z całą stanowczością odzegnujemy się od zaścianowości. Chcemy uczestniczyć (...) w dyskusjach ogólnokrajowych, a ich wyniki przesyłać na nasz teren...”.

Pismo wychodziło tylko do lipca 1957 r. Ogółem wydano 58 numerów. W poźniejszym numerze z dn. 13 lipca 1957 roku redakcja informowała czytelników, że „Na polecenie Wydawcy tygodnik społeczno-kulturalny Wybrzeża „Ziemia i Morze” został zlikwidowany...”.

Jakie były przyczyny likwidacji pisma?

„Ziemia i Morze” wychodziło w granicach 5 tys. egzemplarzy. Feliks Jordan analizując problematykę prasy szczecińskiej dochodzi do wniosku, że pismo... o charakterze ściśle literackim nie zdobyło tu dostatecznej ilości czytelników — a właśnie — zdaniem Jordana — w kierunku pisma ściśle literackiego zmierzał tygodnik „Ziemia i Morze”. Pogląd ten nie w pełni opiera się na prawdzie. Omawiany tygodnik redagowany głównie przez literatów obejmował swym zasięgiem tematycznym szereg dziedzin życia społecznego tzn. kulturę, gospodarkę i politykę. Na łamach „Ziemi i Morza” toczyła się dyskusja na temat teatru, a także plastyki, muzyki, problemów nauki. Zajmowano się drażliwymi sprawami życia społecznego Pomorza, a także poruszano trudne ówczesne problemy polityczne zarówno krajowe jak i zagraniczne.

Przyczyn likwidacji tygodnika trzeba doszukiwać się nie tylko w wąskiej grupie odbiorców ambitnego pisma lecz również w wymowie społecznej publikowanych materiałów. Trzeba pamiętać, że w kraju po okresie „burzy i naporu” przełomu 1956/57 r. rozpoczął się proces stabilizacji życia politycznego. Charakter pisma nie koresponował z tym programem.

Likwidacja „Ziemi i Morza” w połowie 1957 r. oceniona jest przez badaczy kultury Pomorza Zachodniego zdecydowanie negatywnie. Stanowi przykład „wylania dziecka z kąpielą”. Środowiska twórcze Szczecina, a szczególnie literaci pozbawieni zostali na wiele lat tzn. do 1971 r. jednej z form konfrontowania swojej twórczości z czytelnikami.



Stałym postulatem szczecińskiego środowiska humanistycznego — obok akcentowania potrzeby powołania uniwersytetu — była działalność zmierzająca do utworzenia w Szczecinie (zlikwidowanej w 1949 r.) oficyny wydawniczej, której zadaniem byłoby wydawanie periodyku społeczno-kulturalnego oraz książek pisanych przez szczecińskich literatów i naukowców. We wnioskach z licznych w omawianych latach zebrań literatów i działaczy kultury akcentowano, że pod względem działalności wydawniczej Szczecin wyraźnie pozostawał w tyle za środowiskiem nie tylko gdańskim i wrocławskim ale nawet za Olsztynem (w 1958 r. powstało w tym mieście wydawnictwo „Pojezierze”), którego potencjał gospodarczy i demograficzny był kilkakrotnie mniejszy od szczecińskiego. Pomimo tej argumentacji, szczecińskiej oficyny wydawniczej nie powołano.

Po likwidacji tygodnika „Ziemia i Morze” obok dzienników „Głos Szczeciński” i „Kurier Szczeciński” oraz 14 pism zakładowych (kwartalniki, miesięczniki, dwumiesięczniki) jedynym szczecińskim piśmie o większych ambicjach intelektualnych był miesięcznik „Szczecin” powołany z inicjatywy środowiska historycznego, a głównie Henryka Lesińskiego.

## Powołanie ośrodka telewizyjnego

W omawianych latach narodził się w Szczecinie nowy nośnik masowego przekazu — ośrodek telewizyjny.

Już w 1955 r. powołano w Szczecinie Sekcję Telewizyjną Klubu Techniki i Racjonalizacji przy Zespole Radiostacji w Szczecinie. Sekcja ta stworzyła niezłe — jak na ówczesne czasy — warunki dla eksperymentów nad techniką odbiorczą, a później także studyjną. Członkowie tej sekcji wysuwali koncepcje uruchomienia w Szczecinie własnego ośrodka telewizyjnego w oparciu o nadajnik i inny sprzęt z ówczesnego warszawskiego doświadczalnego ośrodka telewizyjnego. W wyniku kilkumiesięcznych starań powołany został w czerwcu 1956 r. Społeczny Komitet Budowy Telewizji w Szczecinie.

Równocześnie do działań organizacyjnych i technicznych prowadzono adaptację pomieszczeń dla doświadczalnego ośrodka w gmachu przy ul. Tkackiej. W celu znalezienia tytułu prawnego na finansowanie działalności organizatorskiej ośrodka, powołano w styczniu 1957 r. Towarzystwo Miłośników Telewizji. Towarzystwo przejęło zadania oraz część aktywów byłego społecznego Komitetu Budowy Telewizji w Szczecinie. Działacze towarzystwa reprezentowali władze terenowe, rozgłośnie radiową, przedsiębiorstwa szczecińskie, środowiska naukowe. Prezesem był znany działacz kultury Zenon Zaniewiecki.

Towarzystwo opracowało projekt uruchomienia w 1958 roku ośrodka w oparciu o sprzęt wycofany z Łodzi. Władze centralne zaakceptowały ten projekt i dostarczyły sprzęt z Warszawy i Poznania dzięki czemu już w listopadzie 1957 r. rozpoczęto nadawanie programu filmowego w wymiarze 10 godzin tygodniowo. Program ten nadawany był staraniem i na koszt Towarzystwa Miłośników Telewizji, odbierało go 160 posiadaczy aparatów telewizyjnych w Szczecinie.

W marcu 1958 r. doszło jednak do zamknięcia szczecińskiego pionierskiego ośrodka telewizyjnego, gdyż część sprzętu musiała być zwrócona. W lipcu 1958 r. Zarząd TMT wobec stanowiska władz centralnych, że rozwój telewizji w Polsce winien opierać się o centralny ośrodek programowy i system linii przekazujących ten program do poszczególnych stacji nadawczych (nie lokalne studia telewizyjne) postanowił przyspieszyć maksymalnie budowę stacji nadawczej w Kołowie koło Szczecina. Postanowiono jednocześnie, że do czasu wybudowania ośrodka w Kołowie (przewidywano zakończenie inwestycji na 1963 r.) należy uruchomić tymczasowy ośrodek oparty o własne możliwości programowe. W styczniu 1959 r. Ministerstwo Łączności i Komitet d/s Radia i Telewizji zgodzili się na uruchomienie w Szczecinie ośrodka z własnym programem. Ośrodek uruchomiono w kwietniu 1960 r.

## Przemiany w środowisku literackim

W omawianym okresie nastąpiły zasadnicze przemiany w życiu środowiska literackiego. Krytyk Feliks Fornalczyk pisze, że w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych nieoficjalny nurt życia literackiego przygotował późniejszy rozwój tej dziedziny kultury.

Od 1956 r. wznowiono w Klubie „13 Muz” czwartki literackie, uwieńczono powodzeniem starania o pismo społeczno-polityczne, w którym drukowano m.in.: arkusze poetyckie R. Liskowackiego i J. Bursewicza, a także materiał szczecińskiej grupy poetyckiej „Metafora”.

W okresie od likwidacji „Ziemi i Morza” (1957 r.) do 1959 r. trwał proces kształtowania się nowego szczecińskiego środowiska literackiego w oparciu głównie o grupę młodych pisarzy, którzy w Szczecinie rozwinęli swój talent i dzięki inicjatywom wydawniczym Zarządu Oddziału uzyskali publikacje drukowane. Trzeba wspomnieć, że w październiku 1958 r. pod redakcją prezesa oddziału ZLP I. G. Kamińskiego ukazał się blisko 800-stronnicowy almanach „Szczecin literacki” wydany nakładem ZLP. Kamiński po latach tak ocenia działalność Zarządu Oddziału ZLP w omawianym okresie: „Dwa zadania uważałem za najważniejsze:

- 1) umożliwienie druku literatom, a młodym debiutem, od czego zależał rozwój środowiska. Ponieważ straciłszy „Ziemię i Morze” możliwe to było tylko w almanach (...);
- 2) publikacje książkowe, od których zależało przyjęcie młodych do ZLP...”. Program ten był realizowany.

## Środowisko plastyczne

Plastycy szczecińscy wzmocnieni w 1953 r. o grupę młodych artystów poszukiwali swego miejsca i własnego wyrazu artystycznego.

Przełomowa wystawa — Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki, odbyła się w warszawskim Arsenale w 1955 r., wystawiali następujący twórcy szczecińscy: Jerzy Brzozowski, Tadeusz Eysmont, Grażyna Harmacińska, Janina Kosińska, Jan Kostkowski, Janina Matysik, Irena Podborska-Żywicka, Janina Sychalska, Edmund Witkowski, Andrzej Żywicki.

Krytycy artystyczni twierdzą, że fakt zakwalifikowania się tak dużej liczby szczecińskich twórców stanowi pozytywną ocenę założeń warsztatowych i ideowych wystawiających artystów.

W 1958 r. poza wystawami okręgowymi po raz pierwszy oddzielnie prezentowali swój dorobek graficy i rysownicy, po raz pierwszy też 24 plastyków wystawiło swe prace plenerowe. Plonem wyjazdu do Bułgarii Pawła Bałakirewa i Guido Recka była wystawa w Szczecinie.

W 1957 r. odbyło się 8 wystaw członków okręgu w tym po raz pierwszy w Szczecinie Okręgowa Wystawa Aktu. W kwietniu tegoż roku występuje też po raz pierwszy z wystawą „Grupa Siedmiu” w składzie: Danuta Brzozowska, Jerzy Brzozowski, Tadeusz Eysmont, Izabela Naruszewicz, Henryk Naruszewicz, Marian Nyczka, Andrzej Żywicki.

W omawianych latach szczecińskie środowisko plastyczne wraz z tworzącymi jeden oddział artystami z Koszalina rozrosło się i w 1956 r. liczyło ono 61 członków (w tym 8 w Koszalinie), w 1957 r. liczyło 68 (w tym 10 w Koszalinie), a w 1959 r. — 90 (w tym 17 w Koszalinie).

Trzeba wspomnieć, że Zarząd ZPAP krytykował szczecińską Pracownię Sztuk Plastycznych za „zupełny brak sprężystości”, w załatwianiu pracy dla plastyków, o którą było trudno, gdyż nie było tak wiele jak w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych zamówień na prace w zakresie wizualnej propagandy politycznej, a konkurencja zakładów dekoratorskich, które powstały po 1956 r. dawała o sobie znać. Mimo tych mankamentów rola środowiska rosła. „Faktem jest, że w okresie ubiegłych dwu lat wzrósł autorytet naszego środowiska, jako środowiska twórczego. W życiu naszego miasta i województwa widać już obecnie wyraźny wpływ naszej plastyki. Zostało zrealizowanych według projektów naszych kolegów wiele ciekawych pod względem plastycznym wnętrz, pomniki, które stanęły na placach naszych miast są dziełem naszych rzeźbiarzy. W tym okresie zrodziła się nawet dziedzina plastyki — architektura wnętrz statków...” stwierdza sprawozdanie zarządu ZPSP.

Na rozwój środowiska, którego wielu przedstawicieli borykało się z ogromnymi trudnościami materialnymi i lokalowymi, ważny wpływ miał rozwijający się rynek pracy, związany z rozwojem ośrodka przemysłowego i turystycznego.

## Życie muzyczne

Życie muzyczne lat 1956—1959 charakteryzowało się tendencjami do rozbudowy potencjału zarówno w sensie

powołania nowych placówek jak i zwiększania obsady istniejących.

W 1955 i 1956 r. krytycy muzycy atakowali orkiestrę Filharmonii za błędy repertuarowe i nie wysoki kunszt artystyczny.

„Głos Szczeciński” w artykule o wymownym tytule „Koncerty dla... pustych krzesel w Szczecińskiej Filharmonii” przyczyną kryzysu widzi w złej pracy organizacji widowni oraz „braku w pracy artystycznej elementu twórczego, niezbędnego do stopniowego podnoszenia poziomu zespołu...”

Frekwencja na koncertach orkiestry filharmonii w 1956 r. spadła w stosunku do 1954 r. o 40 procent. Przyczyn obniżenia poziomu orkiestry dyrekcja filharmonii upatrywała w rozbiu orkiestry, jaka nastąpiła w związku z utworzeniem w 1957 r. Operetki. W tym czasie w orkiestrze występowało 82 muzyków, utworzono w 1957 r. chór filharmoniczny, nawiązano kontakt z orkiestrą „Volkstheater” w Rostocku.

Objęcie dyrekcji i kierownictwa artystycznego przez Józefa Wilkomirskiego (we wrześniu 1957 r.) — rozpoczęło okres odbudowy poziomu artystycznego orkiestry. Orkiestra dawała od 1958 r. rocznie 460 koncertów, w tym 90 symfonicznych dla około 180 tys. słuchaczy. W miesiącach letnich orkiestra filharmonii występowała w Swinoujściu i Międzyzdrojach — dając tam w sezonie około 60 koncertów.

Prasa szczecińska od 1957 r. zamieszczała przychylną opinię o pracy czołowej instytucji muzycznej. W centralnym piśmie muzycznym „Ruch Muzyczny” w 1960 r. stwierdzono, że szczecińskiej orkiestrze zdarzały się koncerty lepsze lub gorsze lecz nie było koncertu zdecydowanie złego.

W atmosferze decentralizacji, rozwoju terenowych inicjatyw kulturalnych w 1957 r. powołano Operetkę Szczecińską.

Powołanie operetki podobnie jak w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych — Filharmonii Szczecińskiej poprzedziło powołanie stowarzyszenia społeczno-kulturalnego.

Intencją szczecińskich działaczy kultury muzycznej i władz było stworzenie faktów dokonanych, które resort kultury musi w przyszłości zaakceptować. Na początku działalności założono, że operetka będzie utrzymywała się z dochodów za sprzedane bilety wstępu przy wsparciu dotacji ze strony władz wojewódzkich, w wysokości 500 000 zł rocznie. Władze miejskie zadeklarowały salę widowiskową Zarządu Budynków Mieszkalnych.

Założono, że oparciem kadrowym operetki będą istniejące w Szczecinie instytucje artystyczne, a przede wszystkim muzyka filharmonii.

W październiku 1956 r. powołano Towarzystwo Miłośników Teatru Muzycznego, liczba członków założycieli wynosiła 57 osób. Członkowie towarzystwa reprezentowali szczecińskie związki twórcze, instytucje artystyczne, placówki upowszechniania kultury, prasę i radio, a także Operetkę Gliwicką. Patronat Operetki Gliwickiej nad powstającą placówką wynikał z osobistych kontaktów z tą instytucją, organizatora szczecińskiej operetki Jacka Nieżychońskiego.

Premierowe przedstawienie operetki odbyło się 25 stycznia 1957 r., wystawiono „Kraję Uśmiechu” F. Lehara, przy udziale 4 solistów z Gliwic. Podjęto starania o uzyskanie własnego lokalu — salę udostępniła na zasadzie dzierżawy Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej, pieniądze na remont przyznało Prezydium WRN i SFOS.

Zespół Operetki Szczecińskiej rozpoczął działalność objazdową wystawiając „Kraję Uśmiechu” w Słupsku, Wrocławiu i Gdańsku. Rozważano nawiązanie współpracy z operetką gdańską, która działała na podobnych zasadach jak instytucja szczecińska. Chodziło o wymianę solistów i kostiumów oraz wspólne kierownictwo artystyczne. Zamiar ten nie został jednak zrealizowany na skutek braku poparcia inicjatywy ze strony władz szczecińskich i gdańskich.

W lipcu 1957 r. zarząd TMTM został poinformowany, że Ministerstwo Kultury i Sztuki zainteresowane jest upaństwowieniem Operetki Szczecińskiej. Uchwalono wystąpić — poprzez PWRN — do kierownictwa resortu o upaństwowienie instytucji od 1.01.1958 r. Wniosek taki został wysłany, lecz Ministerstwo nie podjęło ostatecznej decyzji i w 1958 r. operetka kontynuowała działalność jako placówka TMTM. Kilkuśetysięczny deficyt za 1957 r. został uregulowany przez PWRN. Na mocy poro-

zumienia Prezydium WRN z Ministerstwem Kultury i Sztuki z maja 1958 r. operetka uzyskała status instytucji państwowej.

## Teatry i Estrada

Szczecińskie Teatry Dramatyczne w omawianych latach stanęły wobec konieczności przewartościowania artystycznych i organizacyjnych. W 1958 r. w ramach decentralizacji teatry szczecińskie przejęło w administrację PWRN.

Poważną sprawą było sprostanie zmodyfikowanym zasadom finansowania teatrów. Konieczność wprowadzenia odpowiedniego zysku eksponowała rolę frekwencji.

W omawianym okresie nawiązane zostały kontakty zagraniczne szczecińskich teatrów. Na początku 1958 r. nawiązana została współpraca Państwowych Teatrów Dramatycznych z Teatrem Ludowym w Rostocku w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Teatr w Rostocku w 1958 i 1959 r. wystawił w Szczecinie 6 sztuk, a teatr szczeciński w tym okresie 5 sztuk. Miała też miejsce wymiana reżyserów.

O ile w życiu szczecińskich teatrów dramatycznych i filharmonii nie nastąpiły w omawianych latach istotne przemiany o tyle teatr lalkowy „Pleciuga” działający od 1953 r. jako zarejestrowane kulturalne towarzystwo w 1958 r. doczekał się upaństwowienia (na podstawie decyzji Ministerstwa Kultury i Sztuki z dnia 5.II.1958 r.). Po upaństwowieniu w teatrze pracowało w 1958 r. 23 pełnozatrudnionych pracowników (w tym 18 działalności podstawowej). Planowano 400 przedstawień w tym 350 w Szczecinie, w salce o 150 miejscach. Podjęte zostały starania o przydzielenie teatrowi nowej siedziby.

Wzrastające stopniowo zapotrzebowanie na rozrywkę oraz rosnąca popularność tzw. gwiazd estradowych, uzewnętrzniające się zwłaszcza wśród młodzieży zainteresowanie nowoczesną rozrywką opartą na wzorach zachodnich, spowodowało konieczność podjęcia działań o charakterze organizacyjnym i instytucjonalnym. W wyniku tych działań z dniem 1 stycznia 1955 r. uległa likwidacji Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „Artos”. Jej funkcje w zakresie upowszechniania muzyki poważnej przejęła filharmonia, a zadania estradowe nowo powołane Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych. Przedsiębiorstwo to podlegało do 1957 r. Centralnemu Zarządowi Imprez Artystycznych przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, a następnie PWRN w Szczecinie. PPIE upowszechniało imprezy estradowe w oparciu o własne zespoły oraz na podstawie kontraktu z zespołami i solistami z innych ośrodków.

Na podstawie przedstawionego materiału można stwierdzić, że w latach 1956—1959 nastąpiły ważne przemiany w życiu środowisk twórczych Szczecina. Przemiany te uwarunkowane były nową polityką kulturalną, wszechstronnym rozwojem miasta, wzrostem aktywności społeczeństwa oraz wzrostem kompetencji czynników lokalnych, a więc władz wojewódzkich i miejskich, organizacji społecznych oraz żywą działalnością poszczególnych środowisk i jednostek twórczych.

Wielkie nadzieje związane z decentralizacją uprawnień władz terenowych niewiele pomogły Państwowemu Teatrom Dramatycznym i Filharmonii Szczecińskiej, które wcześniej posiadały status instytucji państwowych. Nie spełniły się określone przez środowisko kulturalne postulaty o budowie nowej bazy lokalowej dla tych instytucji (pochopnie zburzono w latach 1951—1961 nadający się jeszcze do odbudowy gmach przedwojennej sali koncertowej). Większe uprawnienia władz terenowych umożliwiły dofinansowanie wybranych inicjatyw wydawniczych, studyjnego teatru klubu związków twórczych, polepszenie warunków socjalnych artystów.

Po okresie fermentu programowego i organizacyjnego lat 1956—1957 tylko w sferze postulatów pozostały sprawy stworzenia fundamentu rozwoju środowiska humanistycznego, czyli powołanie uniwersytetu i uczelni artystycznej oraz oficyny wydawniczej, nie rozpoczęto żadnej poważnej inwestycji kulturalnej poza pierwszym etapem odbudowy Zamku Szczecińskiego.

\* Kontynuacja cyklu materiałów o formowaniu się środowisk twórczych Szczecina w latach 1945—1959.

Każdy, kto pragnie złożyć relację z pobytu w Paryżu, podejmuje ryzyko otarcia się o banał i wyważania dawno otwartych drzwi. Banałem jest bowiem zarówno stwierdzenie, iż nadsekwańska metropolia oszłamia i zaurocza, jak i banałem jest konstatacja, że miasto, w którym stoi najlepszy pomnik Adama Mickiewicza, po prostu rozczarowuje. Nie ja pierwszy i nie ostatni doświadczyłem na własnej skórze prawdy, że my Polacy, (zapewne dotyczy to nie tylko naszej nacji) zbyt wiele wiemy o Paryżu i jadąc tam wieziemy w sercu wyidealizowany obraz „artystycznej stolicy świata”. Hegemonia kultury francuskiej spowodowała, że od ponad dwóch stuleci mamy w Polsce potężny kompleks Francji. Niesłusznie. Dużym zaskoczeniem były dla mnie słowa pracownicy Biblioteki Polskiej, która oprowadzając po Muzeum Adama Mickiewicza powiedziała, że nienawidził on Francuzów. Myślę, że tylko jednym z powodów tej animozji było usunięcie go z Collège de France. Jednakże, aby móc cokolwiek powiedzieć o jakimś narodzie, trzeba zjeść przysłowiową „beczkę soli”. W dzisiejszym Paryżu turysta niewiele ma okazji do spotkań z Francuzami. Oni sami powiadają, że Francja zaczyna się poza Paryżem. Różnokolorowy tłum spotykany na ulicach, w magazynach, metrze i autobusach łączy w większości wypadków jedynie konieczność posługiwania się językiem francuskim oraz wspólne problemy ekonomiczno-socjalne.

Jadąc w maju anno domini 1980 do Paryża założyłem sobie program minimum. Postanowiłem spędzić miesiąc na wystawach sztuki współczesnej. W praktyce okazało się, że wcale nie był to program minimum. Miesiąc to czas pozornie długi. Któryś z pisarzy kilkadziesiąt lat temu porównał Paryż do oceanu. Nie wiem, jakim dziś musiałby posłużyć się porównaniem?

Przypadek zrzucił, że pierwszy dzień pobytu w Paryżu spędziłem w osławionym Centrum Pompidou zwanym też Beaubourgiem. Niestety spóźniłem się o kilka dni. Po wielkiej retrospektywie Salvadora Dali pozostały już tylko wspomnienia i dziesiątki różnego typu wydawnictw, poczynając od jednofrankowych, tanich periodyków wydawanych co tydzień przez Centrum, a kończąc na kilkusetfrankowych luksusowych albumach. Ciepło robiło się na sercu polskiemu turyście, gdy natykał się zaraz po wejściu do owej „rafinerii” na dużą wystawę plakatów i projektów scenograficznych do filmów animowanych naszego roda-

## W LABIRYNCIE PARYSKICH GALERII

ka Jana Lenicy. Na tej samej kondygnacji eksponowana była wystawa „Accrochage IV” złożona z dzieł około 50 artystów z całego świata, na której odnalazłem prace rumuńskiego malarza Horii Bernea. Pamiętałem go z udziału w szczecińskiej Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w 1979 r. Wjeżdżając na III i IV kondygnację (windą lub ruchomymi schodami znajdującymi się w oszklonych tunelach zawieszonych na zewnątrz budynku) można było wejść do Muzeum Narodowego Sztuki Nowoczesnej lub tylko ograniczyć się do obejrzenia panoramy miasta z górnego tarasu widokowego, albo kupić sobie coś do jedzenia w barze szybkiej obsługi. Patrząc na dół widziało się na ogromnej płycie placu przed Beaubourgiem mrowiący się tłum skupiony wokół różnych grup artystów, których nazwać można jarmarcznymi (połykacze ognia, żonglerzy, linoskoczkowie, akrobaci, muzycy, sztukmistrze, mimowie itp.). Skoro mowa o polonicach warto wspomnieć o trwającym w maju atelier Witolda Lutosławskiego. Centrum Pompidou zostało już wielokrotnie opisane w polskiej prasie z okazji jego otwarcia w 1977 roku i nie chciałbym powtarzać rewelacji o systemie funkcjonowania tej wielkiej maszyny służącej upowszechnianiu sztuki. O tym, że jest to system trafiający w samo sedno zapotrzebowań współczesnego odbiorcy, świadczą nieprzeliczone tłumy ciągnące codziennie do Beaubourgu.

Centrum Pompidou jest jednym z kilku wielkich muzeów albo inaczej

mówiąc ośrodków propagandy sztuki w Paryżu. Nie jest ono obciążane celami komercyjnymi. Artyści dopuszczani do muzeów, rzec można, stanowią elitę artystyczną. A co mają robić tysiące artystów, którzy pragną wystawić swe prace i je sprzedawać? Temu celowi służą dziesiątki prywatnych galerii rozsianych po całym mieście. Właścicielowi galerii wystarczy zapłacić odpowiednią sumę, aby móc potem sobie wpisać do noty biograficznej doniosły fakt wystawiania w Paryżu. Bywają też artyści, związani z marszandami stałymi umowami, dla których zobowiązani są systematycznie dostarczać nowe prace. Właściciele galerii także poszukują na własną rękę nowych nazwisk. Podejmują ryzyko handlowe, wierząc, iż odkryją nowego Van Gogha. Po olśnieniu Picassem, Légerem, Kandinskim, Malewiczem i futurystami, nie mówiąc o sztuce najnowszej, w Beaubourgu dostałem „zimny prysznic”, odwiedzając następnie Grand Palais zwabiony reklamą „Salonu 80” zorganizowanego przez Stowarzyszenie Artystów Francuskich. Bilet kosztował tyle, co do Beaubourgu, natomiast ciągnąca się kilometrami bardzo niechlujnie wyeksponowana wystawa jako żywo przypominała nasze prezentacje plastyki amatorskiej. Takiej ilości amatorszczyzny, tandety i złego smaku jeszcze nigdy nie widziałem. To można tylko zobaczyć w Paryżu! Z uczuciem tym opuszczałem „światową stolicę sztuki” po obejrzeniu kilkudziesięciu galerii prywatnych. Symbolem tandety plastycznej jest Montmartre, a ściślej osławiony plac du Tertre, na którym od rana do wieczora koczują przy sztalugach „artyści” malujący w obecności turystów pejzaże z motywem bazyliki Sacré-Coeur czy Moulin Rouge. Każdy z nich jest w stanie również wykonać na oczekaniu portret klienta. Chętnych nie brakuje. Przypomina to trochę warszawską Starówkę, gdzie w ostatnich latach rozplenili się sprzedawcy masowo produkowanych landszaftów. Montmartre jest także siedzibą galerii prywatnych, które specjalizują się również w sprzedawaniu obrazów czy grafik inspirowanych urodą Paryża z okresu fine de siècle'u. Kto pragnie poznać nie podrabiany koloryt kabaretów, życie ulic i kawiarni Montmartre'u, powinien odwiedzić niewielkie muzeum poświęcone historii tej dzielnicy. W inny świat sztuki przenoszą nas galerie zlokalizowane po lewej stronie Sekwany w Dzielnicy Łacińskiej oraz w okolicach Saint-Germain-des-Près. Nie docierają tutaj turyści autokarami objeżdżający miasto. Miałem sporo czasu, aby wędrować od

galerii do galerii, albowiem czekałem na zakończenie strajku pracowników muzeów państwowych z Luwrem na czele. Widziałem wycieczki z różnych kontynentów, spragnione widoku Mony Lizy, które zmuszone były „pocałować klamkę”. Ten sam zawód spotykał miłośników impresjonizmu. Galeria w Jeu de Pomme także była zamknięta. Po dwóch tygodniach udało mi się przekroczyć tak długo niedostępne progi. Czynne natomiast były muzea miejskie. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej (w którym kilka miesięcy wcześniej prezentowana była — ponoć z wielkim sukcesem — duża wystawa polskiej rzeźby współczesnej) obok stałych zbiorów, m.in. kubistów, eksponowane były dwie wystawy czasowe o charakterze bardziej „awangardowym”. Plastyk grecko-włoski Janmes Kounellis zaaranżował łukowato wygiętą salę przy pomocy bez przerwy palących się butli z gazem oraz różnych przedmiotów typu: żelazne łóżka, wypchane ptaki, worki z kaszą lub węglem. Environment Kounellisa miało być w podtekście protestem przeciwko przerostom cywilizacji technicznej zagrażającej człowiekowi. Z kolei holenderski plastyk-fotografik Jan Dibbets opisał świat przy pomocy fotograficznej rejestracji fragmentów krajobrazu.

Na poły conceptualistyczne postawy twórcze prezentowały także galerie przy rue de Seine i Bonaparte po lewej stronie rzeki. W okolicach Pól Elizejskich — przy avenue Matignon, faubourg Saint Honore czy rue Royal — zlokalizowane są najbardziej ekskluzywne galerie, sprzedające obrazy artystów o sprawdzonej pozycji i niezrządkiem głośnych czy wręcz legendarnych nazwiskach. Adresatami propozycji tych galerii są ludzie z dużymi pieniędzmi, szukający dobrej lokaty kapitału. Dla nich przeznaczone są liczne kolekcje malarstwa akademickiego z ubiegłego wieku. Tutaj można zobaczyć obrazy wielu drugorzędnych malarzy, których prace nie rzadko są wydobywane z zakamarków muzealnych magazynów.

Przy avenue Matignon mieści się „Artcurial” — centrum plastyki współczesnej powołane do życia przed Beau-



bourgiem. Prowadzona jest tam sprzedaż dzieł sztuki oraz znajduje się doskonale zaopatrzona księgarnia, do której nie powinni zaglądać krytycy nie mający zbyt wiele pieniędzy. Organizowane są też wystawy okresowe. Właśnie tam zobaczyłem ogromną wystawę Man Ray'a oraz pokaz najnowszych grafik Andy Warhola. W niedalekim sąsiedztwie sprzedawane są postimpresjonistyczne pejzaże oraz podrabiane malarstwo prymitywistów.

Krążąc przez miesiąc wśród paryskich muzeów i galerii szukałem odpowiedzi na pytanie: co się „nosi” w Paryżu? Gdybym odpowiedzi na to pytanie szukał w salonach mody u Diora czy Cardina byłbym może bardziej usatysfakcjonowany. Chociaż trudno powiedzieć, aby i w tej dziedzinie ulica paryska specjalnie zaskakiwała. Polki są bardziej au courant. W sztuce nie obserwuje się obecnie sytuacji, aby dominowała jakakolwiek tendencja. Mówić można o pluralizmie kierunków. Nie oznacza to, że oglądając wystawy doświadczają się wrażenia chaosu. Wręcz przeciwnie. Marszandzi (zwłaszcza oni) oraz animatorzy dużych wystaw plastycznych dążą jakby do przywrócenia ładu na polu sztuki. W interesie właścicieli galerii leży, aby widz odniósł wrażenie stabilizacji w sztuce. Jest to bardzo ważne w okresie, gdy mówi

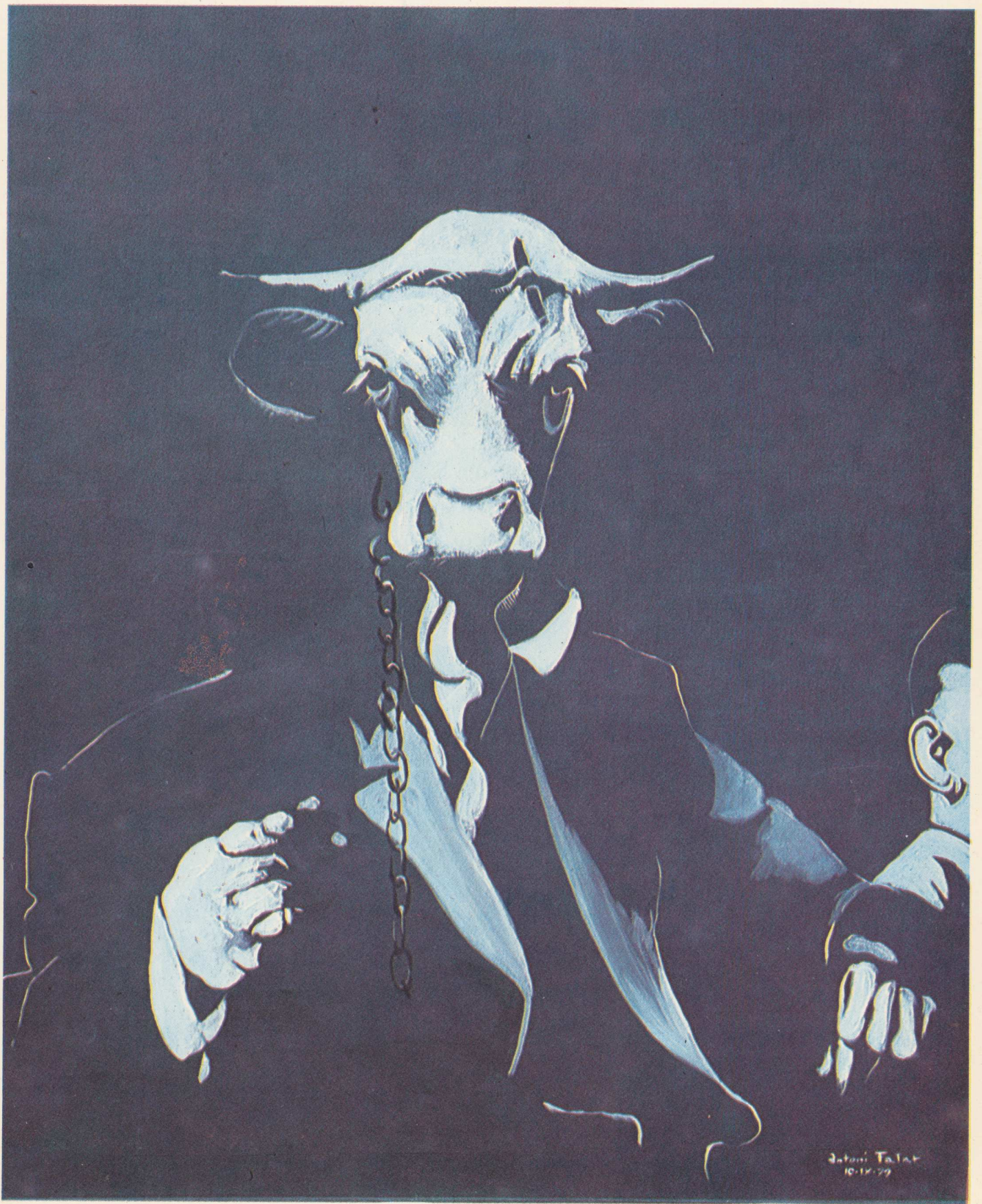
się o rozchwianiu kryteriów artystycznych. A w handlu sztuką jednoznaczność kryteriów jest bardzo ważna. Może dlatego właśnie paryskie wystawy w swej ogromnej masie zaskakują ogromnym tradycjonalizmem postaw twórczych. Wróciłem z Paryża z przekonaniem o niedocenianiu polskiej plastyki. Obecnie np. robi tam ogromną karierę niejaka pani Leonor Fini, której kokieterijnie diaboliczne rysunki są niesłychanie blade i anemiczne w porównaniu chociażby z drapieżnymi rysunkami Franciszka Starowieyskiego.

Tu i ówdzie napotykałem się na polskie nazwiska. W „Artcurial” za duże pieniądze są sprzedawane rzeźby Igora Mitoraja — absolwenta krakowskiej ASP. Jego nazwisko w kraju jest zupełnie nieznane. Na wyspie Św. Ludwika obejrzałem rysunki Marzeny Kawalerowicz. Nie wspominam tu o działalności Instytutu Polskiego, który organizuje wystawy polskich artystów. Gdyby jeszcze wzbogacono tę placówkę funduszami na reklamę. W Paryżu bez reklamy daleko się nie ujedzie. Może dlatego właśnie tak mało widzi się ambitnych wystaw. Ich autorzy nie mają pieniędzy. Zielone światło jest dla sztuki, którą można łatwo sprzedać.

Na koniec chciałbym powiedzieć o wystawie, która mnie najbardziej zaskoczyła. W ośrodku amerykańskim przy bulwarze Raspail obejrzałem ekspozycję młodego malarstwa USA. W większości galerii paryskich oglądałem sztukę o charakterze figuratywnym. Aż się mdło robiło od dziesiątków naśladowców Salvadora Dali oraz pseudo-impresjonistów. Tymczasem amerykańscy malarze pokazali abstrakcję „gorącą” tworzoną w sposób dynamiczny, spontanicznie, z szerokim gestem. Wyczuwało się w tych obrazach radość malowania, jaka towarzyszyła ich powstawaniu.

Może właśnie to się będzie wkrótce „nosiło”?

**JERZY JURCZYK**



ANTONI FAŁAT — „Ciemnogród” — akryl, płótno.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego. Fot. W. Termanowski



ZBIGNIEW MAREK MACIEJEWSKI — „Egzorcyzm” — temp., akryl, płótno.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski

Kiedy usłyszałem to pytanie blisko pół tysiąca kilometrów od stolicy w małej sali klubu „Ruchu”, gdzie dym papierosów grył w oczy, a w uszy wdzierало się smętne porykiwanie krów z niedalekiej obory, nie potrafiłem ukryć zdumienia. Dlaczego fakt czy wybitny polski reżyser jest uznawany za pisarza czy nie, wywołuje takie zainteresowanie na prowincji?

Z doświadczenia wiem, że spotkania autorskie z czytelnikami są okazją do najróżniejszych pytań. Był czas, że na tych, którzy stawali naprzeciwko słuchaczy, patrzono jak na przyszłych wieszczów, oczekiwano od nich ustosunkowania się do wielkich problemów narodowych. Do przeszłości przeszedł też okres, gdy pisarza traktowano jak kogoś z kręgu wtajemniczonych, kto potrafiłby odpowiadać na pytania dotyczące gospodarki, polityki. Dziś dyskusje przed kamerą czy mikrofonem okazały się formami atrakcyjniejszymi. W pewnym okresie między pisarzem a aktorem postawiono znak równości, żądano od niego dostarczenia rozrywki, wypytywano o życie prywatne, upodobania, milczeniem pomijając to, co pisarz stworzył. Telewizyjne audycje typu „XYZ” osłabiły zaciekawienie plotką, a rozrywki nawet w terenie jest dziś pod dostatkiem.

Spotkania autorskie w klubach, świetlicach, bibliotekach, szkołach znalazły się na cenzurowanym. Prasa literacka biła na alarm, że imprezy te przeżywają się, stanowią ukrytą zapomogę dla źle wynagradzanego za swą pracę twórcy. Zastanawiano się nad modelem tej imprezy, ale — jak to często bywa w kulturze — dyskutanci nie doszli do porozumienia. Nie mniej spotkaniom nie wrócono przyszłości, a mówiący te słowa najprawdopodobniej nigdy by do tego problemu nie wrócił, gdyby nie pytanie o Zanussiego.

Miałem prawo przypuszczać, że pytająca osoba doskonale wiedziała, że Krzysztof Zanussi jest członkiem Związku Literatów Polskich i tylko oczekuje na moje potwierdzenie, by w oczach bliskich zyskać opinię człowieka dobrze poinformowanego. Ale motywy mogły być także inne. Ten ktoś mógł mieć wątpliwości czy Zanussi słusznie został uznany za pisarza. Czy autor kilku scenariuszy, a więc materiałów nie istniejących samodzielnie, stojących na pograniczu literatury, jest kolegą po piórze Różewicza, Auderskiej, Putramenta, Iwaszkiewicza. Ten ktoś, kto pytał o Zanussiego, mógł zostać wychowany przez swego nauczyciela języka polskiego w szacunku do twórców form skończonych, do autorów wypowiedzi pełnych różnych znaczeń. Dla kogoś takiego literatura mieści się w podstawowych rodzajach i gatunkach, a pisarz to ten, który te gatunki uprawia.

Tymczasem rzeczywistość jest inna. Z blisko 1300 członków Związku Literatów Polskich tylko część posługuje się starymi sprawdzonymi gatunkami literatury pięknej, inni poszukują form nowych, podejmują się różnych literackich zadań, które często nie mieszczą się w tradycyjnym pojęciu zajęć pisarskich, wydają się kłócić z postawą pisarza, w czytelniku dzieł klasyków literatury polskiej i obcej mącą obraz piśmiennictwa pięknego. Wojciech Młynarski wypowiada się w piosence, Stanisław Hebanowski prowadzi jeden z ciekawszych teatrów w kraju, w którym wystawiono sporo sztuk zagranicznych w jego tłumaczeniu, Ryszard Wojna do niedawna powszechnie był uważany za publicystę.

W ubiegłym roku Kraków zorganizował konkurs na scenariusz filmu telewizyjnego. Organizatorzy oczekiwali materiału na dobre filmy o współczesności. Chcąc mieć pewność powodzenia imprezy, zaproponowano czołowym

JAN MAREK

## CZY KRZYSZTOF ZANUSSI JEST PISARZEM?

literatom vadia. Na konkurs wpłynęło kilkaset tekstów, ale nagrodzono prace nie literatów, lecz dziennikrzy.

A więc chwała dziennikarzom, którzy lepiej opanowali warsztat scenarzysty? Nie, chyba nie to zadecydowało o sukcesie przedstawicieli środowiska dziennikarskiego. Już nieraz okazało się, że najciekawszą literaturę pisze życie. Często tak zwane dzieła *życia* o wielkich ambicjach literackich więcej dostarczały dowodów na przysłowiową cierpliwość papieru niż mówiły o talencie twórcy, jego wnikliwej obserwacji życia. Oryginalność dzieł zawsze łączyła się z wejściem pisarza na obszary poznania pomijane przez innych pisarzy. Świeżość tematu zmuszała do szukania nowych form.

Dziennikarski materiał często ma inne motywacje powstania niż literacki. Z założenia pełni on większą rolę usługową, informacyjną, rodzi się pod naporem czasu, co niejednokrotnie może tłumaczyć jego niedoskonałość. Ale właśnie m. in. na skutek dziennikarskich motywacji powstało jedno z wybitniejszych dzieł literatury światowej „Ulisses” Joyce’a. Tolstoj czy Dostojewski, Prus czy Żeromski byli w swych książkach autorami wnikliwych informacji o społeczeństwach i wydarzeniach swych epok.

Osobliwością polskiej literatury było nauczanie, podnoszenie na duchu, pocieszanie, zachęcanie do walki. Lata niewoli, szczególnie ostra cenzura zaborców zmuszała pisarzy do operowania aluzją, kostiumem historycznym, alegorią, parabolą. Choć czasy się zmieniły, stare przyzwyczajenia pozostały. Zamiast empiryzmu w literaturze polskiej dominował aprioryzm, zamiast obserwowania — moralizowanie. Empiryzm, opisywanie, pozostawiono dziennikarzom.

Dziennikarze weszli więc na obszary na ogół wzgardzone przez pisarzy, sięgnęli po tematy nieucukrzone, świeże. W każdym z gatunków publicystycznych jest jakaś cząstka prawdy o naszej rzeczywistości, dokumentacja ludzkich poczynań. Bez nich nasze wyobrażenie o teraźniejszości byłoby niepełne.

Dziś minęły czasy, gdy formy dziennikarskie żyły w cieniu wielkiej literatury. Weszły one obecnie na strony uprzywilejowane, tłumią literaturę, nawet w pismach literackich, spychają ją na dalszy plan.

Nawet nie spostrzeżliśmy się jak przed określeniem gatunku publicystycznego zaczęto dodawać epitet „literacki”, na przykład reportaży literacki. W ten sposób dziennikarze określili swe ambicje artystyczne i poczęli zacierać granice między dziennikarstwem a literaturą, granicę, która w naszych czasach okazała się sztuczną.

Na szczęście do otwartego konfliktu między dziennikarzami a pisarzami nie doszło. Na szczęście, bo byłby to jeden z bezsensowniejszych konfliktów. Żyjąc z dala od siebie, nie wymieniając poglądów ani na temat treści, ani formy jedni i drudzy na miarę swych talentów pieczołowicie tworzą obraz współczesności w sztuce literackiej i dziennikarskiej. Trzeba jednak przyznać, że obecnie współczesność ta bardziej jest eksponowana przez publicystów, reportażyстів niż przez pisarzy, literatów. Na półkach księgarskich łatwiej można znaleźć tom reportaży o współczesnej wsi, budowie zakładu pracy, zboczeniach z Nowego Dworu niż tom prozy z bohaterem, którego spotykamy w tych sytuacjach, w jakich sami codziennie się znajdujemy.

Dlaczego tak się dzieje?

Wąskie specjalizacje pisarskie, uporczywe trzymanie się własnego podwórka, silne przekonanie, że należy się wypowiadać w jednej formie — rozleniwia twórców, powoduje zubożenie literatury.

W Szczecinie tworzy zaledwie dwudziestu pisarzy. Przeważają prozaicy wypowiadający się w powieściach i opowiadaniach, ale coraz więcej jest tych, którzy czują potrzebę odwołania się do innych, dotąd mało uprawianych gatunków. Wiesław Andrzejewski, Czesław Czerniawski, Ryszard Dżaman, Bronisław Słomka — w reportażu; Zdzisław Krupa, Bronisław Słomka, Joanna Kulmowa, Ryszard Liskowacki, Jacek Sawaszkiewicz — w słuchowisku. Katarzyna Suchodolska, Britta Wuttke są tłumaczkami. Ireneusz Krzysztof Szmidt pisze scenariusze teatralne, a Janusz Krzymiński — filmowe.

O tym, że szczecińscy pisarze świadomie szukają możliwości uczestniczenia w artystycznym zapisie współczesnych wydarzeń dowodzi niemalże ich dziennikarska pogoń za faktami. Tylko fakty potrafią przekształcić życie w literaturę, stąd zbieranie ich na różnych szerokościach geograficznych, w różnych miejscach działalności człowieka.

Ireneusz Gwidon Kamiński dotarł do Wietnamu, skąd wrócił z reportażami, Jerzy Pachlowski — do Mongolii, Afryki Zachodniej i Południowej, co nie pozostało bez wpływu na jego wyobrażenie o funkcji kultury, roli języka; Ryszard Dżaman, Czesław Czerniawski poznali pracę rybaków dalekomorskich na odległych łowiskach, Wiesław Andrzejewski, Andrzej Daszkowski potrafią snuć opowieści z wielu afrykańskich, azjatyckich, amerykańskich portów, ba, nawet Zdzisław Krupa, dotąd ziemi przypisany, łyknął nieco morza, poznał obszary dość dalekie od jego Rzeszowszczyzny i ziemi szczecińskiej. Stanisław Wit Wiliński, przez niektórych krytyków uważany za pisarza jednego tematu — wiejskiego — przez dłuższy czas poznawał pracę Zakładów Chemicznych w Policach, o czym czytelników poinformuje w powieści mającej wyjść w tym roku z oficyny poznańskiej, natomiast z jej fragmentem można się zapoznać już wkrótce sięgając po almanach „Morze i Ziemia”. Adolf Momoł, wierny wsi, poznał pracę w kombinacie rolnym, czego dał wyraz w powieści zasługującej na szczególną uwagę „Sędzia główny”.

Szczecin nie jest wielkim ośrodkiem kulturalnym, który mógłby rywalizować z takimi miastami, jak Kraków, Wrocław, Łódź czy Poznań. Stąd chyba większe w nim wykorzystanie potencjału twórczego, mniej wyraźne granice między poszczególnymi dziedzinami twórczości niż gdzie indziej. I kto wie, czy gdyby w Szczecinie takie instytucje kulturalne jak teatr, radio, telewizja, estrada stawały pod adresem pisarzy konkretne wymogi, wkrótce na którymś ze spotkań autorskich nie usłyszeliśmy pytania: czy Jerzy Pachlowski jest pisarzem?

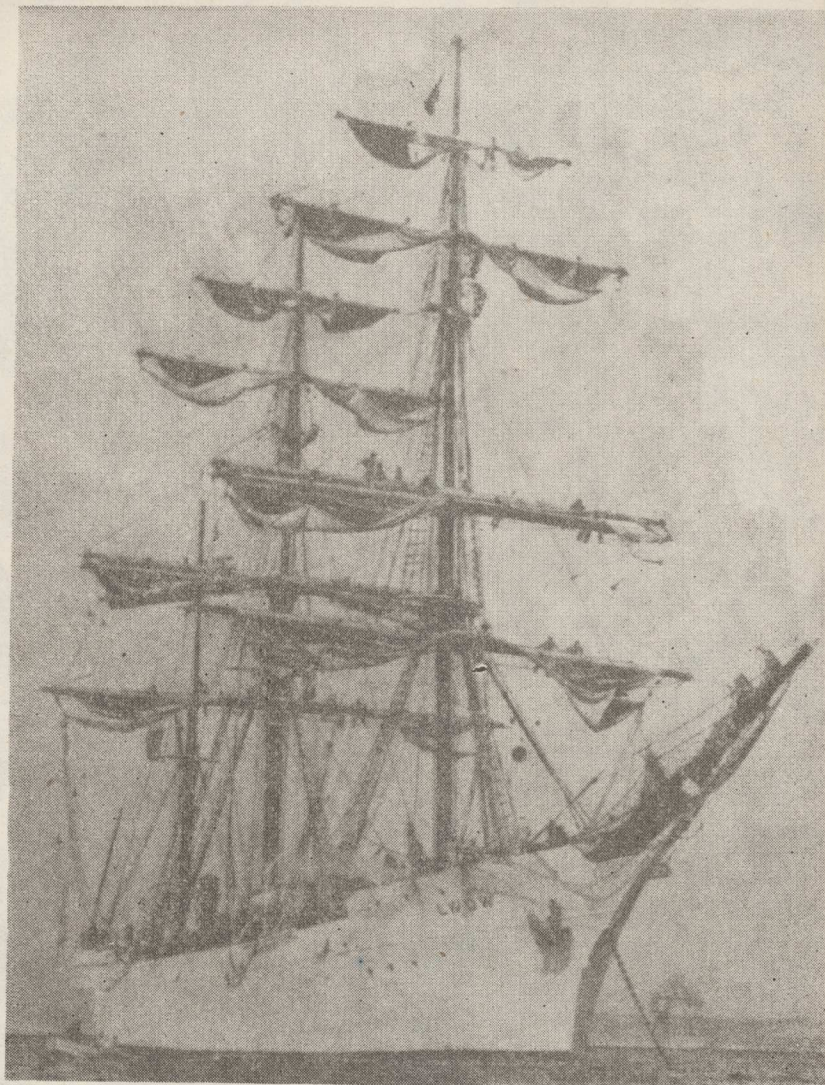




## marek koszur

To będzie leureka. Kilka stron maszynopisu poświęconych człowiekowi, o którym można mówić tylko tak, jak o kimś bliskim, dobrze znanym i lubianym. Nie trzeba nawet znać poszczególnych rozdziałów jego życia. Wystarczy popatrzeć na zdjęcie, na duże, gdzieś zapatrzone, pełne marzeń i dobroci oczy, na wyraz twarzy wiecznie niespokojnego ducha.

# ojciec kosko



„LWOW” — kolebka navigatorów — pierwszy polski statek szkolny

Kiedy bodaj dwudziesty trzeci raz odkładałem słuchawkę, nieodparcie cisnęło mi się na myśl tylko jedno stwierdzenie: to niemożliwe! Wprost trudno to zrozumieć. Wszystkie próby charakterystyki są niemal identyczne. Spojrzałem na kilka fotografii. Przypadek sprawił, że ułożyły się w chronologiczny ciąg. Najpierw w gronie członków drużyny skautowskiej, później z kolegami — słuchaczami pierwszego rocznika Szkoły Morskiej, następnie pamiątkowa fotografia z Brazylii z 1923 roku, zdjęcie z legitymacji współpracownika czasopisma „Morze”, portret z okresu pracy w Ministerstwie i wreszcie jedno z ostatnich, kiedy był już dyrektorem szkoły. Blisko 20 lat... Teraz dopiero uwierzyłem we wszystko, o czym mówili mi jego przyjaciele, znajomi, uczniowie. Na wszystkich zdjęciach ten sam człowiek: ten sam uśmiech, spojrzenie, pogodny i przyjazny wyraz twarzy. Ojciec Kosko... Nawet kiedy leżał w szpitalu, a jego przyjaciele próbowali odwrócić bieg myśli, okłamywali, że wyzdrowieje, a rany zagoją się — on, jak przez całe życie, uśmiechał się tylko.

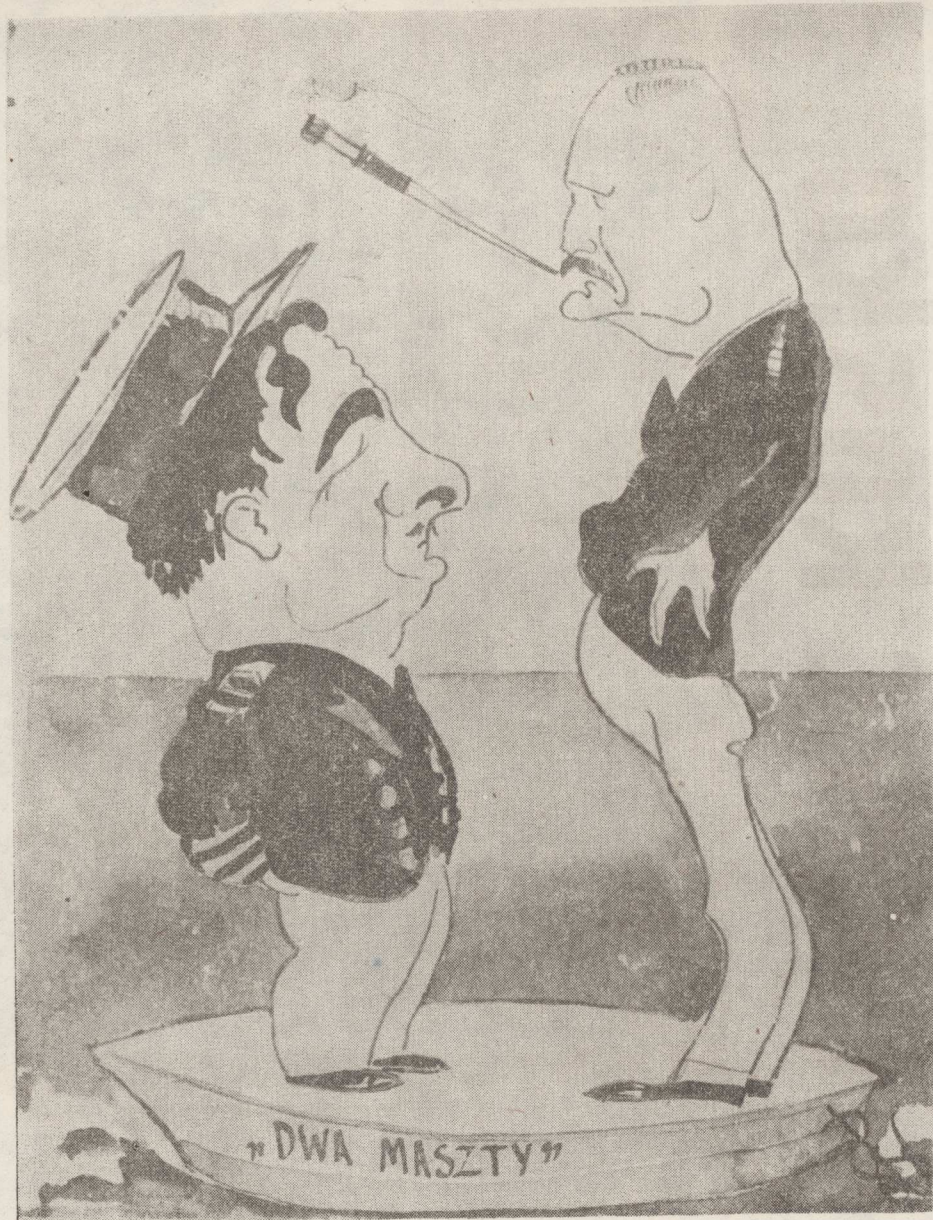
Stanisław Kosko urodził się 13 listopada 1898 roku w Wojciechowicach pod Ostrołęką. Jako dziewięcioletni chłopak rozpoczyna pracę w miejscowej drużynie skautowskiej. Szybko gromadzi wokół siebie grono rówieśników i w 1912 roku tworzy w gimnazjum w Pułtusku pierwszą tajną skautowską organizację. Podniszczone dokumenty, połówki zaświadczenia i opinie potwierdzają te fakty. Wychowany w patrio-

tycznej atmosferze, w dążeniu do wyzwolenia Polski spod zaborczych traktatów nie poprzestaje S. Kosko na działalności w tej jednej organizacji. Zakłada jeszcze przed 1915 rokiem dwie inne. Tym razem wciąga do współpracy młodych robotników. Jest członkiem tajnego kółka samokształceniowego. W czasie spotkań młodzi czytają dzieła polskich autorów, uczą się historii państwa spod znaku „orła białego”, który „lotem błyskawicy znów siądzie na dawnej Chrobrego granicy”, doskonali znajomość języka i patriotycznych, powstańczych pieśni. Kiedy uczniowie pułtuskiego gimnazjum wspólnie ze starszymi kolegami zorganizowali bojkot uroczystości związanych z trzechsetleciem panowania domu Romanowych S. Kosko znalazł się w pierwszych szeregach manifestantów. W roku 1915 z narażeniem życia kolportuje czasopisma niepodległościowe i odezwy o charakterze rewolucyjnym m. in. w powiecie ciechanowskim i makowskim. Przez cały ten czas pracuje także z młodszymi od siebie. Dla cech jego charakteru, postawy, sposobu bycia już wówczas nazwano go „ojcem Kosko”.

— Znaliśmy się od dziecka — mówi Jadwiga Titz-Kosko — Stach często bywał w naszym domu. Mój ojciec go lubił. Zresztą wszyscy podziwialiśmy jego aktywność, chęć i gotowość podejmowania nowych zadań. Przy tym wszystkim był wielkim romantykiem. W pogodnych, zawsze rozpromienionych oczach kłębiły się tysiące pomysłów i idei. Zarażał innych swoją pasją aktywnego życia.

Ci, którzy pamiętają rok 1918, 1919 czy 1920 mówią, że podłe to były lata. Żyło się wówczas radością o niepodległej Polsce, ale pusty żołądek i brak stałej pracy jest do dziś wspomnieniem równie silnym jak owa radość. Atmosfera pewnej tymczasowości nie opuszczała także młodych. Kiedy po kolejnej burzy, tej z 1920 roku, przyszło odłożyć karabin, nie od razu znaleźli miejsca pracy, zarobek, mieszkanie, słowem: szansę. Wędrowali więc ludzie ze wschodu na zachód, z południa na północ — wszyscy w poszukiwaniu polskiego Eldorado. Wielu wybrało stukilkudziesięciokilometrowy pas wybrzeża, o którym w elektryzujących artykułach pisała ówczesna prasa. Nie było jednak stoczni, portów, floty handlowej, rybackiej, nie było żadnych możliwości. Nic. Była tylko pełna złotego piasku plaża dla trzydziestu milionów Polaków. Nikt wówczas w najbardziej kolorowym śnie nie przypuszczał, że pod koniec dwudziestolecia tam właśnie siła robocza będzie najdroższa. Na początku lat dwudziestych tylko grupa publicystów i entuzjastów rozpisywała się na łamach prasy, że oto nadszedł czas spełnienia „snu o morskiej potęgde”, że dzięki „uprawie morza” Polska wejdzie do grona prawdziwie wielkich i kulturalnych państw.

I kiedy w 1920 roku ukazała się w „Kurierze Warszawskim” mała notatka o utworzeniu Szkoły Morskiej, na egzaminy do szkoły Wawelberga w Warszawie przybyły tłumy młodych ludzi z całego świata. Byli wśród nich frontowcy i kilkunastoletni marzyciele, byli



„Dwa maszty” Szkoły Morskiej w Gdyni (w karykaturze): insp. szkolny S. Kosko i wychowawca Warzęcha

żołnierze z Legii Cudzoziemskiej i doświadczeni mężczyźni. Tylko nieliczni spośród nich widzieli już morze. Wielu chciało dostać się do tej szkoły, gdyż podlegała ona Ministerstwu Spraw Wojskowych i zapewniała uczniom darmowy „wikt oraz opierunek”. Czy marzyli o wielkiej przygodzie? Czy widzieli siebie w roli „poskromicielei morskiego żywiołu”, odkrywców nieznanych lądów, uczestników romantycznych przygód? Hm... Na pewno, ale prawdą jest także i to, że kiedy przychodzili święta, tylko nieliczni wyjeżdżali na przepustki do domów. Większość zostawała w internacie „dla uzupełnienia i powtórzenia przerobionego materiału”. Przez długie jeszcze lata powtarzała się ta prawidłowość, przez długie lata uczniowie „szkoły morskich snów” nie mieli domów, do których mogliby jechać na urlop. Po bodaj dwóch latach działalności Szkoły Morskiej w Tczewie odwiedził ją Julian Rummel, człowiek niezwykle zasłużony dla polskiego morza. W swoich pamiętnikach zanotował: „Gdy ją w roku 1921 odwiedziłem [...] zrobiła wrażenie biednej, to jest źle wyposażonej, lecz jako tako funkcjonującej”.

W gronie słuchaczy pierwszego kursu znalazł się również Stanisław Kosko. Dlaczego? Był w trudnej sytuacji materialnej, a poza tym rzeczywiście

ciągnęło go morze. Już w pierwszych dniach pobytu w Tczewie zaczęto zwracać się do niego nie inaczej jak „ojciec”. Był bowiem jednym z najstarszych słuchaczy, dla najmłodszych opiekunów i troskliwy.

— Był moim starszym kolegą i przełożonym — mówi Karol O. Borchard. I choć byłem prawie dwa razy wyższy, to zawsze czułem się mały wobec jego daru postępowania z ludźmi. Był ojcowski — to mało powiedziane. Potrafił w jakiś niewytłumaczalny sposób oddziaływać na nasz stosunek do morza, ludzi i samych siebie. Pamiętam jeszcze dziś jego pogodny „Dobra!”. Zawsze powtarzał to słowo. Nawet, jeśli któryś z nas wykonał pracę źle, zepsuł, o czymś zapomniał, on nigdy się nie gniewał. Powtarzał tylko swoje „Dobra!” i przystępował do ponownego tłumaczenia, co i jak należy wykonać. Był bardzo cierpliwy i taktowny. Nigdy nie słyszałem o przypadku, aby kogoś skarcił, ukarał. Kiedy na przykład nie powiedział swojego sakramentalnego „Dobra”, był to znak, że przeholowaliśmy i robiliśmy wówczas wszystko, żeby znów usłyszeć to drobne słowo. Inną metodą wychowawczą ojca Koski były niezwykle trafnie dobrane i we właściwym momencie przytaczane bajki oraz powiastki filozoficzne. Jedną z nich, perską bajkę o sumieniu,

sam często opowiadałem moim uczniom. Mówi ona o wielkim korsarzu i rozbójniku morskim, który zakończył życie i udawał się na drugi świat. Idąc przez most łączący oba światy ujrzał dziewczynę i zaczął się jej uważnie przyglądać. Była niezwykle piękna i młoda. „Jestem twoim sumieniem — powiedziała. — Czyżbyś mnie nie poznał?” Rzeczywiście. Korsarz zapomniał o pięknej dziewczynie, której głosu winien człowiek nieustannie słuchać. Często, bardzo często pytał nas ojciec Kosko o zdrowie i urodę dziewczyny z perskiej bajki.

Zanim jednak S. Kosko został oficerem na statku szkolnym „Lwów”, przez trzy lata zdobywał wiedzę w tczewskiej szkole. Przez trzy lata z uporem, a zarazem pasją, starał się wspólnie z kolegami i przełożonymi udowodnić światu, że „Polsza nie tylko kartoszkowej stoi”. W warunkach zbliżonych do tych, jakie towarzyszyły portugalskim i hiszpańskim żeglarzom wyruszyli ci pierwsi entuzjaści naszego morza w epokowy dla polskiej bandery rejs. Dziś nieliczni już pamiętający to wydarzenie, mówią, że ekspedycja była zorganizowana na „wariackich papierach”. Tylko ludzie opanowani żądzą i pasją podróżowania mogli zgodzić się na przepłynięcie Atlantyku bez pieniędzy, dobrych map nawigacyjnych, przyrządów, z ładunkiem polskich piłgów i cementu dla nieznanego adresata. Mimo to rejs był rzeczywiście przełomowy. Pierwszy raz bandera polska przekroczyła równik, pierwszy raz zostały zorganizowane uroczystości chrztu równikowego. Stanisław Kosko płynął w podmuchach ciepłego pasatu z dodatkowym zadaniem. Miał bowiem po tamtej stronie oceanu utworzyć polskie drużyny harcerskie, nawiązać kontakt z ewentualnie już istniejącymi, zachęcać dzieci emigrantów do podtrzymywania kontaktu z krajem. Była to jego pierwsza dyplomatyczna misja. Trzeba bowiem dodać, że równie jak morze pociągała ojca Koskę działalność polityczna i dyplomatyczna. Czy misja zakończyła się sukcesem? Trudno dziś sprawiedliwie ocenić, ale ojciec Kosko wypiełniał ją z prawdziwym poświęceniem.

Z rejsu tego S. Kosko przysyłał mnóstwo listów (tak było w każdej wyprawie). Niektóre z nich są adresowane do redakcji „Dziennika Tczewskiego”. Był więc ojciec Kosko jednym z pierwszych prawdziwie morskich korespondentów. Później pasja ta przerodziła się w doskonale opanowaną sztukę wyuczonywania dla czytelników gazet, rzesz młodych Polaków — atmosfery południowych mórz, przygód w egzotycznych portach, chwil spędzanych wśród tysiąca ponapinanych lin szkolnego żaglowca.

Po ukończeniu szkoły przychodziła lata spędzone na pokładzie „Lwowa”, gdzie pełnił funkcję IV oficera, wychowawcy i nauczyciela. Należał do nielicznej grupy szczęściarzy, którym udało się dostać na morze. Nie było bowiem w latach dwudziestych floty z prawdziwego zdarzenia, a obcy armatorzy nie chcieli zatrudniać polskich marynarzy. Nie wierzyli w ich fachowość i odpowiedzialność. Korzystali

węc absolwenci Tczewa z każdej nadarzającej się okazji. Wykształceni oficerowie godzili się na obejmowanie „stanowisk” chłopców okrętowych, byle tylko być blisko morza, byle pływać. Władysław Milewski zamustrował na „Lwów” w charakterze radiooficera. Nigdy dotychczas nie zajmował się na tyle poważnie radiotechniką, aby samodzielnie odpowiadać za łączność statku z lądem. Ale cóż było robić. Natychmiast przypomniał sobie i powtórzył wiadomości na temat obsługi radiostacji i wyruszył w rejs na Morze Śródziemne. Kapitan Mamert Stankiewicz już w Cieśninach Duńskich poleca radiotelegrafście nadać dwie pilne depesze do Polski. Mijają godziny. W eterze ciągle duży ruch. W. Milewski nie może wcisnąć się do kolejki. Brak doświadczenia... Wreszcie udaje się. Ale po paru chwilach operator z lądu przerywa nadawanie telegramu i prosi o zmianę radiotelegrafisty na statku. Nic bowiem z przekazywanej treści nie może zrozumieć. Zaszifrowane w kreski i kropki słowa wydają się mu być pozbawione sensu. No to kłapa, myśli, pójdę zameldować kapitanowi i niech mnie wysadzi w najbliższym porcie. Wyszedł na pokład i niemal tuż przed kabiną kapitana spotyka S. Koskę.

— Uspokój się, chłopie, i śmiej się z tego — mówi ojciec Kosko po chwili. — Nie jesteś winny, że Duńczyk był na tyle leniwy, by sprawdzić, że w języku polskim istnieje „rz” czy też „cz”. Wypal papierosa, wypij lampkę koniaku i nadawaj jeszcze raz.

Zwykle słowa, normalny gest, ale jakże niewiele na to stać. Kolejny raz nawiązana łączność przebiegała normalnie. Depesze zostały potwierdzone.

— Kiedy indziej — wspomina W. Milewski — byłem świadkiem typowej reakcji Stasia Koski. Siedzieliśmy w salonie „Lwowa”. Był wówczas silny sztorm i statek co kilka chwil groźnie przechylał się na jedną z burt. Po jednym z najsilniejszych przechyłów wpadł do salonu nasz lekarz, błady i cały drżący. Zachowanie się ojca Koski było jedyne w swoim rodzaju: skoczył na równe nogi, nalał do kieliszka koniaku, podał doktorowi ze słowami: *medici, cura te ipsum* (lekarzu, ulecz samego siebie!).

Czas spędzony na „Lwowie” był dla S. Koski szansą zdobycia pierwszych, tak ważnych dla absolwentów Tczewa i polskiej przyszłości morskiej, dyplomów oficerskich. Nie przestaje jednak myśleć o pracy dyplomatycznej. Przywieziony z Brazylii list polecający od tamtejszego ambasadora przetarł pierwsze szlaki. Ambitny, młody i taki ujmujący — mówiono — wzbudza zaufanie!

Po zamustrowaniu z „Lwowa” zostaje powołany do pracy w Departamencie Morskim Ministerstwa Przemysłu. Absolwent szkoły tczewskiej wysokim urzędnikiem państwowym! Ojciec Kosko w Ministerstwie! Czy mnie jeszcze pamięta, czy będzie chciał pomóc? Jak się do niego zwrócić? Zapewne niejeden z absolwentów „fabryki bezrobotnych”, jak przez szereg lat mówiono o tczewskiej szkole, ten, któremu się nie poszczęściło, myślał o awansie szkolnego kolegi. Nie ma floty, to fakt, ale przyciągnął z Ministerstwa na pewno pomoże, coś wymyśli! Przeglądam teczkę z



Karykatura kapitana S. Kosko z okresu pracy w departamencie morskim

listami. Ojciec Kosko odpowiadał na wszystkie, interesował się każdą sprawą.

Praca w Departamencie Morskim w okresie bodaj najciekawszym dla rozwoju polskiej gospodarki morskiej stworzyła nowe obszary do działania. S. Kosko, absolwent Szkoły Nauk Politycznych, dobrze przygotowany od strony ekonomicznej, uczestniczył w pracach organizacyjnych pierwszych przedsiębiorstw armatorskich, budowie Gdyni, itd. Pisze wiele artykułów, zapoznaje się z problemami morskimi świata, możliwościami i kierunkami rozwoju naszej oceanicznej ekspansji.

Każdą jednak wolną chwilę, każdy urlop spędza S. Kosko nad morzem, z dala od ruchliwych warszawskich ulic. Uprawia żeglarstwo, mustruje na statki, pływa pod żaglami następcy „Lwowa” — „Daru Pomorza”. Z każdej podróży przysyła korespondencje będące dziś unikalnym dokumentem morskich wypraw dwudziestolecia. W 1927 roku zostaje współpracownikiem czasopisma „Morze”. Na zachowanych do dziś „szczotkach” artykułów, obok nielicznych poprawek zawsze niemal pojawia się jednak — skreślone energicznym pociągnięciem pióra imię i nazwisko autora. Rzadko pozostawiał inicjały. Ważna jest sprawa, a nie ktoś, kto ubiera ją w kilka zdań — mawiał.

Jedną z takich wielkich spraw kapitana było uratowanie statku „Lwów” —

przez pewien czas naszego okrętu flagowego. Przeglądam ręcznie zapisane kartki, chyba nigdy nie publikowany artykuł na temat „Lwowa”. Z wielką pasją i znajomością rzeczy, popartą studiami, obliczeniami, motywacjami i przykładami z całego świata, postulował ojciec Kosko zabetonowanie statku, utworzenie na jego pokładzie siedziby instytucji morskich, muzeum, klubu morskiego, słowem: takie wykorzystanie żaglowca, aby w dalszym ciągu przyczyniał się on do propagowania idei morskiej.

Jednak tym razem nie udało się...

Po okresie pracy w ministerstwie S. Kosko wraca na wybrzeże, do przeniesionej w 1930 roku do Gdyni Szkoły Morskiej i obejmuje tam stanowisko inspektora szkolnego. Pełni funkcję, którą przed laty piastował kapitan Gustaw Kański, ten sam, którego podpis figuruje na pierwszym morskim świadectwie ojca Koski. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wracają barwne, choć biedne lata tczewskiego „zejmaństwa” i ciągle popularne, niestety, absolwenckiej pieśni — hymnu Państwowej Szkoły Morskiej:

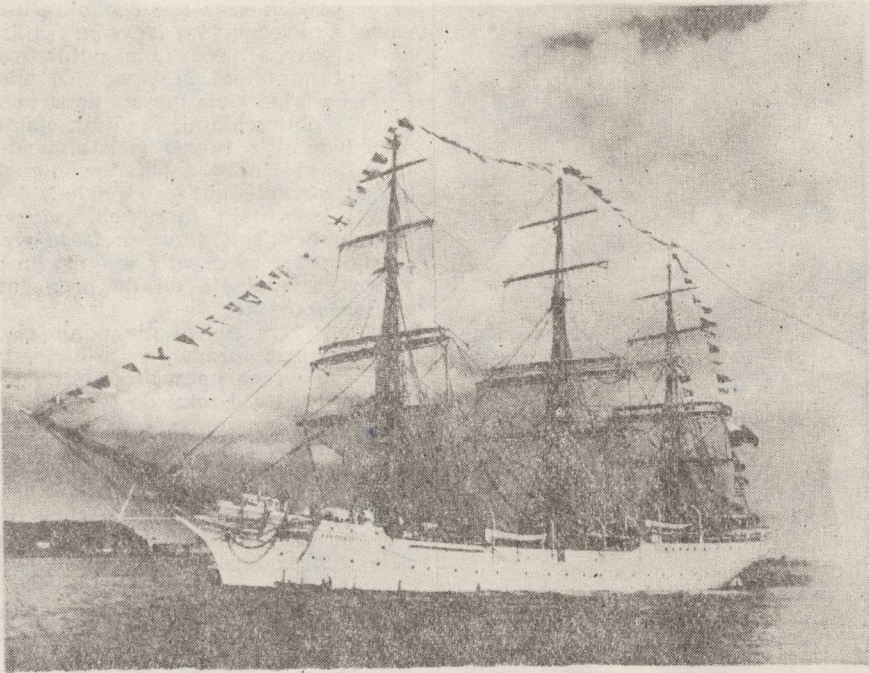
*Szkotę skończyli, dyplomy dostali,  
Lecz pracy w ojczyźnie im brak.  
Po niegościnniej, dalekiej mórz fali  
W odległy puścili się szlak.*

Wraca także stary pseudonim. Codzienna korespondencja, jaką otrzymuje Pan Inspektor, jest coraz grubsza. Piszą dziesiątki osób. Z całego świata. Z różnych instytucji. „Ojciec Kosko, czy możesz mi doradzić...”, „Czy Ojciec Kosko pamięta mnie jeszcze i czy zechce wysłuchać prośby...” Listy takiej treści towarzyszą S. Kosce także w najodleglejszych portach, do których po raz pierwszy w swoich dziejach dociera polska bandera wiezioną na pokładzie „Daru Pomorza” w jego sławnym rejsie dookoła świata z 1934/35 roku. W trwającej bez mała rok podróży ojciec Kosko znów odkrywa przed młodymi tajemnice żaglowca, wzbudza w nich umiłowanie morza i pragnienie ciągłego wdychania powietrza morskiej bryzy. Jednym z najważniejszych wydarzeń tego rejsu, utrwalałom na kartkach jednej z książek ucznia szkoły morskiej, jest dzień, a w zasadzie noc imienin ojca Koski. O północy uczniowie obudzili cały statek, by wszyscy mogli złożyć lubianemu wychowawcy życzenia.

Po powrocie z okołoziemskiej wyprawy z 1935 roku kapitan żegluga wielkiej Stanisław Kosko, autor pasjonujących i czytanych przez tysiące Polaków relacji z przebiegu rejsu, jest już człowiekiem znanym, cenionym i... żonatym.

Był to najcichszy z morskich słu-bów. A miłość? Z morskich bodaj najpiękniejsza. To właśnie Jej kapitan zawdzięcza morze, to Ona, kiedy jeszcze byli dziećmi, mawiała, że Szkoła Morska jest znakomitą okazją, szansą, która stwarza nieograniczone wprost możliwości dla wszystkich niespokojnych duchów. To Ona była powierniczką morskich uniesień i fascynacji. Setki listów z utrwalałymi wrażeniami każdego dnia pobytu na morzu. Jedyna w swoim rodzaju kronika i dokument.

Działalność publicystyczna i dziennikarska zjednała S. Kosce sympatie



„DAR POMORZA” po powrocie z rejsu dookoła świata 1934/35 r.

wielu osób. Do grona jego przyjaciół należał m.in. Stanisław M. Saliński.

Było to tuż przed wyruszeniem „Dar” w najświetniejszą podróż. S. Kosko, jeszcze pracownik Ministerstwa spieszył gdzieś wczesnym popołudniem i niemal biegnąc potraçał spacerujących Nowym Światem.

— Dzień dobry, kapitanie!

Obejrzał się. Poznał starego druha, kompana, z którym niejedną przegadali noc i niejedną opróżnili butelkę. S. M. Saliński wypatrzył biegnącego przyjaciela i zwrócił uwagę idącego z nim Konstantego I. Gałczyńskiego na marynarza.

— To Staś Kosko, mój przyjaciel.

I natychmiast — jak pisze o tym w pamiętniku — zrobiło mu się przykro, że wobec K. I. Gałczyńskiego skwitował taką nijaką informacją jednego z niezwykłych ludzi, jakich poznał w Polsce. W kilku słowach opowiedział o kapitanie i po chwili mistrz Konstanty gotów był biec za nieznanym marynarzem. Kiedy siedzieli w kawiarni, Saliński przypomniał i opowiedział Gałczyńskiemu „siostrzaną” anegdotę. Otóż kiedy wypłynął w daleki rejs, jego ukochana zaniepokojona brakiem listu poszła do Ministerstwa, by uzyskać informacje o statku. Pytała wszystkich napotykanym urzędników. Ale dopiero pewien młody, bardzo uprzejmy oficer udzielił jej niezbędnych wiadomości. Nie omieszkał jednak zapytać, dlaczego dama tak interesuje się statkiem. Ta odpowiedziała, że na jego pokładzie pływa pan Saliński, jej brat. Stanisław Kosko dobrze wiedział, że jego przyjaciel nie ma siostry, ale nie dając poznać po sobie skwitował odpowiedź stwierdzeniem: „Ach, ci bracia!” Kiedy Saliński wrócił z rejsu, było sporo śmiechu. Przez długi czas przyjaciele pytali się nawzajem o zdrowie szanownej siostry. Anegdota bardzo spodobała się Gałczyńskiemu, który nie bacząc na kawiarnianą ciszę wznosił toast: „Niech żyje kapitan żegluga wielkiej, Stanisław Kosko!”

Po latach, po bardzo wielu latach, ci dwaj marzyciele znów spotkali się na

kilka chwil oko w oko. Kilka godzin po podniesieniu bandery, statek „K. I. Gałczyński” wyruszał w rejs do Ameryki Południowej. Tuż obok przy nabrzeżu portu gdyńskiego, stał inny statek — „Kapitan Kosko”. Natalia Gałczyńska wspólnie z S. M. Salińskim zeszli z pokładu nowoczesnej jednostki i z perspektywy portowego nabrzeża przez dłuższy moment przyglądali się temu spotkaniu nieznanym się przyjaciół.

W 1937 roku S. Kosko zostaje dyrektorem Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Po przejściu wszystkich etapów, po opłynięciu świata, po doznaniu wszelkich żeglarskich stanów, ten jeden z pierwszych absolwentów szkoły tczewskiej ma teraz stanąć w gronie swoich wykładowców i nauczycieli, być ich przełożonym.

— Nie możesz się zgodzić — mówiła żona.

Ale nominacja jest nominacją. Kiedy ojciec Kosko pierwszy raz włożył dyrektorski mundur, podobno zasalutował przed lustrem. Z całego świata napływają gratulacje i pozdrowienia. „Aleksandria, 1937 r.

*Kochany Stachu! Szczerze się cieszę z powodu nominacji i awansu, jaki otrzymałeś. W sprawach morskich jest bardzo dużo do zrobienia, lecz na to trzeba czasu i ludzi. Czem więcej nas będzie jednakowo myślących, którym zależy nie tylko na tem, żeby przeżyć z dnia na dzień, lecz także patrzących dalej — będzie łatwiej coś zrobić dla dobra i umocnienia naszych spraw morskich. Przyczynimy się tem do umocnienia potęgi Polski. Łączę serdeczne uściski dłoni. Stefan Ciundziewicki, kapitan m/s „Lewant”.*

Oryginalne metody wychowawcze, doskonała znajomość psychiki ucznia, młodego człowieka, jak niegdyś on pragnącego związać się z morzem — zagwarantowały sukces. Po ponad 15 latach, w czasie jednego z zakończeń roku szkolnego uczniowie przypomnieli fragment kupletu śpiewanego podczas pierwszego polskiego chrztu morskiego z 1923 roku:

Po kolacji ojciec Kosko  
Niechaj się uśmiecha bosko!  
Porzuć smutki romantyczne  
Przecież życie takie śliczne!

Był to powód do wielkiej satysfakcji...

Ostatnie sierpniowe dni 1939 roku spędzał dyrektor Kosko wśród pustych korytarzy szkolnego gmachu. Wszystkich uczniów wysłał do domu. Patrząc na zdjęcie „Dar” myślał, czy uda się ocalić ten statek, czy też tak jak „Lwów”, o którego toczył wielkie boje, fregata pójdzie w zapomnienie, zostanie zniszczona przez wroga?

— Doskonałe pamiętam tę rozmowę — mówi J. Titz-Kosko. Konstanty Kowalski, komendant „Dar” uważnie słuchał szczegółów planu opracowanego przez męża. „Dar” miał w swoim kolejnym rejsie szkolnym krążyć po Bałtyku tak długo, jak będzie to możliwe. Ważne było również, aby pływał możliwie najbliżej szwedzkich brzegów. Mąż przewidywał bowiem, że w razie wojny Szwecja pozostanie poza jej zasięgiem, a „Dar” jako członek tamtejszego królewskiego jachtu klubu będzie mógł znaleźć schronienie. Aby jednak Niemcy nie ściągnęły podstępem statku do portu krajowego, S. Kosko każdy wysłany do Kowalskiego telegram miał uzupełniać słowem „Kot” — pseudonimem komendanta fregaty. Plan ten, jak wiadomo, udało się zrealizować. „Dar Pomorza” został uratowany.

29 sierpnia 1939 roku kpt. Kosko otrzymuje rozkaz natychmiastowego objęcia dowództwa ORP „Gdynia”, niewielkiego statku białej floty, który miał wozić zaopatrzenie na Półwysep Helski. Biały statek. Bez najprostszego karabinu. Wymarzony cel dla lotnictwa nieprzyjaciela.

I stało się. 1 września pierwszy niespodziewany nalot. ORP „Gdynia” cudem wychodzi na wody zatoki. Za rufą pierwsze zniszczenia i ofiary portu gdańskiego. 2 września kolejny nalot. Jedna bomba trafia w mostek kapitański i eksploduje w maszynowni. Druga pada w środek kadłuba, który zostaje przełamany i obie części po kilku sekundach znikają pod wodą. Do tonących i rozbitków nieustannie strzelają niemieccy lotnicy. Kolejne detonacje bomb dopełniają dzieła zniszczenia. Dzięki pomocy swoich marynarzy kpt. Kosko zostaje przewieziony do szpitala. Po kilku dniach, 8 września wskutek odniesionych ran umiera. W dniu, kiedy oddziały polskie zaczęły wycofywać się znad bałtyckiego brzegu, niewielka grupa nauczycieli i uczniów pożegnała swojego dyrektora.

— W kilka dni po powołaniu męża do Marynarki Wojennej — mówi J. Titz-Kosko — przyjaciółom udało się „wyreklamować” go z jednoczesnym skierowaniem do likwidacji i zabezpieczenia szkoły morskiej. Mąż powiedział jednak, że nie po to założył mundur, aby go zdejmować.

Marynarz, dziennikarz, malarz, poeta, sportowiec, żeglarz, pisarz, ekonomista, polityk, człowiek, który uratował „Dar Pomorza” — długo można by wymieniać cechy charakteru, postawy czy też przykłady działalności Stanisława Koski. Był to niewątpliwie człowiek wyjątkowy, wielki entuzjasta idei morskiej i niestrudzony pracownik morza, człowiek o niespotykanej pogodzie ducha, zawsze uśmiechnięty i uśmiech niosący.

Fot. Zbigniew Kosiorowski



Fot. Zbigniew Kosiorowski



„Leży to w mojem usposobieniu, że dla mnie wobec morza wszystko gaśnie. Nawet góry, nawet — mamże powiedzieć? — dzieła ludzkie. Kto nie oddychał powietrzem morskim, ten nigdy nie odetchnął głęboko. Na mnie powietrze to czyni wrażenie podobne jak czytanie „Illiady”, i z nieśmiertelnych rapsodów i z nieograniczonych głębin wieje atmosfera mioda a jędrna, podniecająca a trzeźwa. Jest to atmosfera odwagi”.

Jadwiga Łuszczewska

Z żywiołem morskim zetknęła się Jadwiga Łuszczewska — Deotyma po raz pierwszy w r. 1855 w czasie podróży do Ostendy. W dwa lata później odwiedziła Rugię. W 1858 roku odbyła wycieczkę Wisłą do Gdańska, którą opisała w „Tygodniku Ilustrowanym”. W relacji z podróży czytamy:

„Pieśń o Flisie była mi nieodstępna towarzyszką żeglugi. W chwili zadumy snię na jawie o flisach zuchwalcach, o sławnych korsarzach z bractwa Witalisa, jakich nieraz z przerażeniem Gdańsk u bram swoich widywał i marzę Bóg wie jeszcze o czym, bo gdy myśl raz się puści na przeszłość i morze, niełatwo jej powrócić z tych dwóch oceanów”.

W rok po wyprawie nad Bałtyk Deotyma napisała poemat „Wyszymir”, który wraz z paroma innymi utworami dał początek ambitnemu dziełu „Polska w pieśni”.

**Erazm Kuźma:** O pokoleniu wcześniejszy od Deotymy Adam Mickiewicz mówił w „Dziadach”: „Kto za życia choć raz był w niebie ten po śmierci nie trafi tam od razu”. Ta maksyma sprawdza się w odniesieniu do wielu pisarzy, poetów, także do Deotymy. Za życia była w niebie. Była uznawana, wielbiona, mówiło się o niej jako o wieszczce. To był największy tytuł do chwały. Ale po śmierci bardzo szybko wpadła w piekło zapomnienia, a może i stała się trochę śmiesznym symbolem pretensjonalnej poetessy. To ciekawe zjawisko, że każda epoka ma takiego kozła ofiarnego, w którym skupia się to, co jest najgorszego w epoce i to właśnie zdarzyło się Deotymie. Oczywiście, czasem dokonuje się rewizji. Zupełnie inaczej mówi się dzisiaj nie tylko o Morsztynie, powiedzmy, ale nawet o księdzu Bace. Takie rewizje próbowano również przeprowadzić w odniesieniu do Deotymy. Przypominam sobie np. Bronisława Miazgowskiego. Czy to może się zakończyć powodzeniem?

Krytyk literacki pan Erazm Kuźma spróbuje rozstrzygnąć ten problem w audycji prezentującej fragmenty wspomnianego poematu „Wyszymir”. W przedmowie do pierwszego i jak dotąd ostatniego wydania utworu z roku 1860 „prześlawna wieszczka” pisała:

„W epoce tzw. bajecznej, pomiędzy mityczną, mgłami owianą postacią Lecha a jaskrawą, narodowi ukochaną postacią Krakusa, wznosi się postać Wyszymira, nietknięta jeszcze od żadnego poety. A jednak najodleglejsza przeszłość nasza jest niepełną w zarzysie, póki jej brakuje wojenno-żeglarskiego żywiołu. Choćby kto usiłował zaprzeczyć istnieniu postaci Wyszymira, musi przyznać, że postać ta wyobraża epokę potęgi laskich Słowian na morzu, czego ważny ślad mamy jeszcze w Kadłubku, który nie wspomina imienia Wyszymira, ale mówi o jakimś wielkim i łaskawym władcy Polan, a wnet potem opowiada o wojnach naszych przodków na wyspach Danomalchickich.

I samej jednak postaci Wyszymira trudno zaprzeczyć. bo o ile mylą się ci, co chcą go zjednoczyć z Wizumarem wandaliskim, o tyle niezachwalnym jest świadectwo Saxona Gramatyka, kronikarza duńskiego, opowiadającego zwycięstwa Izmara, naczelnika Pomorza. Był więc na Pomorzu wódz jakiś, dziwnie dzielny i szczęśliwy, kiedy nawet piosarz z wrogiemu mu narodu tak chlubnie o nim zostawił świadectwo.

Pomorze zaś w owych czasach tworzyło nierozłączną i niezachwianą jeszcze jedność z nadgoplańską Lechią”.

**Ryszard Wołagiewicz:** Bohaterowie Deotymy są oczywiście fikcją literacką. Znane imiona czy to książąt czy wodzów słowiańskich tamtej epoki nie wykazują żadnej zbieżności z imionami nadanymi postaciom występującym w poemacie. Być może pretekstem obdarzenia księcia imieniem Wyszymira był gród portowy Obodrzców Vismar, zwany niedgdy Wyszomirem.

Pan Ryszard Wołagiewicz, historyk i archeolog skonfrontuje wizję stworzoną przez Deotymę z realiami historycznymi. Na razie zaufajmy poetom:



## halina lizińczyk POETKA MORSKA DEOTYMA

„Po Lechu Wtórym — notuje Marcin Bielski w swojej kronice — był Wissimir monarchą polskim, którego kronika duńska zowie Wismer. Ten przeciwko Duńczykom obrócił się mocą wielką. Zbudował okręty wielkie, tak iż jeden z nich nosił tysiąc łodzi. Ciągnął przeciwko królowi duńskiemu Sywardowi”.

*Na koniec przyszedł ów ranek czekany,  
W którym wspaniała wyruszyła flota.  
Najroztropniejsi stanęli u sterów,  
A najsilniejsi pochwycili wiosła.*

*Przez całą podróż świeci im pogoda,  
Wicher przeciwny żagli nie odwraca,  
Piaszczysta tawa drogi nie zamyka,  
Nawet wioślarzom lżejsza zda się praca.  
Sama do celu unosi ich woda,  
Więc co dzień głośniejszy słychać wśród żeglarzy:  
„Pod Wyszymirem wszystko nam się szczęści!”*

*Tylko w pamiętną, ostatnią noc drogi  
Zadne na brzegach nie błysło ognisko,  
Nikt nie pochylił znużonej powieki,  
Najświętsze morze czując już tak blisko  
Tłum i wodzowie z drżeniem świętej trwogi,  
Z jakimś nieludzkim wioślują pośpiechem.*

*Już huk podobny do bitwy dalekiej  
Stuwystrażalowym dogania ich echem...  
Ach, to głos morza! Już i wachlarz Wisty  
Z dwóch stron rozpiera ciemne pręgi ziemi.*

*A oto w pierwszych promieniach zarania,  
Krzyk wzbił się z łódek... widnokrąg przed niemi  
Gdzieś się rozsunął mgliście, nieskończenie,  
I nagle, w setnych kolorach rozbłyśły,  
Rozbatwaniony Bałtyk się odsłania!*

*Wielu z wojaków nigdy jeszcze morza  
Nie oglądało, tych poznasz wśród mnóstwa,  
Stoją milczący, z nieruchomym wzrokiem,  
Zdumienie na nich cięży jak zakłęcie:*

*Ach, cóż porównać z najpierwszym widokiem  
Tego, co daje najbliższe pojęcie  
Nieskończoności, chaosu i bóstwa?*

Wyszimir rękę przesunął po czole:

— Bracia, stoimy na podwójnym progu  
Morza i wojny! Tu dopiero dzieło  
Mamy rozpocząć, więc morskemu bogu  
Pieśń powitalną złożmy na ofiarę,  
By morze w bitwach naszą stronę wzięło.

**Ryszard Wołagiewicz:** Pierwsze kontakty o charakterze zbrojnym między Obodrycami słowiańskimi a Duńczykami miały miejsce na obszarze u nasady Półwyspu Jutlandzkiego na przelomie VIII i IX wieku. Pierwsza pewna wiadomość historyczna na temat walk słowiańsko-duńskich dotyczy wydarzeń związanych ze zniszczeniem grodu i portu Rerik, który padł w 808 r. Począwszy od XI wieku aż do końca XII stulecia walki trwały niemal nieustannie, przede wszystkim na zachodnim wybrzeżu Bałtyku, od nasady Półwyspu Jutlandzkiego do ujścia Odry. Wolin, jeden z największych słowiańskich portów handlowych na Bałtyku, prowokował Duńczyków do napaści, oni właśnie byli w tych wojnach stroną zaczepną.

Gdyby Deotyma umieściła akcję poematu u ujścia Odry, mielibyśmy obfity materiał porównawczy, gdyż możemy sporo powiedzieć na temat przebiegu poszczególnych bitew oraz taktyk stosowanych przez obie strony, szczególnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XII wieku. Wiemy np. ile łodzi duńskich zatonoło w bitwie, jaka rozegrała się wokół wyspy Połchow. Podejmowano nawet próby wykopalisk na dnie zatoki w poszukiwaniu wraków, co się zresztą niezbyt udało ze względu na ogromny stopień zamulenia dna Zalewu Szczecińskiego.

Natomiast wiemy tylko o jednej wyprawie, właśnie z czasów Kanuta Wielkiego, wzdłuż wybrzeża aż po Sambię. Jednak źródła nie mówią nic na temat jakiegokolwiek bitwy toczonyj u ujścia Wisły. Tak więc wydarzenia opisane przez Deotymę mają związek z faktami historycznymi, które rozgrywały się od przelomu wieku VIII i IX i przez cały wiek XII na znacznie szerszej przestrzeni zachodniego wybrzeża Bałtyku.

Cudny był widok, gdy nazajutrz rano,  
Z dwóch stron idące dwie floty ujrzano.  
Z wielkiej zatoki wyszły duńskie nawy,  
I okrążają powoli żółtawy  
Przylądek zwan przylądkiem Heli.

Na czele idzie kolos trzymasztowy,  
Okręt Sywarda malowany czarno,  
Ognista flaga zdobi go, przy sterze  
Młotem jaśnieje Tor żelazno-czoły.

Wokoło statki pomniejsze się garną,  
Czarne i zwinne jak myśli korsarzy,  
W nich wojsko w prostej, żeglarskiej odzieży,  
I od siatkowych brzęczące pancerzy,  
Postrach rozsiewa samą grozą twarzy.

Z przeciwnej strony — rzesza lackich łodzi,  
Cała błyszcząca od farb i od złota,  
Biała żaglami jak wojsko łabędzi,  
Karmazynowych wojowników pełna,  
Przy szczęku włócznie wznosząc chór wesoly,  
Z różowo-modrych ujść Wisły wychodzi.

Zwały się statki z wielkimi łuskoty,  
Wiosło się z wiosłem, łódź mocuje z łodzią,  
Błękit fal niknie pod krwawą powodzią,  
Chór gróźb i jęków zagłusza huk morza.

Jak z nocą czarną walczy jasna zorza,  
Tak czarna Dania i Lechia świetlana  
U dziejowego spotkania się rana.

Co widzę? Popłoch... Duńczyk już zamknięty,  
Już otoczony przez lackie okręty,  
Znow do zatoki cofa się w nieładzie.

Król, ten słup z ognia — król w miedzianej zbroi,  
Co wszczynął bitwę w postawie zwycięskiej,  
Teraz obłany krwawym prądem kłęski,  
Jak słup zmarzłego wódospadu stoi.

Oczom nie wierzy... „Torze! — woła — Torze!  
Wzniósłem ci oltarz na własnym okręcie,  
Brońże mnie teraz: Ludy, co w pokorze  
Wierzyły we mnie, jakby w pana losu,  
Dzisiaj mojego nie poznają głosu!  
Ktoś na nas rzucił piekielne zaklęcie...”

Z takimi skargi, z takimi wykrzyki,  
Syward się rzuca ze statku na statek,  
Słodkiem imieniem swych braci, swych dziątek,  
Wzywa rycerzy na imię Odyna,  
Uciekających zwraca i zaklina.

Lecz woli jego i tu nie spełniono,  
I czarna flota ucieka, podobna  
Do chmur pędzonych przez burzę czerwoną.

Błyszczą południe. Duńczycy na nowo  
Żółty przylądek tłumnie opłynęli  
Ale tą razą z krzykiem i beztędem...!  
Zda się, że pierzcha czarny rój puchaczy  
Przed białych orłów żaglo-skrzydłem stadem.

Wtedy Wyszimir rozpina od Heli  
Do Góry Orłów, tańcuch swoich łodzi,  
I tym łańcuchem wyjście im zamyka.

Okręt Sywarda, po cudach rozpaczy,  
Ostatni z żalem do zatoki wchodzi,  
Jego załoga z nieskalaną chwałą  
Tak wyginęła, że oprócz wiosłarzy,  
Już tylko siedmiu Wityngów na straży  
Ponad stosami bratnich zwłok zostało.

Ciecze krwią nawa króla — wojownika,  
I odwrót floty osłaniając długo,  
Z czerwono-złotą Wyszimira nawą  
Chwilami w bitwie tak blisko się styka,  
Że człowiek z mocą i rzutką postawą,

Zdołałby z jednej przeskoczyć na drugą.  
Spostrzegł to Krakus smugły i zuchwały,  
Porwał chrobacką chorągiew czerwoną,  
I wyprężwszy bohaterskie łono,  
Jak myśl przeskoczył na okręt Duńczyka,  
I przed Sywardem chorągiew zatyka!

Zlehcice okrzyk zwycięstwa wydały,  
Ale przedwcześnie! Niepomni, że chwila  
Przejścia po szczycie, znów drogę pochyła.

Sternik Sywarda zadrżał, aby z nawy  
Lackiego księcia, za tym bohaterem  
Nie poszli inni, więc tak wstrząsnął sterem,  
Że okręt na bok nagłym skrzętem schodzi,  
Wielkie półkole piany zielonawej  
Kreśli tym skrzętem i od lackiej łodzi,  
Szerokiem pasmem wody się oddziela.

I tak się Krakus wśród nieprzyjaciela  
Ujrzał sam jeden na jego okręcie,  
Wtedy tam walkę ujrzano wspaniałą,  
Siedmiu Wityngów go obkakiwało,  
A król z daleka spoglądał zawzięcie.

**Ryszard Wołagiewicz:** Dla mnie bitwa stanowi najciekawszy fragment poematu. Sam opis jest dość urzekający, a co najważniejsze nie budzi zastrzeżeń, jeśli idzie o realia historyczne. Deotyma rozgrywa tę bitwę jak admirał, uwzględnia wszystkie niezbędne w walce na morzu elementy: właściwości brzegu, zatoki, ukształtowanie wąskiego ujścia rzeki, wpływ wiatru na przebieg zdarzeń. Rozwój wypadków w starciu Słowian z Duńczykami wydaje się bardzo prawdopodobny, stosowana taktyka również. Sposób atakowania, a więc posługiwanie się hakiem, właściwości bojowe i budowa łodzi — to wszystko nie odbiega od tego, o czym informują nas źródła historyczne, a także wykopaliska.

Na temat samych łodzi wiemy dość dużo. Słowiańskie łodzie miały określone nazwy w języku duńskim. Większe nazywano vinda snekia. Były to łodzie czterdziestowiosłowe, które mogły pomieścić do dziewięćdziesięciu ludzi. Długość



ich dochodziła do trzydziestu metrów. Mniejsza łódź słowiańska zwana przez Duńczyków vinda skip osiągała długość dwudziestu metrów i zabierała odpowiednio mniej ludzi. Mamy dosyć dokładne relacje o wyprawie Słowian na Konungahelę w roku 1136. Otóż brały w niej udział łodzie, które zabierały po czterdziestu czterech ludzi i po dwa konie.

Jeśli chodzi o czasy wcześniejsze, o wiek VII, VIII, to także możemy określić wygląd łodzi na podstawie wykopalisk. Najstarsza łódź słowiańska znana na naszym terenie została odkryta na podgrodziu zamku w Szczecinie. Liczy zaledwie dziewięć metrów długości, ale konstrukcją nie różni się od łodzi późniejszych, odkrywanych w różnych okolicznościach, a pochodzących z wieku XI i XII, które były zbliżone do vinda snekia. Te łodzie z reguły mają jedno gniazdo masztowe, podobnie zresztą jak znane dotychczas łodzie duńskie czy skandynawskie. Tak że trzymasztowa łódź Sywarda jest tutaj dowolnością, którą akceptujemy zdając sobie sprawę, iż autorka poematu chciała uczynić królewską nawę bardziej okazałą.

*Syward się zżyma, wyszydza swe wodze.  
„On jeden! — woła — Jeden! Was tak wielu,  
Sam w wasze ręce oddał się szalenie.  
A wy błędnicze? Ha! Ja się rumienie!”*

*Tu ich odtrącił, porwał krąg puklerza,  
I na Krakusa z mieczem sam uderza,  
Krakus nie przybrał zaczepnej postawy,  
On już się broni z rosnącą niemocą,  
I wpośród walki nieraz patrzy w strony  
Lackich okrętów, jakby zadziwiony  
Że mu nikt jeszcze nie przybył z pomocą.*

*Wyszymir w groźnej zawołał rozpaczę:  
— Spuszczajcie czółna! Do czółen kto śmiały!  
Któż walecznego Krakusa ocali?  
Temu się trzecia część łupów przeznaczy!  
Temu chorągwie będą się kłaniały.”  
Jeszcze nie skończył, a pierwsi z żeglarzy,  
Już na wyścigi w czółna się rzucali.*

*Siedmiu Wityngów przystępu im wzbrania...  
Wstrząsa się okręt — czółna się szamocą,  
Jak lwy się biją mężowie odsieczą,  
Ale na okręt wdrzeć się nie mogą.*

*Patrząc na próżne ich usiłowania,  
Miotany zgrozą, nadzieją i trwogą  
Wyszymir zesunął z ramion płaszcz i w trzecie  
Czółno się rzucił z wielkim szczękiem zbroi.  
Płynię, drży, leci... już jest na okręcie!*

*Przypadł... w tę chwilę, gdy Syward zacięcie  
Wymierzył pocisk na czoło Krakusa,  
Księżę się rzucił jak bóstwo obrony  
Między walczących i cios przeznaczony  
Skroniom Chroboty, padł na jego ramię,  
Z pryskiem się złoty naramiennik łamie,  
I płynny szkarłat zbroję zarumienia...*

*Patrzcie! Wyszymir... co się jemu dzieje?...  
Patrzą wodzowie i oczy zakryli...  
Cios przez monarchę duńskiego zadany.  
Już plon swój niesie! Księżę do tej chwili  
Drżał, że w Lechitach osłabi nadzieję,  
Więc walcząc, cierpiąc niewystowne męki,  
Miecza nie puszczał z zaciśniętej ręki*

*A krew tymczasem kipiąc ciekła z rany...  
Aż tyle ściekło, że utracił siły...  
Fiołkowa bladeść, pierwsze śmierci znamię  
Osiała lica... oczy się zamglity...  
Padł bezprzytomny na Krakusa ramię.*

*Krakus tak wąty, tak sam poraniony,  
Wziął Wyszymira w troskliwe objęcia,  
I do czółenka z tym skarbem uchodzi.  
Sześciu młodzieńców skalnemi ramiony  
Unoszonego zastaniając księcia  
Z krzykiem żalonym zstępuje do łodzi.*

**Erazm Kuźma:** „Wyszymir” który tu rozbrzmiewał swoimi strofami to jak gdyby nowa wersja „Spiewów historycznych” Juliana Ursyna Niemcewicza, ale skrzyżowana z romantyczną próbą uzupełnienia polskiej luki mitologicznej. Trochę w stylu Słowackiego, jednak bez jego ariostycznego uśmiechu, no i oczywiście bez jego talentu. Zastanówmy się teraz, dlaczego trudno zgodzić się na próbę rewizji, czy dlaczego poemat nie brzmi dzisiaj współcześnie. „Wyszymir” jest podporządkowany bez reszty zasadom dydaktyzmu, pedagogiki społecznej. I to jest właśnie dziedzictwo Oświecenia czy epigonizm Oświecenia. Przecież mamy tu wszystkie nieomal czytankowe sprawy: konflikt słowiańsko-germański, wychowanie morskie w duchu Lelewela (bo Leleweł już o tym mówił!), obraz dawnej wielkości, który miał w rozbiorowej Polsce przypomnieć dzieje sławy i podniecić do walki.

Ala prócz tego jest tutaj wiele elementów typowo romantycznych, dosyć sztucznie skojarzonych z oświeceniowymi. Myślę o romantycznym czy raczej epigońsko-romantycznym odczuciu natury. „Ach, cóż porównać z najpierwszym widokiem /tego co daje najbliższe pojęcie/ nieskończoności, chaosu i bóstwa?” Oto jest wizja morza, wizja natury, tak typowa, lecz dziś już zbanalizowana. Baśniowość, ludowość, mitologia słowiańska, mitologia skandynawska — to wszystko zostało w poemacie Deotymy przemieszane właśnie w stylu romantycznym.

Tę samą niezbornosć, którą usiłowałem ukazać w warstwie treści, można zauważyć także w warstwie formalnej, bo cała ta historia oświeceniowo-romantyczna wciśnięta została w ciasny gorset jedenastozgłoskowca. Zauważmy, że jest to jedenastozgłoskowiec o trochę przykrótkim oddechu iak na temat epicki. Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza” trzynastozgłoskowcem i wiersz stawał się rozlewny, płynny. Jedena-stozgłoskowiec „Wyszymira” jest „rąbany”.

*Bałtyk (niewierny!) rozpienia się burzą!  
Burza, jak odsiecz, zerwawszy szeroki  
Pas lackich łodzi rozpiętych do Heli,  
Danień wywzwała z więzienia zatoki.*

*I wichler (płochy!) odmienia się nagle.  
W oczy Lechitom ciska pył i pianę,  
A Skandynawom wydymając żagle,  
Na pełne morze sam ich wyprowadza.  
Syward ze szczytów czarnego okrętu,  
Ręce na skalnem złożywszy tonie,  
Patrzy z rozkoszą na przemianę losów.  
„Czwartą część — woła — z tych łupów po Lachu  
Złożę na twoim ołtarzu, Odynie!”*

*Zdjąłeś z wojsk moich zakłęcie postrachu,  
Co nam bóg lacki rzucił w złej godzinie.  
Oto pierzchają śmiałkowie struchleli,  
Ci wielcy, dumni, co zaprzeczać śmieli,  
Aby król Danii był i morza królem.”*

*Na Danję kolej. Teraz jej okręty  
Jak niewzruszone, szerniałe opoki  
Naszym do morza zamykają drogę.  
Jarmeryk nawet, ruchem floty pchnięty,  
Na lekkim statku wyleciał z zatoki,  
Wśród potrwożonych nawet on siał trwogę...*

*Płynię... łódź pełna Wityngów w podziw  
Dąży w ślad jego. On co chwila stawa,  
Nacisk okrętów, skrzyżowane bronie  
Drocz mu grodzą, więc jedne omija,  
Inne odpiera — a księżęj nawy  
Z oka nie traci, aż winny jak żmija,  
Śliskiem czółenkiem podczołgał się pod nią.*

*Wstaje, zamachem szermierskiej postawy  
Hak w nią zarzuca... utkwil hak zabiasty.  
Młodzian odetchnął... kłakt — z obliczem bladem  
Lecz śmiałem, rozsiał u swych stóp łucznywo,  
Własne czółenka zapalił i żywo  
Skoczył do łodzi, co szła jego śladem.  
Czółno po chwili wśród złowieszczych szmerów  
Stanęło w ogniu!*

*Obadwa wojska oniemiały z trwogi  
Przestały bić się... i zmieszane łodzi  
Duńskie i lackie, uciekają z drogi.*

Czerwona łuna tańczy po fali.  
Nawa się targa i trzeszczy złowrogo...  
Bohaterowie w nawie pozostali,  
(Pięciu ich tylko!) dokazują cudów,  
By przeciąć łańcuch, a przeciąć nie mogą,  
Aż im prawice sinieją od trudów,  
Aż wielkie barki przyitacza im praca,  
Próżno! Co łańcuch odskoczy, to wraca.

Patrzcie, łódeczka z tłumy się wyrwała,  
I leci prosto, prosto do pożogi!  
W obu się wojskach rozlat wykrzyk trwogi:  
„Gdzie oni lecą?... Stójcie!” Lecz zuchwała  
Łódka nie słucha, łódka nagli wioślo

W niej leży książę, siedmiu braci sławy  
Chroni rannego — tak dobiegli nawy.

Wyszymir westchnął... boleść przezwycięża  
„Wyrąbcie — woła — tę część w boku nawy,  
W której hak utkwiał!” Więc męże koleją  
Chwytają straszny topór Spitygniewa  
I rzną i krają cudne rzeźby z drzewa.  
Łoskot się rozległ, aż fale truchleją...  
Nawa z tej walki ze szczyrbą wychodzi,  
Lecz od płonącej odczepia się todzi!

Lachy rzuciły wykrzyk odrodzenia  
I oto wichur znowu się odmienia,  
Okropna łódka pożarem skrzydlata,  
Niby ogromny ptak z ognia odlata,  
I patrzcie: duńskie zapala okręty!

Wnet szyk się miewa, serca potwożone...  
W tę chwilę siwy Bogustaw dał hasło,  
Tysiąc mu hasel życzliwych przykładało,  
Na statkach duńskich jeńcy bunt podnoszą  
I potrząsając zerwanymi pęty,  
Zabitym Danom odpasując miecze  
(Ach, z jakąż miecze chwytają rozkosz!)  
Z łódzmi na laską przepływają stronę.

Teraz co czynić? Kto ujdzie pożogi,  
Wpadnie w moc Lachów, kto Lachom uciecze  
Na własnym statku ujrzy zastęp wrogi!  
A nasza flota znów silna, znów harda  
Wszystko rozprasza, i chwytą i goni.

**Erazm Kuźma:** Najbardziej uderza w poemacie Deotymy schemat homerycki. I to jest także dziedzictwo Oświecenia. Oczywiście pamiętam, że i Mickiewicz sięgał do wzorców homeryckich pisząc „Pana Tadeusza”, ale to zupełnie inna sprawa, nie można tego porównywać. Schematy homeryckie objawiają się więc tutaj w próbie słowiańskiej epiki, w typowym dla Oświecenia przemieszanu świata bogów i ludzi. Bogowie rządzą, wpływają na ludzkie sprawy.

Ten homerycki element znajdujemy w opisie zdarzeń przez przemówienie. Cała, nie przytaczana tu, wyprawa szpiegowska Lesława jest zreferowana w przemówieniu retorycznym, typowym dla Homera i dla późniejszych jego naśladowców. Charakterystyczne są także porównania homeryckie. O walczącym Krakusie czytamy: „Nie tak ptaszęta pierzchają beładne /gdy spada jastrząb nie tak woda w trwodze /pierzcha kręgami, gdy kamień w nią spadnie/ jak się cofa podziwem przejęci, /ilekroć wielki bohater z Wawelu wokoło głowy maczugę okręci.”

Są tu jeszcze i kalki osobowe. Lesław to taki Ulisses, mąż wielce wykrętny. Wyprawa szpiegowska Lesława jest przecież w typie odysowskim. Można by snuć także inne analogie, np. Wyszymir jako Hektor, mamy tu wyraźną próbę zderzenia tych dwóch postaci.

Zwycięstwo Lachom! A teraz, któż zliczy  
Zabranych jeńców, zabrane okręty?  
Ogromne tratwy gną się od zdobyczy,  
Sam trzymasztowy okręt króla wzięty!  
Choć noc gwiaździste rozpięta już siatki,  
Nasi wojacy rwani pędem sławy  
Jeszcze ścigają pierzchające statki.

Aż czarna łódka mignęła po wodzie.  
Kilka ją drżących oświeca pochodni  
I biała wieje chorągiewka od niej.

Na ten znak wszystkie ustępują łodzie,  
A ona zmierza do księżęcej nawy.  
Wystąpił poseł posepny i blady,  
Wyszymirovi skłonił się i rzecze:  
„Władco słowiański, składamy już miecze,  
Król Syward pragnie wejść z tobą w układy”.

„Niech i tak będzie — rzekł książę spokojnie —  
Mir był mym celem jedynym w tej wojnie.  
Lecz po tak ciężkim na kraj mój napadzie,  
Ciężkie warunki sprawiedliwość kładzie”.

Poseł się zmięszał, a potem rzekł: „Panie,  
Nasz król na wszelkie warunki przystanie”.  
„Dobrze, więc każe, by pogoń wstrzymano,  
A na Sywarda czekam jutro rano”.

Ledwie okryta złotym rąbkim zorza,  
Ujście wiślane obdziergata tęczą  
I kosz z różami wysypała z morza,  
Szereg ubogich wieśniaczych postaci,  
Do statków laskich wzdłuż brzegów się tłoczy.  
Zdarte ich suknie, lecz błyszczące oczy,  
Ci tańczą w koto, tamci kotem kłęczą  
Dziękując bogom za zwycięstwo braci.

Zaledwie pierwsze wykrzyki ustały,  
Wyszymir mężom i młodzieńcom każe  
Nad wodą z darni ustawiać ołtarze.  
Aż sto ich było, usypanych z ziemi  
I ustrojonych flagami duńskimi.  
Młodzież spełniając książęce pomysły,  
Wzniosła ołtarze na tych wód rozdrożu.  
Pięćdziesiąt stało zwróconych do Wisty,  
Pięćdziesiąt stało zwróconych ku morzu.  
A dziewczki znoszą koszyk za koszykiem,  
A wszystkie kwieciami napelnione dzikiem.

I była chwila milczącej modlitwy.  
Słońce zapada — ziemia, niebo, morze,  
Wszystko się w tunie spłoniło różowej.  
Wyszymir zabrzmiał pamiętnymi słowy:  
„Na uświęcenie wygranej tu bitwy  
Przy ujściu Wisły nowy gród założę.  
Niech będzie drugą stolicą, niech będzie  
Morską stolicą mojego narodu.  
Jak orzeł czuwa z Gnieźnińskiego grodu  
Nad laską ziemią, tak nad laskie morze  
Nowy gród skrzydła roztoczy tabędzie.  
To młode miasto niech się Duńskiem zowie,  
Aby w tej nazwie nasi potomkowie  
Czytali wieczne świadectwo zwycięstwa,  
Co nas wyrwało z duńskiego ciemństwa.

Dziś — lud zawołał z wielkim zapęty —  
Spełni się jeszcze słodka wola pańska.”  
Rozbiegł się, glazy przynosi i wstały  
Pierwsze posady przestawnego Gdańska.

**Ryszard Wołagiewicz:** Jeśli przyjmujemy, że Deotyma każe swemu bohaterowi działać w VII czy VIII wieku, to oczywiście Wyszymir nie mógł założyć tego miasta, gdyż początki portowego wczesnowiecznego Gdańska przypadają na wiek dziesiąty. W czasach przedstawionych w poemacie można mówić najwyżej o jakichś śladach osad typu wiejskiego. Tak więc passus dotyczący powstania Gdańska to po prostu licentia poetica. „Wyszymir” jest syntezą tej wiedzy, jaką Deotyma posiadała o wydarzeniach rozgrywających się od wieku ósmego po dwunasty.

**Erazm Kuźma:** W sumie dochodzimy do wniosku, że z całą pewnością nie jest to wielka poezja, ale z równie wielką pewnością można powiedzieć, że jest to dobre rzemiosło. I nie wiem, czy to nie jest największy sens przypomnienia tego poematu, żeby udowodnić naszym poetom, zwłaszcza regionalnym wielkościami, jak znacznym elementem twórczości jest rzemiosło, by im przypomnieć, że wiele spraw, które dziś wydają się odkryciami, już Deotyma, i to nie w sposób oryginalny rozstrzygnęła.

# • SIEDLIKO •

BRONISŁAW SŁOMKA

Świat aż do rzeki Rurzyca pachnie świeżym domowym chlebem. Przy sklepie siedzi śpiący człowiek, mały i skulony, śnią mu się kolorowe motylki i we śnie próbuje poprunąć, nie pojechał dziś do Podjuch do roboty, od rana miał złe przeczucia.

Zona naczelnika patrzy w zakratowane okno, delikatnie łupnie okrągłą pieczętkę w blankiet, a obok chłopak z wojska na urlopie skreśla numery toto-lotka. Wygra milion, śniło mu się.

Mąż naczelnik nie wraca, pojechał na zebranie (może w ZBoWiD, a może w GS) i wróci pewnie tym autobusem po południu o piętnastej czterdzieści jeden, a może o szesnastej jedenaście. Autobus dojedzie na postawiony przez pomyłkę na prywatnym gruncie przystanek i zaraz wróci, bo dalej już droga do nikąd. Zawróci do świnia Bary, od której trzy kilometry asfalt szeroki i równiutki, dowód dbałości o świnie.

Czasami naczelnik Antoni Domański ma takie wyobrażenie: że oto znów włądzi do tego swojego (wówczas, po tamtej stronie Odry w maju 1945) czołgu numer 421, z którego dopiero co, ranny dowódca pułku (4 samodzielny pułku czołgów ciężkich) porucznik Siemionow odtaszczony został do przyfrontowego lazaretu, włącza silnik, zjeżdża z postumentu przed muzeum w Siekierkach i wyboistą drogą pruje nim prosto do Nawodnej. To ten — mówi — w którym dojechałem do Łaby, a przed nim był jeszcze pechowy 413, któremu pękła gąsienica i 410, w którym jechałem na Kołobrzeg. To ten, 421 — pokazuje — a żona naczelnika, pani Aleksandra muzycznie srebrzysta, z wnuczką maleńką jak okrągła nutka, drepczącym po pięciolini schodów na pocztę, wychodzą mu naprzeciw: czterdzieści pięć ton historii przyjechało.

Ale czołg numer 421 stoi w Siekierkach. Tego dnia kolonia z Białej Podlaskiej włądzi mu na lufę i próbuje dostać się do środka. Domański nie pojedzie dziś obejrzyć swojego czołgu. Czołg stoi w Siekierkach. Domański, jak wróci, weźmie wnuczkę na kolana, coś przekąsi i usiądzie za biurkiem, po całym dniu roboty zbierze się sporo. Wieś ma ponad tysiąc mieszkańców i niech tylko co czwarty ma interes na poczcie, to i wystarczy.

Nad rzeką Rurzyca świat cały pachnie tego dnia świeżym chlebem. Wypiek się udał. Ten zapach jest jak symfonia i choć ją chwilami mokrym batem przetnie parę kropel deszczu, ten zapach dotrze do Garnowa i może tam, gdy pomiędzy chmurami zaświeci pszenny bochenek słońca, około 90-letni Jan Bęgowski, co mu w wojnę

kulka od krajanów z tej samej wsi, znaczy ze Stawczan, przedziurawiła prawe płuco i plasnęła w ścianę, popatrzy w wiosenne, ale nie za łaskawe niebo i powie: „Walków piecze, Mikołaj, zięć znaczy”.

Gdy Walków w Nawodnej piecze biały chleb, to jest tak, jakby zza chmurek „anieli grali” świętecznie, choć dzień jest powszedni. Weteran Michał Bęgowski, znaczy — szwagier, też z Garnowa, pociągnie nosem, no i powie: „Nie ma dwóch zdań, dziś znów Walków piecze świeży chleb”. Ten sam zapach poczuje może nauczycielka Jankina Klisowska, co teraz pracuje w banku w Chojnie, a z domu Janka Walków, i kiedy mąż Jan wróci z pracy w kombinacie w Krzymowie, odezwie się do niego: „Bierzemy Darka i małą, wsiadamy do syrenki i jedziemy, bo tata upiekł chleb”.

Takiego chleba nikt nie piecze, tylko Walków. A może nawet nie on sam (bo Walków to raczej nazwa „firmy”), lecz Zofia, jego żona, z domu Bęgowska: „Bo nam się nie opłaci chleba kupować, gdy czeladź większa w domu jest. No to i mamy swój domowy chleb i chleb ten wszyscy już jedli: i redaktorzy i sekretarze partii, i z Warszawy też i ze Szczecina, i biskup sam oraz księża. Piec mamy pod kuchenką, ooo! tam, choć u nas we wsi piekarz i cukiernik bardzo dobry i chleb smaczny piecze, tak że kiedyś nawet Niemcy zza Odry po ten chleb do naszej wsi przyjeżdżali, taki był dobry”.

Najstarsza córka, Danuta Owsianik, mieszkająca z mężem w domku z ogródkiem w Dobrej Szczecińskiej i pracująca w instytucji rolniczej w Szczecinie, też przyjedzie. Zapach tego chleba jest jak dobre wspomnienie rodzinnego domu, jest jak rodzinny dom, jak różne głosy rodu opowiadające sobie wieczorami powieści o tym, co kogo strzyka i gdzie kogo boli oraz jakie zbiory będą tego roku, jak pogoda dopisze, jak szepty dzieci, gdy doróśli już wyszepczą im dobranoc, jak chrobotanie znajomego kornika, jak przedwieczorny rejwach domowych jaskółek pod strzechą, jest jak to — dobre i niepowtarzalne, czego gdzie indziej, poza domem, poza tym rodzinnym domem nie ma.

Jej brat Mieczysław naprawia starą warszawę. Andrzejek, co dwa lata będzie miał w październiku, którego Maria właśnie dopiero co przebrała w czyste rajtuzki, pomaga ojcu smarować smarem jakieś łożysko. A potem drepcze do kurnika. I łaps! Ale kurczaki uciekają. I jeszcze jest Magdalenka:

„Andrzej wszedł do kurnika na gówna i łapał kulczaki”.

„Och, ja się mam! Mówi Maria Walków, żona Mieczysława. — Dopiero co go przebrałam”. Ale jakoś nie krzyczy, nie robi awantury, zwyczajnie. Niedawno Agnieszka, najstarsza (5-letnia) chorowała i było w domu Walkówów zmartwienie.

Podczas, kiedy Mieczysław grzebie w starej warszawie (ma do niej nowe blachy i wkrótce będzie jak nowa), Maria ugania się przy kuchni. Mieczysław przywiózł ją sobie z sąsiedniej wsi („No, no, nie wiadomo, kto kogo sobie przywiózł” — powie Maria), z Krzymowa. Jej ojciec, Mieczysław Gibowski, też jest specjalistą w hodowli. Gdy Mikołaj Walków z synami zabrał się do budowy wielkiej świniarńi, Gibowski w Krzymowie zaczął modernizować swoją. Tak się wtedy złożyło, że i Klisowski z Brwic, którego syn „ożeniony jest z Janiną”, co teraz mieszka w Chojnie i pracuje w banku, też w tym samym czasie zaczął budować się od podstaw. Z drugim zięciem, który został na gospodarce, Klisowski prowadzi hodowlę świń. Specjaliści. Tak się składa. Klan specjalistów. Ród włodarzy.

Drugi syn Mikołaja Walkowa, młodszy — Stanisław, którego parę lat temu ojciec i brat wspólnie rekomendowali do partii, w październiku będzie rok jak ślubował. Teraz też w obejściu zajęty jakąś tam mechaniką. Obaj po szkołach mechanicznych, więc sami sobie robią to, co inni reperują w POM czy w „Polmożbycie”. Żona Stanisława jeszcze dojeżdża do pracy w Chojnie. Ale niedługo już. Jest przecież w ciąży. Co będzie? Będzie syn czy córka? Jak by nie było, w Nawodnej przybędzie jeszcze jeden Walków.

Kiedy chłopaki pokończyli szkoły i wrócili z wojska do wsi tą drogą, która dalej już nigdzie nie prowadzi („Więc jeśli nie zawrócisz, to w niej zostaniesz?” (Michał Walków, który jakby stanął wtedy z tą gospodarką na rozstajnych drogach, pyta: „To jak będzie, chłopcy, będziecie gospodarować ze mną, rozszerzać gospodarstwo, czy chcecie iść do pracy w mieście?” Michał Walków myślał tak: mała gospodarka wcześniej czy później zniknie, więc trzeba się zdecydować — albo robić porządnie i z rozcymachem, albo nie robić. „Robić!” — odpowiedzieli synowie. To było mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Mieczysław był pierwszym sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, no i wtedy, gdy razem z ojcem rekomendowali do partii Stanisława. Michał Walków: „No i powiedzieli synowie: tato, będziemy bu-

dować. Wzięliśmy milion kredytu i pobudowaliśmy ładną chlewnię”. Pięćdziesiąt metrów długa i dwanaście szeroka, trzy rzędy klatek. Trzysta sztuk świń teraz rocznie sprzedają. Pasza własna, dokupują tylko trochę komponentów. 25 hektarów ziemi. Parę krów na własne potrzeby, aby nie stać w sklepie w kolejce po mleko, śmietanę i masło, czyli artykuły nabiałowe dla rosnącej gromadki dzieci.

W chlewni osiemnaście macior, wszystkie zaproszone. Obrót roczny — na razie — trochę ponad milion. Ale to dopiero od ubiegłego roku, bo w siedemdziesiątym ósmym jeszcze się budowali. Była już wtedy, owszem, ta mniejsza świniarńia, co ją Mikołaj z synami zbudował w siedemdziesiątym pierwszym, gdy córka Janina „w Chojnie ślubowała”. Ciągniki teraz i maszyny własne, oprócz kombajnu zbożowego, ale kombajnu nie chcą mieć, bo na własne potrzeby to za dużo, a na usługi u sąsiadów nie mieliby czasu.

Tak, w tym siedlisku rodu Walków zapach pieczonego chleba dość często łączy się z zapachem potu.

Gdy wstają rano do roboty, po wsi krążą zakładowe autobusy, zabierające ludzi do pracy. Rolników już niewielu. Większość to zasłużeni renciści, którzy otrzymują od państwa pieniądze za zdaną ziemię i wieloletni trud na roli. Ich dorosłe dzieci dojeżdżają do pracy w tuczarni w Barach, do Elektrowni „Dolna Odra”, do chemii w Podjuchach, do Żydowca lub Centrali Nasiennej w Gryfinie, albo do któregoś z zakładów w Chojnie. Jeszcze kilkanaście, a nawet kilka lat temu wielu z nich z tobołkami w rękach lub na plecach („Dziś to już nie honor, nie wypada, nie elegancko”) dojeżdżali do Szczecina ze świeżym domowym masłem („Krówka u każdego przynajmniej jedna była”), serem lub z jajami, albo drobiem. Teraz, po przyjeździe zakładowym autokarem z pracy, stają w miejscowym sklepiku w kolejce po niskoprocentowe mleko, żółty ser, czy masło śniadaniowe, jeśli dowiozą, nie mówiąc o wędlinie („Oby tylko była zjadliwa, bo jest taka czasami niezjadliwa, że chyba wytruć nią chcą całą gminę chojeńską”).

Większość z nich stała się klasą robotniczą mieszkającą na wsi („A my czujemy, jak coraz bardziej osacza nas ta miejscowość niewiele wspólnego mająca z rolnictwem, patrzymy, jak kurczą się chłopskie pola dookoła Nawodnej”).

Czasami któryś z młodych W. z zazdrością patrzy rankiem na tę drogę: bo oto on rusza do swojej chlewni, a tam na drodze człowiek przemykający „na piwko” do sklepu — ma wolny

dzień w fabryce, albo drugą zmianę, a może „chorobowe”, więc do południa postoi koło sklepu, a o dwunastej minut piętnaście wsiądzie do autobusu, pojedzie (sobie) do Chojny, tam znów postoi w barze „Pod Orczykiem”, po czym wróci o osiemnastej trzydzieści sześć pekaesem albo przed północą na piechotę, ostatecznie siedem kilometrów to nie tak znów dużo.

Siedlisko rodu Walków zatracza swój pierwotny charakter. Trudno dokładnie określić, czym jest dzisiaj. Wsią jeszcze? Coraz mniej, bo prawdziwych gospodarzy na palcach zliczysz. PGR-em też nie, choć wielu dojeżdża do pracy w gospodarstwach państwowych. Kolonią rencistów i emerytów? To tak. Oraz życiową poczekalnią dla tych, którzy próbują znaleźć swoje miejsce w przemyśle albo w miejskich biurach. Jak się to wszystko nakłada na ludzką świadomość? Jak wpływa na sposób życia i sposób bycia? Mikołaj Walków i jego synowie, synowie i córki oraz wnuki, cały ten wielki chłopski ród wraz z tymi wszystkimi familijnymi powiazaniami — oni wszyscy „bronią się” ciężką, ale dobrze zorganizowaną, celowo zaplanowaną i konsekwentnie realizowaną pracą, która wynika z ciągłego podejmowania nowych dla chłopów sposobów myślenia o tym, kim jest i jaką powinien obrać sobie rolę do spełnienia. W tym nie dającym się zdefiniować żywiole wsi — sypialni, wsi — poczekalni, jakim teraz jest Nawodna, oni znajdują dla siebie raczej rodzinne, społeczne i historyczne, bliskie polskiemu dziewiętnastowiecznemu pozytywizmowi i tamtym hasłom „pracy organicznej”. Trudna historia powojennych lat odbudowy, wypaczeń i budowy nowego, potem krótkie dzieje naszej stabilizacji, a następnie gospodarczych napięć okresu dekonstrukcji i zahamowań, odłożyły się warstwami różnej barwy i różnych znaczeń także w ich sposobach myślenia. Nie są ani romantycy, ani przebiegli. Nie zgorzkniali, choć nie skłonisz ich do pochopnego entuzjazmu. Krytycy wobec siebie i wobec rzeczywistości, potrafią dla niej znaleźć własne wewnętrzne motywacje i własną chłopską logikę uczciwej pracy. Walków w Nawodnej. Klisowski w Brwicach, czy Gibowski w Krzymowie — twardo trzymają się ziemi. Rody się spowinowaciły, powiazały przez córki i synów i to, co mają wspólnego wywodzi się z solidnego wysiłku i przywiązania do ziemi. Do tej ziemi i tutaj właśnie. Z niej czerpią całą tę swoją chłopską ideologię godziwego życia w honorze.

Mikołaj Walków o tę tutaj ziemię

walczył najpierw w radzieckim batalionie zwiadowczym, wraz z którym został okrążony i rozbity, a później w trzecim pułku artylerii I Armii Wojska Polskiego. Tam też był zwiadowcą.

Sołtys Karol Mazur za żonę wziął sobie żonę kolegi, który poległ w walce o Kołobrzeg. Jej (i jego przecież też) syn, który uczy się w szkole samochodowej w Chojnie, jeździ tam czasem na wojenny cmentarz. Sołtys, kiedyś żołnierz, dziś kombatant, też „wczepił” się w tę nawodniańską ziemię dużą nową świniami. Naczelnik poczty — Antoni Domański, który ostatnie tygodnie wojny przejeździł w tym sławnym, bo stojącym dziś na postumencie w Siekierkach czołgu numer 421 z 4 samodzielnego pułku czołgów ciężkich, podlicza: jeszcze parę lat temu miejsko-gminne koło ZBoWiD w Chojnie liczyło ponad trzysta członków, a teraz jest o kilkudziesięciu mniej. („W Barnkowie, gdy w jednym roku przyszło skreślić, czyli uaktualnić dokumentację, musieliśmy skreślić z ewidencji dwunastu członków, którzy zmarli.”)

Ta wieś starzeje się jak człowiek.

Czasami spogląda w przeszłość oczyma swoich staruszków i zdaje się (jak żywe) słyszeć oraz widzieć tamte odgłosy historii, która znalazła swoją syntezę w podręcznikach i wspomnieniach ludzi, choć ciągle jeszcze trzeba ją uzupełniać. Wieś słyszy jeszcze ów przyfrontowy klekot czołgów, może nawet jest wśród nich czołg numer 421, na który dziś wdrapuje się wycieczka dzieci z Białej Podlaskiej, może także odgłosy owego tańca słyszy: to ojciec dwóch synów, którzy szli w tej walce razem z nim, radości że wszyscy przeżyli, wbił karabin lufą w ziemię i tańczył dookoła taniec, jakiego nikt nigdy od początku świata nie wdział.

Do wsi szedł pierwszy polski sołtys.

Nazywał się Antoni Nadwodny. Z nim jego dwaj przyjaciele z obozu — Tadeusz Karmowski i Stanisław Raźniewski. Z Chojny dotarli pieszo. We wsi gospodarzyli Kozacy. Nadwodny zajął się organizacją całości spraw, a tamci dwaj utworzyli milicję. Ludzie wracali z obozów, niektórych udało się zatrzymać na dłużej i przekonać, że powinni zostać i już po paru dniach działała wspólna kuchnia oraz magazyn żywności, pierzyn i zbieranej odzieży. Przy młyńskim agregacie siedział żołnierz z karabinem i pilnował, żeby nikt „nie zepsuł” wiejskiej elektrowni. Ludzie zaczęli wychodzić do pracy w polu, krzątać się wokół własnych obój, a wieczorami tańczyć przy dźwiękach rosyjskiej harmoszki.

Latem do Godkowa zaczęły dojeżdżać pierwsze pociągi z repatriantami ze

wschodu. Ludzie ze łzami w oczach patrzyli na rumowiska. Nic nie zachęcało ich do pozostania. Nie wierzyli wójtowi Nadwodnemu, że w niedalekiej wsi życie toczy się już normalnie, tylko ludzi do roboty za mało. Więc wójt wsadzał ich po kolei na specjalne bryczki i wozil w charakterze delegacji, żeby się przekonali, że mówi prawdę. „(Z całym transportem tak przyjechaliśmy — powie później żona Mikołaja, Zofia Walków, wyjmując z pieca po kolei świeże bochny domowego chleba. — Całą parafią i z rzeczami kościelnymi nawet, ze wszystkim.)”

Gwarno zrobiło się we wsi. Wójt Antoni Nadwodny z grupą innych młodych wówczas ludzi dwoił się i troił. To samo we wsi Piaski nad Odrą robił starszy sierżant Siekierski, a w Krzymowie major Janusz Danisz.

Wieś w tym czasie była jednym z dwóch (obok Zielina) w byłym powiecie chojeńskim dużych i prężnych ośrodków wiejskich, gdzie i organizacja życia była lepsza, niż gdzie indziej. Stanowiła centrum dużego obszaru: latem lub wczesną jesienią 1945 zjechali tu delegaci z trzynastu okolicznych wsi (po trzech z każdej), żeby między innymi ustalić dla swoich miejscowości polskie nazwy. Ktoś wtedy wpadł na pomysł, żeby niemieckie z nazwy Nahausen przemianować na Nadwodną (N a d w o d n ą !), czyli zrobić prezent lubianemu i rzutkiemu wójtowi Nadwodnemu. I tak się stało. Gdy później propozycja dotarła do komisji w Poznaniu, która to komisja ustalała polskie nazwy dla przywróconych Polsce ziem nad Odrą, N a d w o d n a stała się N a w o d n ą. Komisja znalazła motywację dla takiej nazwy w fakcie, że wieś leży nad rzeczką Ru-

rzycą, czyli... jakby na to nie potrzył — nad wodą.

A wójt Nadwodny?

Wójt Nadwodny wyjechał później z rodziną z Nadwodnej do Chojny, podobnie jak dziesiątki innych rodzin, które zasiliły kadry młodej administracji i robotników. Zostali tacy, jak Walków i jego ród. Jak sołtys Mazur, albo jak naczelnik Domański.

Słoneczko wychyla się zza chmurki, chlebem świat pachnie aż po rzeczkę Rurzyce, trzecie pokolenie Walkówów (Andrzejek, który jesienią będzie miał pełne dwa lata) tyła się w smarach, drugie pokolenie (Stanisław, czyli wuj Andrzejka) mociuje się z jakimś żelastwem przy wielkiej świniami, pierwsze pokolenie (weteran Mikołaj) frasuje się tymi cholernymi wiosennymi deszczami, z powodu których nie można na czas sprzątnąć siana z łąk, a w tym samym czasie weteran spod Kołobrzegu, sołtys Karol Mazur sprawdza i nie mu nijak nie pasuje. Oszukali go w POM na prawie osiem tysięcy. To tyle, co „im zbił”, czyli udowodnił, że nie zrobili. Jeszcze mu się wydaje, że za dużo zapłacił, tyle że nie wie, z której strony by się do tego zabrać, a oni mówią: „A biuro za co utrzymamy?” A żeby takich złodziei szlag trafił — mówi.

A srebrnie muzyczna pani Aleksandra w okienku na poczcie w milczeniu przygląda się chłopcu, który wypełnia kupon toto-lotka. Sniło mu się, że wygrał milion, więc teraz chciałby wygrać naprawdę. Tylko jak? Pszenney bochenek słońca wychyla się zza chmurki i pachnie domowym wypiekiem.

Reportaż nagrodzony w 1980 r. w konkursie „Głosu Szczecińskiego” pn. „Morze i Ziemia”.

Fot. W. Jabłoński



## NA OSIEDLU SŁONECZNYM NIE MA SZKOŁY

„To jest to, o czym marzą urbaniści, zwłaszcza wtedy, gdy jedynym normatywem, który myśl twórczą ogranicza, jest zdrowy rozsądek. I taki był warunek konkursu. Konkurs zrodził dzielnicę Słoneczną. Dzielnicę Słoneczną przyniosła wawrzyn zwycięstwa zespołowi architektów. Zespołem kierował inż. arch. Romuald Tarabicki. Dzielnicę Słoneczną: piękna nazwa i równie piękna wizja. Wszystko niemal w zasięgu ręki. Do szkoły najwyżej pięć minut drogi, tyle samo do przedszkola i sklepu, nie dalej do parkingu i garażu. Do parku, na stadion, basen raptem dwa razy tyle — nie więcej niż 10 minut, praca odległa najwyżej o pół godziny”.

Oto jak kiedyś mówiono i pisano o Osiedlu Słonecznym. Cytat pochodzi z wywiadu udzielonego tygodnikowi „Czas” w roku 1975. Nie zamierzam tej sielankowej wizji przedstawiciela naszej władzy konfrontować z rzeczywistością Słonecznego, którą ogranicza — jak dziś wiadomo — tysiąc absurdalnych normatywów. Interesuje mnie w tej wypowiedzi tylko jedno zdanie: „Do szkoły najwyżej pięć minut drogi” (...).

W obecnym stadium budowy osiedla mieszka tam już około 1500 uczniów. Za dwa lata będzie ich 5000. A szkoły tu nie ma i nie widać jej w najbliższej perspektywie czasowej. Odium tego karygodnego faktu póki co spada czasem ciężarem na barki nauczycieli dwóch sąsiednich szkół — nr 59 w Klęskowie i nr 65 w Zdrojach. Zajrzyjmy tam.

Szkoła nr 59 w Klęskowie. Właśnie dzwonek oznajmia koniec przerwy. Rozwrzeszczany ul powoli cichnie. Dyrektorka — Wanda Kowalczyk wydaje jakieś polecenia w sekretariacie i chyba szykuje się do wyjścia. Okazuje się, że jest na zwolnieniu lekarskim, ale uważa, że nie może sobie pozwolić na chorowanie w domu, przychodzi do szkoły chociaż na trochę.

Tak, mamy bardzo ciężką sytuację — mówi. — Dotychczas uczyły się u nas dzieci z Klęskowa i Kijewa. Teraz doszło około 500 dzieci z Osiedla Słonecznego. Chodzi przede wszystkim o dzieci młodsze, bo starsze kończą rok szkolny w swoich szkołach w mieście, gdzie naukę rozpoczęły przed przeprowadzką na osiedle. Nasze klasy młodsze więc zagęściły się do 45, 47, 48 uczniów. Z trudem ich mieścimy w nieprzystosowanych do tak licznych zespołów klasowych izbach. Ponadto nie otrzymałam ani jednego dodatkowego etatu. Grono pedagogiczne więc jest ponad miarę przeciążone pracą. Ale także dojazdami, fatalną komunikacją. W godzinach szczytu na przykład, autobusy zamiast kursować co dziesięć minut zgodnie z rozkładem jazdy, pojawiają się na przystankach co 40, 50 minut. Czy można się dziwić, że w tej sytuacji nauczyciele chorują? Każdego dnia kilkoro jest na zwolnieniu.

Wpraszam się na lekcję do klasy II b. Nauczycielka — Stanisława Szewczyk — prowadzi matematykę. Klasa jest zastawiona ławkami do ostatniego metra. Jeszcze troje siedzi przy stole nauczycielki, a jeden chłopczyk na jakimś dziwnym siedzisku koło drzwi, przy czym tyłem do nauczycielki, bo nie ma innej możliwości. — Kilka minut potrzebuję — zwierza się nauczycielka — na uci-

szenie dzieci, zmuszenie ich do koncentracji, uwagi. Na sprawdzian poprzedniej lekcji, kontrolę zadania domowego i przerobienie nowego materiału pozostaje mi około 35 minut. To chyba nie wymaga komentarza. Musi się taka sytuacja odbijać na procesie dydaktycznym. Mam codziennie siedem, osiem lekcji, gdy wypada mi jeszcze dyżur na przerwie, do domu wracam zataczając się ze zmęczenia. A przecież tam czekają na mnie dalsze obowiązki, obowiązki wobec rodziny.

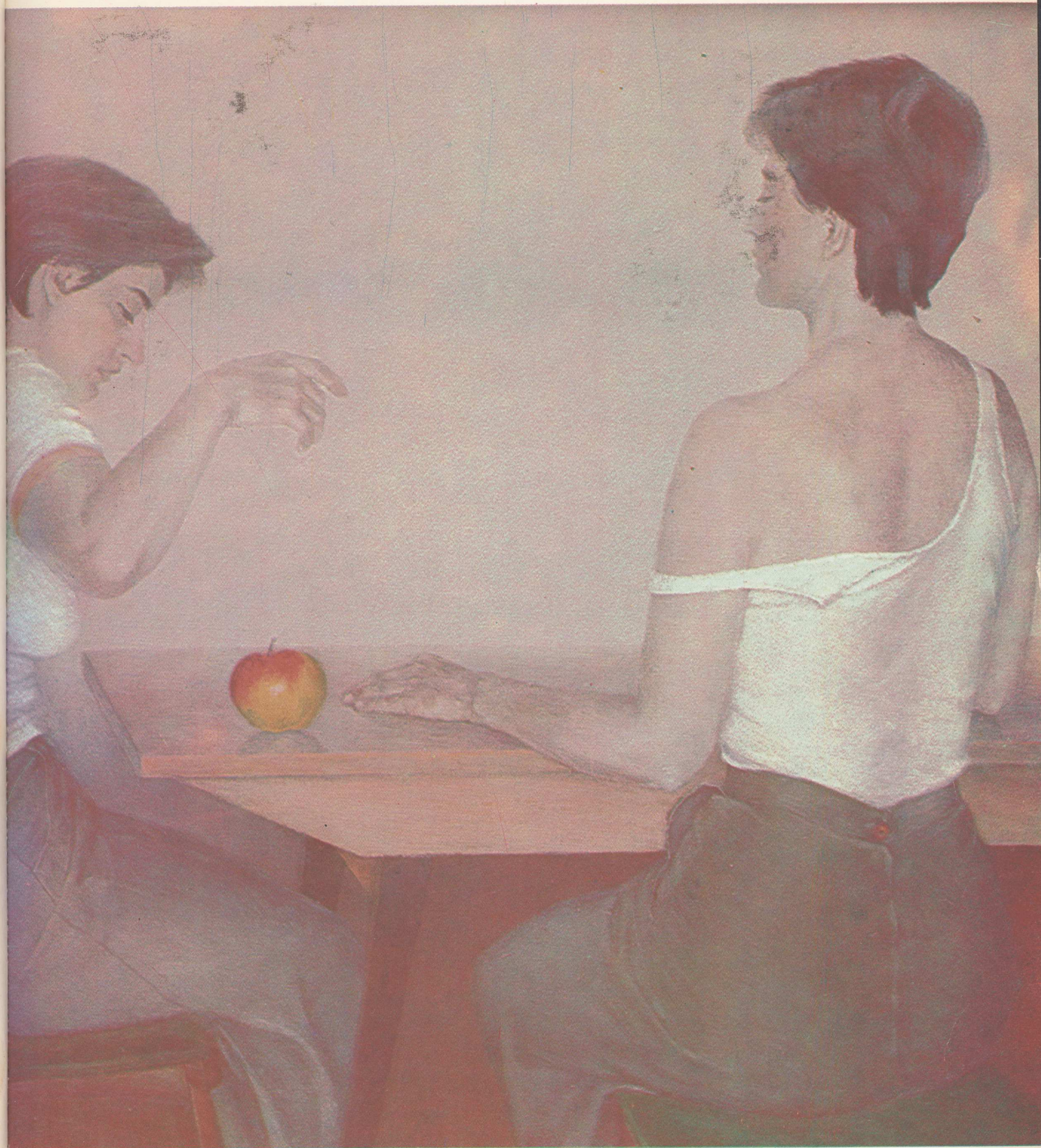
Czym prędzej się wycofuje, by nie zabierać drogocennego czasu. Na korytarzu spotykam Edwardę Połęder — wychowawczynię klas IIa i IIb, w których razem jest 93 dzieci. Pracuje ona tygodniowo 46 godzin, zamiast zgodnie z normą 26. — Teoretycznie można by więcej niż 35 dzieci do klasy nie przyjmując — stwierdza. — Ale przecież same jesteśmy matkami, jak możemy odmówić innym, które przychodzą do nas i błagają, żeby zapisać jeszcze tylko to jedno dziecko...

Jadę do szkoły nr 65. Sytuacja jest tu podobna zupełnie do opisanej w szkole sąsiedniej. — Najgorzej z klasami starszymi — mówi jedna z nauczycielek — gdzie jest fizyka, chemia, zajęcia techniczne. Nie sposób tak licznych klas podzielić na grupy i zainspirować dzieci do samodzielnej pracy, przeprowadzania ćwiczeń i doświadczeń. To po prostu niebezpieczne. Osobiście ograniczam się do wykładu. Moje koleżanki podobnie. Czasem tylko coś demonstruję. Ale przede wszystkim patrzę, czy wszyscy żyją. Tak, to jest moja główna troska. Proces dydaktyczny, jego intensywność czy efektywność schodzą na drugi plan. W całych Zdrojach — dodaje druga nauczycielka — stołówka w naszej szkole jest jedynym miejscem, w którym dzieci między godziną siódmą a szesnastą, zanim matki wrócą z pracy, mogą się posilić. Nie ma tu ani baru, ani bufetu. Ale ostatnio i nasza stołówka zaczyna nie dopisywać, bo jedyny sklep spożywczy w tej dzielnicy odmawia nam sprzedania nabiału tłumacząc, że nie starcza go dla klientów indywidualnych.

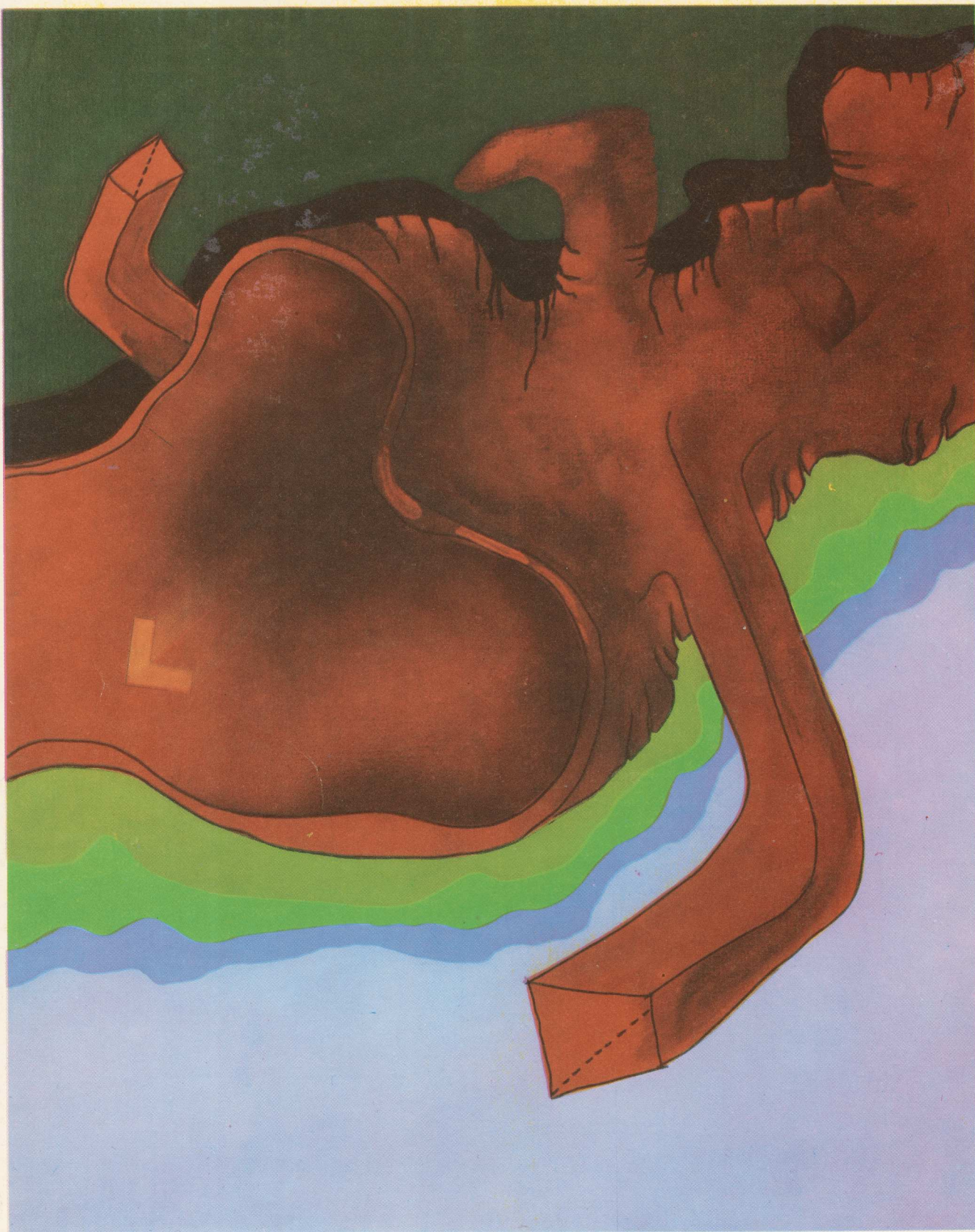
Jeszcze bardziej skomplikowaną sytuację przyniósł nowy rok szkolny w Zdrojach. Zgodnie z postanowieniami Wydziału Oświaty i Wychowania UM w Szczecinie, który dwoi się i troi, żeby jakoś ratować tę nie zawinioną przez siebie sytuację, w szkole zorganizowano aż 6 grup dzieci przedszkolnych i 6 klas pierwszych. Tylko na zajęcia z 6-latkami trzeba było wykroić w harmonogramie szkoły aż 15 godzin dziennie. W związku z tym klasy szóste, siódme i ósme muszą być dowożone autobusami do Klucza, gdzie znajduje się jeszcze jedna w pobliżu miasta szkoła, która nie ma nadkompletu uczniów.

Zaniedbania w bazie szkolnej naszego miasta nie zaczęły się na Osiedlu Słonecznym. Nawarstwiały się one przez wiele lat. Właściwie sytuacja pogarszała się z wybudowaniem każdego następnego osiedla, gdzie z reguły pomijano inwestycje szkolne. Obecnie, żeby przynajmniej częściowo złagodzić tę braki potrzeba naszemu miastu, już w tej chwili, dosłownie od zaraz 12 szkół; po dwie szkoły na Słonecznym i Klonowica, po jednej na Majowym, Kaliny, Książąt Pomorskich, Arkońskim, Hetmańskim, Przyjaźni i ul. Smolańskiej. Każdy rok zwłoki w uzupelnianiu na osiedlach inwestycji szkolnych oznacza błyskawiczne i nieuchronne zbliżanie się do momentu, w którym już ani jeden uczeń więcej nie zmieści się w żadnej ze szczecińskich szkół. W związku z tym ku przestrodze odpowiedzialnych za obecny i przyszły stan szkolnictwa w Szczecinie pozwolę sobie zacytować Artykuł 61 Konstytucji PRL:

„Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do nauki. Prawo do nauki zapewniają w coraz szerszym zakresie powszechne, bezpłatne i obowiązkowe szkoły podstawowe.”



KAZIMIERZ DREJAS — „Przy stole IV” — olej, płótno.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski



BOHDAN WALKNOWSKI — „The Danger” — akryl, płótno.  
Z X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Fot. W. Termanowski



ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI

morze — falujący krajobraz

(fragment)

przyniesiono mi muszlę o zapachu miodu:  
posłuchaj jak morze śpiewa sen rybitwom  
jakim czułym gestem przywołuje górną  
falę

ile cierpliwości ma dla gniewnych  
oceanów:

niewidomym palcem śledziłem spiralny  
kształt fali biegnącej do krawędzi linii  
które buduje pejzaż morski  
jako czarny zwój płótna nocą haftowany  
jako psalm zmierzchu nucony półszepceniem  
jako odległe wołanie w dzieciństwie  
zgubione

morze jest olbrzymią kroplą  
ukrytą w bursztynowym pierścieniu  
ale dla mnie  
ma kształt echa odbitego od ściany  
kosmosu  
któremu nikt nie wyznaczył granic  
wolności  
ani skazał na samotność istnienia

uczę się z doskonałych form muszli  
poznawać łagodność brzegów słonych  
którymi biegną w głąb nocnych pejzaży  
stada chmur przebudzonych burzą

morze oplakuje samotność człowieka

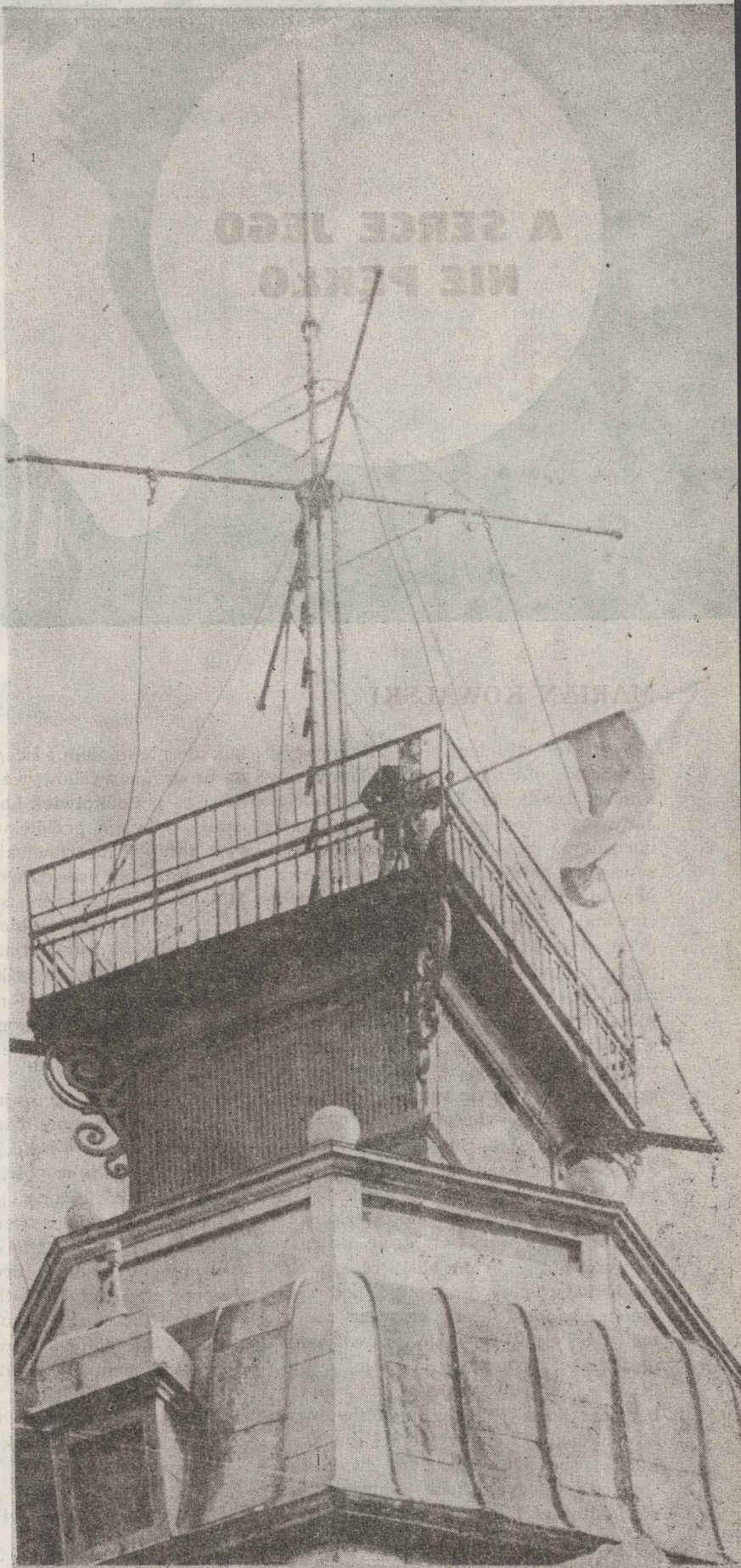


Foto S. Cieślak

## A SERCE JEGO NIE PĘKŁO



### MARIAN KOWALSKI

Nigdy nie umiałem sobie niczym wytłumaczyć, dlaczego nie mieszkamy razem z dziadkiem Fabianem i babcią Jadwigą. Z tego właśnie powodu mama nieraz robiła ojcu wyrzuty, ale zawsze w którymś momencie rozmowa urywała się, my zostawaliśmy nad stawami, a dziadkowie mieszkali na przedmieściu Milicza, w Karłowie, w pięknym małym domku między brzożami, w którym co roku spędzałem kilka dni letnich, a także zimowych wakacji. Dziadek na powitanie całował mnie siarczyście, na policzkach czułem jego twarde sumiaste wąsiska, a babcia długo głaskała mnie po głowie i szeptała: — Moje ty biedactwo. Zdaje się, że w opinii babci nie tylko ja byłem biedactwem, ale każde stworzenie za życia, a po śmierci szczególnie. Jej słowa wzruszały mnie, ile razy je słyszałem — byłem bliski płaczu. Na szczęście w porę brał mnie pod swą opiekę dziadek, który krzyżując mi w ucho, że zrobi ze mnie prawdziwego mężczyznę, prowadził do stajni i pytał: — „No, a w tym roku, na którym będziesz jeździł?” Nie wahając się długo, bo dziadek był cholerykiem i nie lubił ludzi ospałych, musiałem wybierać spośród stojących koni jednego, którego odąd pielęgnowałem, a w nagrodę można mi było na nim od czasu do czasu usiąść (tak, to jest najlepsze określenie!) i zrobić kilka metrów kłusu po podwórku. Prawdę mówiąc — nie lubiłem koni, a jeszcze mniej dosiadania

ich, ale nie miałem odwagi wprowadzać do programu wychowywania mnie przez dziadka jakichkolwiek korekt, tym bardziej, że byłem przeświadczony o dobrych intencjach człowieka, który chciał ze mnie zrobić prawdziwego mężczyznę. Moja była wina, że mu się to nie udawało, bo zawsze wybierałem szkapę najpocziwiej wyglądającą, a dziadek rad nierad wzdychał tylko i odchodził. Ale kto wie czy dzięki mojej przezorności, a dziadka zasądom niewpływnia na mój wybór, nie zawdzięczam życia?

— No, a tym razem jakiego wybierzesz? — spytał mnie dziadek w stajni. — Wyrosłeś w tym roku, będziesz mógł jeździć na koniu w pole, nad staw.

Jaskółki zawieszono u gniazd zawierkały drwiako, konie parsknęły pogardliwie, wierzgnęły kopytami. Wszystkie wyglądały zdrowo i niebezpiecznie. Niestety. Matki przestroga podczas rozstania, bym uważał na siebie, w tym momencie wydała mi się szczególnie cenna i godna pamięci.

— Nie ma Baleriny? — spytałem, rozglądając się zawiedziony po stajni, wypatrując chabety, na której kościach rok temu tłułem tylek.

— Lubilem ją.

— Zdechła ze starości — mruknął dziadek.

Wyciągnąłem z kieszeni spodni kostkę cukru i podsunąłem pod pysk najbliższemu stojącemu kasztankowi. Lekkie, prawie pieszczotliwe dotknięcie wilgot-

nej wargi nieco uspokoiło mnie i nabrałem przekonania do tego konia. Dziadek ucieszył się moim wyborem.

— Oho, widzę, że naprawdę dorosłeś. Nie patrzysz już na chabety, walały, wybierasz prawdziwe rumaki.

Oczywiście drwił ze mnie, bo przecież w stajni zdychających szkap nie było, więc co miałem wybierać? Zrobiłem jednak dobrą minę do złej gry, klepałem kasztanka po łbie, podałem resztę cukru.

— No, Obrotny, oddaję cię w dobre ręce — podwiedził dziadek do konia, podrapał go delikatnie po szyi, uśmiechnął się do mnie i poszedł do swoich dyrektorskich zajęć.

Dziadek Fabian u moich rodziców nie cieszył się dobrą opinią. Uchodził za człowieka nieodpowiedzialnego. Zdaje się, że rodzice nie bez powodu tak o nim myśleli. Przed wojną był właścicielem tartaku, cegielni, potem znów tartaku, zawsze stając na krawędzi bankructwa. Kiedy do Jutrosina, gdzie miał tartak, weszli hitlerowcy — otrzymał polecenie budowy mostu na Orli, rzecze niewielkiej, przez którą miały przejść suchą stopą oddziały wojskowe. Niestety, pod pierwszymi piechurami most załamał się i dziadek został podejrzany o sabotaż. Z trudem się obronił przed sądem. Wywieziono go do Guberni, gdzie w Garwolinie pracował w cukrowni, chyba najmniej wydajnej cukrowni na świecie. Po wojnie został na Ziemiach Odzyskanych właścicielem

tartaku, niestety szybko zbankrutował. Po pewnych ustępstwach wobec władz, publicznym wyrzeczeniu się kapitalistycznych ciągotek, zaproponowano mu kierownictwo gospodarstwa rolnego. Gospodarstwo to nigdy nie dało państwu dochodu, przeciwnie — przynosiło straty, ale dziadek nie zrezygnował ze stanowiska, mówił, że gdzie indziej jest jeszcze gorzej. I chyba miał rację, skoro jego stanowisku nic nie zagrażało.

Rodzice, szczególnie moja mama, przewidywali najgorsze. „Przecież on — mówiła o dziadku — nie ma pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa rolnego! Wcześniej czy później czeka go więzienie!”. Tymczasem dziadek, który naprawdę o rolnictwie miał bardzo mgliste wyobrażenie, cieszył się wolnością, dobrym zdrowiem, a nade wszystko świetnym humorem. „— Widzisz, szkrabie — mówił do mnie. — Twój ojciec nigdy mnie nie słuchał i dlatego niczego w życiu nie osiągnie. Zawsze mu radziłem, by umiał sobie zjednywać ludzi, a on robi wszystko, by ich do siebie zrazić. Dlatego jest tym, kim jest!” Domyślałem się, że dziadek nie jest zadowolony ze swego syna, oskarża go nie tylko o brak umiejętności współżycia z ludźmi, ale i o zbyt skromne ambicje zawodowe. Cóż, ojciec był tylko stawowym, to tyle samo co stróżem stawu rybnego, gdy dziadek — dyrektorem. Nic więc dziwnego, że mój pobyt u dziadków w Karłowiu miał bogaty program wychowawczy. Dziadek z babcią uczyli mnie ambicji oraz umiejętności wyróżniania się wśród rówieśników. Nauka jazdy konnej wchodziła w zakres wakacyjnej edukacji.

Niestety, wybrany przeze mnie rumak najwidoczniej nie podzielał stanowiska dziadków i daleki był od przyjscia mi z pomocą w wyniesieniu mnie ponad głowy innych. Nawet ze stajni mnie nie wyniósł. Kiedy skończył się cukier, wdrapałem się na grzbiet Obrotnego, ale nie zdążyłem go mocniej objąć kolanami i schwycić się grzywy, gdy zrzucił mnie w żłób z obrokiem.

— Po takim upadku — pouczał mnie dziadek — jedni poddają się i odtąd dosiadają chabet, inni przeciwnie: robią wszystko, by udowodnić, że krwisty rumak właśnie jest dla nich. Pierwsi nie mają woli, ambicji, godności, a drudzy — mają.

Dziadek poradził mi, bym Obrotnego przyzwyczajał do siebie powoli. Więc karmiłem go cukrem, podrzucałem mu suchą słomę pod kopyta, chędożyłem, brałem za cugle i oprowadzałem po podwórku, a także po polach aż do

lasu. Obrotny przyjmował te dowody troski o niego chętnie, od czasu do czasu skubnął mnie za łokieć, wargami musnął moje ucho, ale na tym jego życzliwość do mnie kończyła się. Wciąż grzbiet Obrotnego był dla mnie szczerem nieosiągalnym.

— To jest najdumniejszy koń z wszystkich koni, jakie znam — pocieszał mnie dziadek. — Jest młody, jeszcze nigdy nikogo nie niósł na swym grzbiecie. Ma wielkie mniemanie o sobie. Myśli, że jest Bóg wie kim, ale ty mu powiesz, kim jest, prawda? Tylko delikatnie, bo on jest nadzwyczaj wrażliwy. Nigdy go nie bij. Moje serce, by pękło gdybym wiedział, że go bijesz.

Dzień mego porozumienia z Obrotnym wciąż był dość odległy. Wydręptaliśmy z nim wyraźną ścieżkę przez pola do lasu, zjadł z mojej ręki kilka kilogramów cukru, na dłoniach miałem pęcherze od wideł, którymi wyrzucałem gnój i znosiłem słomę, a on wciąż nie zmieniał swego stosunku do mnie.

— Batem go, batem! — radzili robotnicy rolni.

Jednak dziadek uważał, że podchodzenie do Obrotnego z batem byłoby sprzeczne z zasadami gry między mną a koniem.

— Do Obrotnego — przestrzegał mnie — nie wolno podchodzić jak do przestępcy. To szlachetny koń. Serce, by mi pękło, gdybym wdział, że zadajesz mu ból.

Kochałem dziadka, nie chciałem mu sprawić bólu, więc do Obrotnego podchodziłem z jak największą ostrożnością, by nie urazić jego końskiej dumy, a on z wdzięcznością szczypał mnie w ramię, trącał w plecy, parskał przyjaźnie w ucho. Lecz dosiąść swego grzbieca nie pozwolił. Każda próba przełamania jego niechęci do jeźdźców koń-



czyła się klęską: łądowałem w obroku, a potem długo otrząpiałem się ze słomy, wyciągałem z włosów źdźbła, plutek sieczką.

Po tygodniu prób zdobycia sympatii Obrotnego, obtłuczony, na kilometr śmierzący stajnią, zwątpiłem w zdolności ujeżdżania koni, zgodziłem się, by podobnych doświadczeń z Obrotnym doznali moi rówieśnicy z Karłowa. Pozwalałem więc wdrapywać się im na grzbiet Obrotnego, a potem z satysfakcją patrzyłem, jak lecą tam, gdzie tyle razy wcześniej już leżałem.

W Karłowiu powstał mit Obrotnego. Mówiło się o nim z największym szacunkiem i nikt Obrotnemu nie odmawiał prawa do bycia takim, jakim był i nawet przez myśl żadnemu z nas nie przeszło, by użyć przeciw niemu siły. Obrotny kłusował więc sobie wśród gromadki podrostków wolny, bez jakichkolwiek obowiązków, nieujarzmiony. Czułem, że lubił nasze towarzysztwo, bo nie w stajni, a właśnie wśród nas był kimś. Przebiegaliśmy z nim przez pola, potem drogą leśną do polany z kościółkiem św. Anny, wzdłuż strumienia na łąkę z ruiną domu starców, nad staw. Tu Obrotny wchodził po kolana w wodę, pochylał się nad lustrem stawu otoczonego białymi baldachimami szuwarów, złotymi gwiazdami jaskra i chciwie pił. Czekaliśmy cierpliwie, aż zaspokoi swe pragnienie, potem zanurzy się w wodę aż po łeb, przepłynie na drugi brzeg, by wytarzać się na trawie. Kiedy płynął, towarzyszyliśmy mu z obu stron jak straż przyboczna, a potem tarzaliśmy się po zieleni z pasją ludzi wyzwalających się z niewoli cywilizacji. Obrotny pierwszy stawał na cztery nogi, my zaraz po nim i jak na umówiony znak pędziliśmy do wsi.

Dziadek i ja bardzo byliśmy dumni z Obrotnego, a cała wioska uważała, że w pełni mamy do tych uczuć prawo.

— Ten koń — mawiała do mnie babcia — ma duszę twego dziadka. To sprytny koń, nie poddaje się tak łatwo. Ale chyba jakaś metoda na niego być musi. Pomyśl.

Dziadek uśmiechał się, podkręcał sumiastego węża i w ten sposób wyrażał zgodę na opinię o sobie.

— Gdyby twój ojciec — powiedział mi kilka minut później — miał tyle sprytu co to czworonożne zwierzę, żyłoby się wam inaczej.

Żał mi było ojca, który nie cieszył się uznaniem dziadka, ale nie chciałem go bronić, bo byłem jeszcze za głupi, aby wdawać się w dyskusje o ludzkich charakterach.

Pod koniec lipca dziadek otrzymał wiadomość o planowanym przyjeździe do Karłowa na kilka dni swoich zwierzchników. Ponieważ wśród gości miały być także kobiety i dzieci, dziadek szybko domyślił się, jaki jest cel tej wizyty. Późnym wieczorem po kolacji usiadł przy biurku i zaczął szkicować program kilkudniowego pobytu zwierzchników z rodzinami.

— O rozrywki tu trudno — ocenił sytuację rano. — Grzyby, przejażdżki konne, spacer po lesie, nad staw... No i oczywiście dobre posiłki, mocne trunki. Dla nich to niewiele, za to my się nabiegamy.

Dzień zaczął się od wydawania dyspozycji personelowi biura gospodarstwa. W południe prawie wszyscy byli zajęci przygotowaniem pokoi, sprzątnięciem obejścia i obór, wypiekaniem pieczywa, zarzynaniem drobiu. Z wozowni wyciągnięto dwie bryki, oczyszczono je z kurzego kału, wysmarowano niektóre drewniane części olejem słonecznikowym, na siedzenia położono koce. Kowal podkuwał nowymi podkowami konie, pastą smarował kopyta.

— Wszystko musi lśnić na medal! — powtarzał raz po raz dziadek.

— A nad sprawozdaniami nie posiedzisz ani chwili? — dopytywała się babcia. — Mogą zajrzeć do nich.

Dziadek lekceważąco machnął ręką.

— A będą mieli na to czas?

— Z nimi nic nie wiadomo.

— Wiadomo, wiadomo — uspokajał ją dziadek — Nie przyjeżdżają po to, by się martwić nierentownością gospodarstwa. O tym, jak jest, wiedzą. Oni chcą się zabawić, zapomnieć o nierentowności wszystkich innych gospodarstw, za które odpowiadają.

Nazajutrz rano dziadek całe podwórko kazał wysypać żółtym piaskiem, przed dom wyniesiono olbrzymie donice z kwiatami, a w pokojach gościnnych aż oddychać było trudno od zapachu ciętych ogrodowych kwiatów.

W południe na podwórze wjechały dwa samochody z gośćmi. Dziadek wybiegł z domu, dopadł jednego samochodu, skłonił się nisko, podbiegł do drugiego, pochylił się pokornie. Wyszła na próg domu babcia, otworzyła szeroko ramiona, jakby witała najdroższych krewnych. Z obór powychodziły robotnice w białych fartuchach, ze stajni chłopcy poprzebierani za dżoków.

— Och, jak tu ślicznie — zachwycały się kobiety wysiadające z samochodu. — Czy ci chłopcy potrafią strzelać z batów?

— Dziadek udał, że nie słyszy pytania, lecz po wyjeździe gości nakazał nam uczyć się strzelania z batów.

— Och, co za wspaniałe jedzenie! — podziwiała kobiety obiad przygotowany przez babcie. — Czy to mięso z bażantów?

Niestety, były to kurczaki.

— Powinien pan założyć bażantarnię. Przed wojną przy większych dworach były. Czytałam. Ale lepsze jest mięso wolno żyjących.

Mężczyźni poparli ten wniosek i po wyjeździe gości dziadek polecił urządzenie bażantarni, budowę w polu remiz, nawet mianował jednego z kombatanów ostatniej wojny bażantnikiem.

Po obiedzie dziadek zaproponował gościom przejażdżkę do lasu, gdzie na polanie czekali na nich z chłodnymi napojami i pieczywem.

— Jak cudownie żyje się na wsi! — wykrzykiwały kobiety. — Tyle tu świeżego powietrza!

A dziadek:

— Łaskawa pani raczy zauważyć, że żyje się tak od niedawna, dopiero od zakończenia wojny, gdy lud wziął władzę w swe ręce.

— Tak, tak — zgodziła się łaskawa pani. — Gdyby nie rewolucja, kto wie czy mój mąż nie pasłby dziś krów.

Mężczyzna, o którym była mowa, spojrział na żonę z wyrzutem, a dziadek uznał za stosowne udawać, że nie słyszał tej wypowiedzi.

Drugi dzień pobytu gości zaczął się od śniadania w ogrodzie, na trawie. Panie były w jasnych sukniach, panowie w lekkich letnich garniturach. Gwarzono wesoło, dowcipkowano. A potem dziadek poprosił towarzystwo do bryk i powiózł w las. Obok koni idących w zaprzęgu biegł Obrotny, nieujarzmiony i dumny, zmienny jak wiatr, raz po raz wyrzucający przednie kopyta w górę, jakby chciał latać.

— Piękny koń — zauważył jeden z mężczyzn, właśnie ten, który gdyby nie rewolucja, pasłby krowy. — A znam się na koniach, bo w młodości miałem z nimi bliski kontakt. Nie było konia, którego nie potrafiłbym dosiąść.

— Tego nie radzę — ostrzegł dziadek.

— Dlaczego?

— Każdego zrzuca.

— Taki dumny?

— Ma swą godność.

Mężczyzna skinął na znak zrozumienia głową.

— Koń współżyje z człowiekiem, więc pewne cechy wykształcone przez to współżycie dziedziczy. I tak na przykład konie dziedziczą posłuszeństwo wobec człowieka, ambicję pociągową. A więc mogą i godność dziedziczyć, końską dumę. — Mężczyzna uśmiechnął się. — Ale i na nią jest sposób.

— Kochanie — odezwała się jego małżonka — chcesz powiedzieć, że potrafiłby dosiąść tego konia?

— Oczywiście.

— Nie wyobrażam sobie ciebie na koniu. Chociaż, może...

— Dosiądę go w każdej chwili!

— Daj spokój, jeszcze spadniesz i zrobisz sobie coś złego.

Mężczyzna roześmiał się hardo.

— Nie tak łatwo mnie zrzucić.

Bryki wtoczyły się na polanę, panie poszły nad strumień zmoczyć chusteczki i zwilżyć twarze, mężczyźni otoczyli Obrotnego. Dziadek trzymał go za uzdę i prosił, by nikt nie narażał życia, bo z Obrotnym to nic nie wiadomo i lepiej nie ryzykować.

Mężczyzna, który gdyby nie rewolucja pasłby dziś krowy, chwycił za uzdę Obrotnego, poklepał go po karku.

— Cukier pan ma? — zwrócił się do dziadka.

Dziadek podał mu kilka kostek cukru, a tamten podsunął je na swej dłoni pod łeb Obrotnego.

— Pierwsze lody przełamane.

— On cukier zje, ale wcale przez to lepszy nie będzie — ostrzegł dziadek.

— Jak już z ręki je, to dobrze — cieszył się tamten.

— Nie wolno mu ufać.

Obrotny dopuszczał do spoufalenia, dał się pieścić, stał spokojnie nawet wtedy, gdy podeszły kobiety i patykami na odległość sprawdzały czy ma wszystkie zęby.

— Kochani! wykrzykiwał mężczyzna przy uździe Obrotnego. — Za chwilę zademonstruję wam sztukę ujeżdżania konia.

Dziadek stanął przy Obrotnym ze złożonymi rękoma, a tamten położył na rękach dziadka lewą nogę, a potem przeniósł prawą nad grzbietem konia. Niestety, nikt nie mógł docenić sprawności dosiadania, bo niemalże w tym samym momencie, gdy jeździec siadał na grzbiecie Obrotnego, koń raptownie uniósł tylne kopyta i jeździec wylądował przed jego pyskiem.

Mężczyzna podniósł się, podbiegł do bryki, wziął bat, zbliżył się do Obrotnego, w lewą rękę ujął lejce, a prawą wyznaczał karę zwierzęciu, które nie było posłuszne jego woli. Pozostali również dołączyli się do wymierzania kary. Bili, ile się dało. Kobiety patykami, mężczyźni wzięli paski od spodni. Zaskoczony tym atakiem niechęci do niego koń stał zdezorientowany, ogłuszony, a jego skórę najpierw znaczyły pręgi, potem pojawiły się na niej krople krwi.

Dziadek stał z boku

Nic nie mówił.

A serce jego nie pękło.

ZBIGNIEW  
KOSIOROWSKI

# KAES

W sobotę Pętlę wezwano do lekarza. O piątej nad ranem, na pół godziny przed śniadaniem. Kawa mi wystygnie, pomyślał. Na korytarzu, przy balustradzie, czekali dowódca zmiany i ten drugi od przechodzenia tajemnym przejściem. Butów nie kazali zakładać. Mieli iść przez piwnicę. Wreszcie zobaczy miejsce, którym przedostaje się tu ten milczący strażnik. Schody na dolny korytarz były jasno oświetlone tak, że jeszcze wyraźniej niż zwykle widział naleśnikowaty grzyb pod sklepieniem. Dowódca otworzył drzwi do piwnicy, mówiąc: — Ostrożnie, tu są strome schody. Niżej panował półmrok. Zeszli na dół. Na końcu korytarza po prawej i lewej stronie zauważył wejścia do cel. Czyżby tu przyjmował lekarz?

— A może chciałbyś przedtem porozmawiać z księdzem? — zapytał dowódca.

— Z księdzem? Prowadzony przez oddziałowego, szedł machinalnie w stronę celi. W środku, na taborecie, siedział siwy mężczyzna w sutannie. Skazany mimowolnie zwrócił uwagę, że podłoga jest pokryta zielonym linoleum. Zupełnie taka sama, jak u mnie na górze... Stał teraz przed drewnianym łóżem, wmontowanym w betonowy postument. Więc tu jest twarde łóżo dla kaesiaków? Szkoda, że wcześniej nie sprawdziłem, jak się na nim sypia?

Jeszcze niczego nie pojmował. Lekarz... Po co? Może po to, by sprawdzić głowę. Faktycznie bolała go coraz mocniej i zgłaszał te dolegliwości oddziałowemu. Ale nie jest tak źle, żeby od razu wołać księdza. Patrząc po celi, odnotował jeszcze w pamięci miejsce, w którym mocno okratowane okno rzucało nieco światła.

— Chodź chłopcze i wypowiadaj się — zaczął dziwnie cicho i spokojnie, duchowny. — Chodź, już ci niewiele czasu zostało do pojednania z Bogiem.

— Nie chcę! Weźcie go stąd! Do lekarza miałem iść, nie do księdza. Weźcie mnie... Co on mówi? Czy to znaczy, że wy mnie dzisiaj chcecie... Już, zaraz?

Chwycony mocno pod rękę nie stawiał oporu. Drzwi na przeciwko, były otwarte. Zrobił kilka kroków, przeszedł wysoki próg i znalazł się w dużym piwnicznym pomieszczeniu. Przez chwilę zdawało mu się, że niczego nie widzi, że stracił wzrok. Po sekundzie zaczął rozróżniać kontury czterech siedzących postaci. Stał przed podłużnym stołem. Na zielonym pluszu spoczywały — ręce i karta papieru. Czyje to ręce? Palce wędrują w kierunku kartki, unoszą ją i zaczynają mówić:

— Przypominam wam, Pawle Pętla, że Sąd Najwyższy na rozprawie w dniu 12 maja 1972 roku, z powodu rewizji wniesionych przez prokuratora i przez obrońcę od wyroku sądu....

O Jezu, pewnie ulaskawili... Obrońca założył... Nie będą wieszac. Nie będą, szeptał coraz bardziej wstrząsany dreszczami.

— ...który skazał was za popełnienie ohydnej zbrodni na piętnastoletniej Ewie Kądali, którą zamordowaliście z pre-

medytacją, dusząc ją paskiem, a jak ten się urwał, sięgnęliście po sznur, a przedtem bijąc ją po głowie, spowodowaliście pęknięcie czaszki i wylew krwi do mózgu...

I po co to wszystko, panie prokuratorze, wiem za co mnie skazali. Szybciej, szybciej, ponaglał w rozproszonych myślach, szybciej o ulaskawieniu.

— ...sąd więc zmienił zaskarżony wyrok w orzeczeniu o karze łącznej i karze za przestępstwo z art. 148 § 1. kodeksu karnego w ten sposób, że za to przestępstwo i łącznie wymierzył wam karę śmierci z pozbawieniem praw publicznych na zawsze...

Na zawsze? Kara śmierci? No, tak! Toż o tym wiem, dlatego siedzę na oddziale specjalnym. Ale, co dalej, co dalej? — pytał, patrząc na ręce, które sięgnęły po stojącą gdzieś z boku aktówkę i wyjęły z niej następny papier. Bielusiński. Stał tak blisko, że... zauważył tłoczoną w papierze pieczęć. Pewnie taki gruby, bo czerpany. Tylko na takich eleganckich można ulaskawiać.

— Przeczytam wam teraz — mówiły ręce znad stołu — uchwałę Rady Państwa z dnia 5 lipca 1972 roku. — Ręce uniosły się nieco wyżej, więc też podniósł wzrok i zobaczył zmęczoną twarz, starego człowieka. Zdawało się, że mrugnął do niego. Tak! Teraz po raz drugi i trzeci. I to ciągle tym samym okiem. Lewym. Znad okularów, bo głowę miał pochyloną nad czerpanym papierem. Znaczący się — dobre nowiny, skoro mruga. Wał pan do końca, ale szybko, bo jakoś mi zimno.

— Rada Państwa — zaczął prokurator — postanowia: nie skorzystać z prawa łaski w stosunku do Pawła Pętli, skazanego wyrokiem Sądu Wojewódzkiego, częściowo zmienionym wyrokiem Sądu Najwyższego na łączną karę śmierci oraz karę dodatkową pozbawienia praw publicznych na zawsze. Podpisano...

Tych słów Paweł Pętla już nie słyszał. Runął na betonową posadzkę. Osoby siedzące za stołem wstały. Naczelnik więzienia zrobił przejście lekarzowi, który podszedł do nieprzytomnego. Oddziałowy przyniósł kubek wody. Lekarz chlusnął nią w twarz leżącemu.

Ocknął się i czuł, że unoszą go czyjeś ręce. Z trudem składał rozszalałe myśli. Cisza. Słyszysz ogłuszającą ciszę. Za stołem siedzi trzech mężczyzn. Obok niego dwaj inni stoją i trzymają go za łokcie. Widzi po prawej stronie zamurowane okno. Wszędzie mury: Zamurowane oczy, zamurowane uszy, cały świat zamurowany.

— Potrzebujecie jeszcze czegoś? — pyta ten w okularach. Pętla nie rozumie pytania, więc prokurator powtarza. — Możecie teraz o coś jeszcze poprosić, o papier, by list napisać, albo o papierosa...

— Tak! — krzyczy Pętla — papierosa... Papierosa i księdza. Księdza chcę! Chcę iść do niego...

— Już tam byliście przecież, przerywa prokurator. Drugi raz nie wolno.

— Jak to nie wolno? Co nie wolno, wypowiedzieć się? A skąd ja mogłem wiedzieć, że chcecie mnie wieszać? Oddziałowy mówił, że do lekarza. Kłamał. Nawet w takiej chwili kłamał. Skąd mogłem wiedzieć, po co ksiądz... A teraz muszę z nim pogadać. Muszę!

Prokurator skinął przyzwalająco głową. Naczelnik uniósł ze zdziwieniem brwi, nic jednak nie powiedział. Strażnicy poprowadzili Pełkę do celi, w której był przed pięcioma minutami. Ukląkł teraz przy duchownym, a czując dłoń na swojej ogolonej głowie, przyłożył twarz do jego kolan. Nie mówił nic. Czuł uspokojenie. Te ręce kołysły. Nigdy nie czuł ciepła rąk. Nigdy nie było miejsca na matki kolanach. Wrzask, głód, bicie i wyganianie z domu. Co roku inny mężczyzna w chałupie. Do czasu, aż podrośli z bratem i byli na tyle silni, by pijanego traktorzystę z pegeeru, wyrzucić nagiego na śnieg. Leczyli go potem we wsi przez całą zimę, ale w domu był już większy spokój. Na drugi dzień po tym zdarzeniu przyszedł do nich najpierw posterunkowy, a później ksiądz. Byli za młodzi, by odpowiadać przed prawem, a matka wymigała się wariackimi papierami. Już wtedy leczyli ją doktorzy od rozumu. Posterunkowy swoje załatwił w pół godziny. Ksiądz został na cały wieczór. Z matką się nie dogadał. Z Pawłem też nie. Natomiast Jan, brat-bliźniak, przyłgał do słów proboszcza. Paweł szedł na wagary, a wieczorem z kolegami podszcypywał dziewczyny, Jan po lekcjach biegł na plebanię. Zaczął służyć do mszy, a po jakimś czasie został w klasie prymusem. Paweł zaś utrwał wiedzę po dwa lata w jednej klasie i dojrzał aż do czwartej. Uważał, że tyle do życia wystarczy. I poszedł w świat. Po tygodniu okradł sklep monopolowy, a później dwa kioski. Łatwo poszło. Nie miał gdzie spać. Włazł więc na czyjś strych i tam go złapali. Oskarżony o kradzież bielizny, ponieważ nie pracował i prowadził pasożytniczy tryb życia, dostał dwa lata bez zawieszania.

— Ale ja, proszę księdza tej bielizny nie chciałem ukraść. Podnosi głowę i patrzy w twarz duchownego. Nie widząc żadnej reakcji, powtarza: — Skazali mnie niesłusznie. Fakt, że wódkę ze sklepu ukradłem, papierosy z kiosku też, ale nie za to mnie skazali. I posadzili. Wtedy poznałem starego Rączkę. Nie zna ksiądz? Przecież jego właśnie tutaj wieszali... Przez jakiś czas usługiwałem mu, bo mnie polubił. A jak poznał mnie lepiej, zaczął uczyć złodziejskiego fachu. Siedzieliśmy tak długo razem, aż przyszły papiery, w których stało, że Rączka, to recydywista. Wtedy nas rozdzielono. Spotkałem go później na wolności i zaczęliśmy razem robić. Jaką on miał głowę! Wszystko wymyślił. Złapali nas razem na włamie, a on potrafił w nocy zorganizować ucieczkę z posterunku.

— Chłopcze, przerywa ksiądz, mówisz o swoim nędznym życiu i chwalisz się tym. Wzbudź żal za swe czyny, za niegodziwe życie. Za to zwłaszcza, coś popełnił ostatnio. Okrutną była ta zbrodnia...

— Ale ja nie wiem, co to żal. Nigdy nie byłem w kościele. Ani na religii. Nigdy się nie modliłem.

— Miałeś trudne życie, w którym zabrakło przewodnika. Twój brat go znalazł. Czyli, że można było iść inną drogą.

— Co to za droga. Pracuje w pegeerze, ma czwórkę dzieci i żonę co nim pomiata. Co to za życie? Ja to przynajmniej użyłem.

— Teraz rozumiesz, że źle postępowałeś, że czyniłeś innym krzywdę?

— Kto by tego w tym miejscu nie zrozumiał. Wiem to, ale taki pusty jestem w środku. Nic ze mnie nie zostało, tylko pustka. Chyba już nie mam czasu na nawrócenie...

Podnosi głowę. Obok stają strażnicy. Wstaje. Wchodząc na chwiejących się nogach do przedsionka celi śmierci, widzi teraz więcej. Drewniany mały stolik w rogu, naprzeciwko stołu, przy którym siedzą prokurator, lekarz i naczelnik więzienia. Na nie heblowanych deskach leżą kartki czystego papieru, ołówek i metalowy kubek. Obok stolika postawiono taboret. Spojrzał jeszcze bardziej w prawo i zauważył czarną kotarę, spoza której światło rzucało silny cień na nie zakryte materiałem schodki. To pewnie tam, pomyślał. A ten obcy, czerwony na twarzy, stojący przy kotarze, to pewnie kat. On będzie mnie wieszał? Na tę myśl ogarnęły go potworne drgawki.

— Dajcie mu coś na uspokojenie, mówi naczelnik.

Kat podchodzi do stolika i przynosi tabletkę oraz metalowy kubek z wodą. Podaje Pełce, który jednak nie może o własnych siłach utrzymać naczynia. Zębami dzwoni o metal, z trudem przelżykając tabletkę i wodę. Widzi dłonie kata. Popękane i obrzmiałe.

— Przed wykonaniem wyroku możecie jeszcze napisać list do rodziny, informuje prokurator.

— A papierosa też dostanę?

Siada na taborecie wciągając głęboko w płuca dym z ekstramocnego. Próbuje się skupić. List. Tak, powinien napisać. Ale do kogo. Do matki? Nie! Do brata też nie. Nawet nie odpisał, gdy go prosił o przysłanie ciepłej bielizny. Józefa? Z nią już jest rozliczony. Nic nie jest jej winien. Nic. Słyszy za sobą zniecierpliwione głosy mężczyzn. Nie spieszy się jednak. Specjalnie przedłuża ostatnie chwile. Peł parzy palce. Nie wyrzuca go. Z jakąś okrutną satysfakcją odbiera ból przypiekanej skóry. W końcu dusi ogień między palcami.

Wstał. Zauważył jakieś zmieszanie na twarzy prokuratora. Za prawe ramię trzyma go oddziałowy, za lewe, kat. Ktoś stojący za zasłoną, odsunął kotarę. To jest ich dwóch, pomyślał. Ten, co rozsuwał czarny materiał, podszedł do ściany, tak jakby chciał coś sobą zasłonić.

Pomieszczenie, do którego weszli, jest małe. Patrzy na podłogę. A gdzie jest ten szafot, podwyższenie? Uniósł głowę. Pod sufitem wisi, duży, metalowy blok, z którego dynda lina, zakończona pętlą. Ciągnąć mnie będą do góry?

Kat sięga po linę, chwilę przy niej manipuluje i zakłada mu na szyję. Szorstki sznur ociera skórę. Sznur, szorstki sznu... Podobny zakładał wtedy na szyję dziewczyny, gdy urwał się pasek. Jeszcze żyła. Jej oczy prosiły, uciekały gdzieś do środka, zaszyły mgłą. Mocniej zacisnął dwa końce. Zawiązał raz i drugi.

Drży cały, choć trzymają go silne ręce dwóch mężczyzn. Ten trzeci, stojący przy ścianie, wykonuje gwałtowne ruchy nogą. „A jak ci założą sznur na szyi, to ze strachu się zersasz — błakają się po głowie słowa Rączki — musisz od tego uciec... — usłyszał i podskoczył w górę, podciągając, jak najwyżej kolana.

W tej samej chwili kat uporał się z zapadnią. Podłoga otworzyła się i stopy wisielca nie natrafiły już na oparcie.

— Ale cwaniak — odezwał się milczący dotąd kat — sam się powiesił. A tę zapadnię — zwrócił się do naczelnika — to trzeba naprawić. Ciągłe się zacina. W ogóle źle skonstruowana.

**KONIEC**

# ZAGADKI CHROMOSOMU Y

STANISŁAW ZAJĄCZEK

Już od czasów mitycznego Hermafrodyty zagadki płci budziły zainteresowanie, ba nawet sensację. O ile jednak inne dziedziny przyrodznawstwa dokonywały w ciągu stuleci wolniejszego lub szybszego, ale stałego postępu to w tej budzącej tak wiele sensacji, sporu, nie zmieniało się nic przez stulecia.

Dopiero rozszyfrowanie w pierwszej połowie naszego wieku praw rządzących dziedzicznością pozwoliło z całą pewnością ustalić, że zasadnicze określenie płci dokonuje się w momencie zapłodnienia, a jej determinantami są przekazane przez ojca i matkę elementy jądra komórkowego, zawierające zgrupowane strukturalnie jednostki dziedziczenia, połączone w wyraźnie odróżnialne w strukturze komórki elementy — tzw. chromosomy. Każda komórka powstająca w wyniku zapłodnienia zawiera parzystą ilość chromosomów; połowa z nich wraz z zawartymi tam wyznacznikami cech-genami pochodzi od ojca, a połowa od matki. Typowa komórka ludzka zawiera 46 chromosomów, a zatem powstaje z połączenia dwu płciowych komórek 23 chromosomowych. Okazało się dalej, że wśród tych 46 chromosomów jedna z par u mężczyzn jest różnokształtna, a u kobiet identyczna. Zależność ta jest zwykle regularna i obejmuje nie tylko człowieka, ale z pewnymi wyjątkami niemal wszystkie zwierzęta. Ustalono zatem, że w wyniku zapłodnienia mogą się spotkać m.in. dwa jednakowe, dość duże chromosomy, określane symbolem X i w takim przypadku przychodzi na świat potomek płci żeńskiej. Jeśli w składzie chromosomów określających płeć znajdzie się tylko jeden X, a w miejsce drugiego występuje mały o całkowicie odmiennym wyglądzie chromosom, nazywany Y, rozwija się potomek męski. Komórki jajowe są zatem genetycznie jednolite, a odmiennosc w sposób niemal całkowicie losowy wprowadza komórka ojcowska, która może być bądź nośnikiem chromosomu X bądź Y. Stwierdzenie powyższych faktów wydawało się w sposób ostateczny rozwiązywać zagadkę determinacji płci.

Wkrótce jednak okazało się, że zagadnienie jest bardziej skomplikowane. Znana już sytuacja wyjściowa nie pozwalała przecież jeszcze na określenie mechanizmów i kolejnych etapów warunkujących określone zależności biochemiczne, w tym bardzo złożone współdziałania poszczególnych hormonów, a także tworzenie się w czasie rozwoju zarodka skomplikowanych struktur anatomicznych. Znajomość ogólnych zasad dziedziczenia pozwalała co prawda przyjąć, że oba chromosomy zawierają odmiennie jednostki dziedziczności, znane jako geny, które poprzez swoje kierunkowe działanie wywołują określone skutki — biochemiczne i strukturalne. Kłopot pojawił się dopiero wtedy, kiedy owe hipotetyczne geny trzeba było zmapować, tj. określić sens ich

biologicznego działania i położenia w chromosomach. O ile dla chromosomów X zagadnienie było stosunkowo proste: w ich obrębie występują m.in. geny dwu rodzajów hemofilii, choroby polegającej na znacznie utrudnionym krzepnięciu krwi (w tym jeden od czasów królowej Wiktorii znany w wielu rodzinach spokrewnionych monarchów europejskich), geny choroby uniemożliwiającej rozróżnianie barw (daltonizm), a wśród wielu innych także geny prawdopodobnie odpowiedzialne za sterowanie hormonalne charakterystyczne dla płci żeńskiej; to dla „męskiego” chromosomu Y sprawa okazała się bardziej skomplikowana. Pomimo bowiem wielokierunkowych i żmudnych poszukiwaniach nie udało się przez wiele lat odszukać bodaj jednej cechy, która byłaby w sposób niewątpliwy warunkowana genem zawartym w chromosomie Y. Stąd też wielu badaczy określało Y jako „niemy”, „genetycznie pusty”, nie bardzo przy tym wiedząc czemu właściwie służy jego obecność w komórkach połowy całej ludzkości.

Dalsze komplikacje wprowadziło wykrycie szeregu chorób związanych z zaburzeniami liczby bądź struktury chromosomów płciowych. Okazało się np. że obecność dodatkowych chromosomów X u kobiet wiąże się często z niedorozwojem i bezpłodnością, natomiast dodatkowy chromosom X u mężczyzn przy pewnych cechach nieprawidłowych, pozwala jednak zasadniczo rzecz biorąc na rozwój w kierunku płci męskiej. Sensację, także i w prasie codziennej, wywołało wykrycie przez angielską badaczkę, Patricję Jacobs zaburzenia polegającego na obecności u mężczyzny dodatkowego chromosomu Y. Ponieważ pacjentów owych odnaleziono w grupie kryminalistów — recydywistów, sugerowało to, iż obecność dodatkowego Y sprzyja agresywności psychicznej, która może prowadzić na drogę przestępczą. Od takiego stwierdzenia był już tylko krok do obwieszczenia przez prasę brukową o odkryciu „chromosomu zbrodni”. Dalsze badania pozwoliły jednak stwierdzić, że i wśród mężczyzn, którzy nigdy nie weszli w konflikt z prawem, a także w życiu codziennym nie wykazywali cech nadmiernej konfliktowości można stwierdzić co prawda nieco rzadziej, nosicieli dodatkowego Y. Sprawa pozostanie zatem nadal otwarta, pojawiły się nawet opinie, że stwierdzenie u dziecka dodatkowego Y, obdarzając owym niezwykle piętrem, może narazić go niejako profilaktycznie na niezwykle zabiegi wychowawcze i w ostatecznym wyniku doprowadzić do wyobcowania z prawidłowego społeczeństwa.

Największą jednak sensacją było opisanie przed kilkunastoma laty przez francuskiego badacza de la Chapelle'a mężczyzn, których chromosomy zaprzeczały wszystkiemu co wiadomo było dotąd na temat determinacji płci. Badacz ten opisał ni mniej ni więcej dwudziestu zgromadzonych z wielu wyspecjalizowanych klinik mężczyzn, u których, pomimo najstaranniejszych poszukiwań udało się stwierdzić wyłącznie komórki z żeńskim zestawem chromosomów XX. I mimo wielu spekulacyjnych wyjaśnień wydawało się, że cała nagrodzona z takim wysiłkiem wiedza rozpadła się w gruzy.

Wiadomo było, że obecne w chromosomach X geny wywołują powstanie określonych sygnałów chemicznych, które działając na istniejące w mózgu rozwijającego się płodu centra produkujące hormo-

ny, powodują ich rytmiczną, a więc charakterystyczną dla płci żeńskiej aktywność. Każdy zatem rozwijający się płód, niezależnie od posiadanych przez niego chromosomów jest w sensie hormonalnym (w pewnym uproszczeniu) żeńskim. Jeśli jednak drugim z chromosomów płci jest Y, na nieznaną drogę występuje przestawienie owej „żeńskie”, cylicznej aktywności hormonalnej na stałą, warunkującą następnie rozwój płodu męskiego. Czemu zatem dwudziestu pacjentów de la Chapelle'a rozwinęło się z niewielkimi tylko odchyleniami jako mężczyźni?

Rozwiązania paradoksu dostarczyła, jak to często bywa, inna dziedzina biologii. W tym samym okresie prowadzono bowiem na całym świecie badania zjawisk związanych z przyjęciem lub odrzuceniem przeszczepów. Wiadomo już było, że komórki posiadają szereg elementów, które podobnie jak określone składniki bakterii lub krwinek czerwonych (odpowiedzialne za tzw. grupy krwi) przeniesione wraz z komórkami od innego organizmu rozpoznawane są jako obce, a rozpoznanie i niekiedy niszczenie tych obcych elementów zachodzi za pośrednictwem syntetyzowanych w organizmie białek wybiórczo działających białek przeciwciał. Wśród wielu takich elementów, znanych jako antygeny zgodności tkankowej odnaleziono także antygen występujący u myszy samców, który u samic powodował powstanie swoistych przeciwciał i odrzucenie np. przeszczepu skóry. Nic jednak nie zapowiadało sensacji; ogół uczonych potraktował te wyniki jako jedno z wielu, ani mniej ani bardziej interesujące aniżeli pozostałe dotyczące zgodności tkanek. Wybuchła ona dopiero kilka lat później, kiedy zespół kierowany przez Wachtela przekonał się, że ów męski antygen ma znaczenie uniwersalne, tzn. występuje u wielu ssaków na różnych szczeblach hierarchii ewolucyjnej w tym także u człowieka. Pojawia się on na powierzchni większości badanych komórek męskich, a przeciwciała wyprodukowane np. przez mysz samią reagują równie wyraźnie z komórkami mysiego samca jak i mężczyzny. Z jednym tylko wyjątkiem — grupy mężczyzn wykazujących, bardzo dyskretne braki strukturalne w chromosomie Y i to określonym jego rejonie. Antygen ten okazał się być nie tylko znacznikiem płci męskiej, ale jako produkt genu zawartego w tym właśnie rejonie chromosomu Y, jest także chemicznym czynnikiem regulującym analogicznym jak rozpoznanie wstępnie produkowane przez X — rozwój tkanek w kierunku struktur i hormonalnych czynności męskich. Ów antygen — znany obecnie pod nazwą H-Y, powoduje np. że rozwijający się poza organizmem w sztucznej pożywce niezróznicowany fragment odpowiedniej tkanki, przebudowuje się w strukturę odpowiadającą męskiemu jądro, podczas gdy taki sam fragment tkanki pozostawiony sam sobie kształtuje się w strukturę jajnika.

Nie było więc niespodzianką, że badania wykonane u mężczyzn XX pozwoliły na wykazanie u nich obecności antygeny HY, a w ślad za tym niewielkiego nadmiaru jednego z X, który okazał się fragmentem chromosomu Y, wbudowanego tam na skutek zaburzeń w podziale poprzednich generacji komórek.

Wyjaśniono zatem pozorną niezgodność, rozszyfrowano także przynajmniej jeden z mechanizmów powodujących powstanie cech określonej płci. Jest jednak pewne, że ten najbardziej zagadkowy z 46 ludzkich chromosomów — „puasty” i „niemy” Y, kryje w sobie jeszcze wiele niespodzianek.

# DEBIUT

CEZARY KOWALSKI

## **Brano do rąk ciężkie dojrzałe grona**

w winnicach czekano na zbiory  
a każdy czekał inaczej  
rozmuchując węgle gwiazd

słowa wymawiane tak różnie  
znaczyły jedno

nie śmiali się  
z autostrad zwiastujących ważne  
niepojęte oddalenia

i tylko bicie kurantów  
łączyło  
żarliwość ich pragnień





Piękne jest Tele-Echo z panią Irką

**Dziedziec,**  
że aż bierze ochota, żeby z nią posiedzieć  
i powiedzieć jej wszystko, o co się zapyta,  
bo dosyć jest przystojna, ładna z niej  
kobita.

Dla wielu twórców niedzielnych symbolem popularności i sławy jest towarzystwo Pierwszej Damy TVP, inni po starym marzą, by ujrzyć swe nazwisko w gazecie. Jednak tak naprawdę nobilituje i mobilizuje dopiero antologia. Świadczą o tym emocje towarzyszące wydanej w tym roku księdze Jana Szczawieja „Poeci robotnicy”. Po odkryciu setki poetów ludowych niestrudzony animator rozbudza środowiska przemysłowe. Jeden ze stu trzydziestu nowo wykreowanych twórców odgrywa się stróżom estetycznych wartości, że robotnicy chwycili pióro do ręki i już go nie popuszczają. Brzmi to jak zapowiedź głębokich zmian w obrazie polskiej literatury współczesnej.

Bez wątplenia mniejsze ryzyko podejmowałam wyzwalając lawinę szlachetnej grafomanii, kiedy to wspólnie z Aliną Głowacką, autorką magazynu dla wsi „Kiermasz pod Kogutkiem”, nadawanego w programie pierwszym PR ogłosiliśmy na początku roku 1978 konkurs na debiut. Regulamin nie przewidywał wydania żadnego almanachu. Uczestnicy konkursu nadsyłać utwory świadomi, że specyfika patronującej firmy nie zapewnia przejścia do nieśmiertelności. Co najwyższej ich dzieła przez krótką chwilę zabrzmiały w eterze i pójdały w niepamięć.

Konkurs organizowany dla mieszkańców wsi zainteresował także sporą grupę autorów, których jedynym sprzętem gospodarczym była maszyna do pisania. Ich nieludowa świadomość poetycka manifestowała się upodobaniem do wiersza wolnego i opatrywaniem maszynopisów pieczętką z nazwiskiem. Pierwszeństwo przysługiwało tym razem kartkom zapisanym nieporadnie, często ołówkiem, choć i one budziły wątpliwości — twórczość ludowa? samorodna? czy po prostu amatorska?

Jakie przyjąć kryteria oceny? Czy teoretyczne ustalenia z lat czterdziestych i pięćdziesiątych jeszcze obowiązują? Czy „stan rolniczy” nadal po swoim odczuwa sprawy życia? Profesor Pigoń pisał, że „twórcy ludowi tkwią w owym wielkim, tradycyjnym strumieniu wątków prastarych, co chwila się po nie schylają, z nich pełnymi dłońmi czerpią”. Ale już Stanisław Czernik frasował się postępującą rozbieżnością między bezimienną pieśnią ludową (której artyzmu opisał w „Starym złocie”), a pisanymi utworami dawniejszych i współczesnych poetów ludowych. I formułował surową opinię: „Poezja ludowa współczesnych i dawniejszych poetów wiejskich jest tylko naśladowczym prymitywem poezji „literackiej”, niewolniczym stąpieniem po udeptanych ścieżkach, wtórowaniem, powielaniem przygodnie poznanych i dostępniejszych wątków, bez gry fantazjotwórczej, bez poważniejszego stosunku do ujęć formalnych, bez własnej myśli”.

Gdyby poprzestać na antologii Szczawieja z r. 1967, można ten sąd uznać

za słuszny. Ale istnieją przecież wydawane przez LSW od r. 1970 tomiki ludowych artystów, które są świadectwem interesującej ewolucji ludowych form ekspresji artystycznej od folkloru (rozumianego jako światopogląd warstw zdeprecjonowanych) poprzez walczącą chłopską literaturę samorodną do literatury partnerskiej. Tak widzi współczesny stan pisarstwa chłopskiego Roch Sulima, na ostatnim etapie ewolucji obserwuje liryzację poezji. Powojenna twórczość ludowa jest według niego autodefinicją literacką, pojawia się w niej moment samooceny artystycznej, troska o poezję, o wiersz.

W naszym radiowym konkursie nie doszło do odkrycia nowej Hanki Nowobielskiej, Becińskiego czy drugiego Pocka. Pięć nazwisk zasługuje jednak na uwagę. Przedstawię je w dalszej części tej relacji, teraz pora na uwagi ogólniejsze natury.

Nadesłane listy (dwieście pięćdziesiąt pięć) potwierdzają tradycyjną geograficę twórczości ludowej. Najpełniej reprezentowane były: Lubelskie, Podhale i Kielecczyzna. Dalsze miejsca zajęły Górny i Dolny Śląsk. Z regionów nadmorskich otrzymaliśmy tylko trzy listy, w tym dwa od chłopców z podsta-



wówki. Zgłosili się członkowie Stowarzyszenia Twórców Ludowych jak i osoby po raz pierwszy startujące po poetyckie wawrzyny.

W obszernych listach słuchacze dawali wyraz twórczym ambicjom w rozmaity sposób. Określali swoje wiersze jako staroświeckie, niedopracowane, zgrzebne, niemodne. Wielu prosiło, by w razie publikacji nie podawać ich nazwiska („sąsiedzi by mieli uciechę”). Publiczne przyznanie się do składania rymów jest w licznych przypadkach jednoznaczne z ujawnieniem słabości oddawania się niepoważnym zajęciom.

Gospodyni z Jabłonnicy przesyła wiersze z następującą prośbą:

Jeśli warte, to posłucham z Wami, mili,  
jeśli kiepskie, byście pamięć o nich  
zagubili,  
a mnie „wiejską Polkę” nie ośmieszyli.

Zdarza się i humorystyczne potraktowanie faktu wystąpienia na antenie oraz przewidywanych skutków „wy różnienia”:

Hej, męczą się biedacy aż im pióra  
piszcza,  
by w redakcji dali im notę wyższą.

A gdy biedak swój wiersz na antenie  
usłyszy,  
to już nikt go nie uciszy.

Jedna z nagrodzonych słuchaczek odpowiada autorowi słańcemu uroki konwersacji przed kamerą:

O Irenie Dziedzic mnie tam się nie marzy.  
Tele-Echo nie dla takich wierszyko-  
-kleciarzy.

Może zbierze pani Dziedzic kiedyś nas bez  
liku  
i postawi przed kamerą, a my —  
ani be ani me ani kukuryku.

Śpiewak ludowy z Kieleckiego zestawia swoją twórczość z dziełem pierwszego Wieszcza i do takich wniosków dochodzi:

Któż z Mickiewiczem dziś równać się może?  
On był szlachcicem, kochał się we dworze.  
Dzisiaj dworów nie ma, żyje się inaczej.  
Ja sam, choć śpiewam, to śpiewam  
prostaczej.

Z nadesłanych na konkurs utworów wynika, że na wsi dzisiejszej czas człowieczy nie jest, jak za Reja — „jako rok biejący na czworo rozdzielon”. Tematy dyktował naszym korespondentom inny kalendarz. Przed Świętem Pracy (konkurs trwał od stycznia do grudnia) nadsyłano wiersze pierwszomajowe, potem przyszedł czas na hymny do Matki, lipiec wyzwał uczucia patriotyczne, wreszcie ożywały wspomnienia partyzanckie, w których „bój” rymował się ze „znojem”.

W komentarzach nadawanych w trakcie trwania konkursu usiłowalam odwieść słuchaczy od czczenia i obchodzenia, zachęcając do rozejrzenia się po obejściu i najbliższej okolicy. Pojawiała się obficie wierszowana publicystyka, doraźna interwencja, wiersze zawierające apel, przesłanie moralne.

Co go tam pcha? Jakże kierują nim żądze?  
Jakie myśli chowa w ukryciu?  
Czy tam łatwiejsze pieniądze?  
Czy łatwiej da sobie radę w życiu? —

pyta zatroskany gospodarz ze wsi Żaręka w wierszu „Apel do młodzieży uciekającej ze wsi do miasta” i takie wyklada racje:

Na wsi jest także kulturalne życie,  
dużo pracy, nikt się nie nudzi.  
I każdy niech w to wierzy niezbitcie,  
że wieś też potrzebuje fachowych ludzi.

Gospodyni z Jabłonnicy protestuje przeciw harcom w miejscowym Domu Ludowym, które zakłócają spokojem mieszkańcom tradycyjnie spędzającym wolny czas:

Baby tańczą bugi-lugi  
a strażacy, ci pijacy,  
przewracają się po kątach.  
Wnet się zmieni ta hulanka  
w lament wielki i płkanie,  
gdy w tej Jabłonnicy Polskiej  
drugi Dom Ludowy stanie.

Ponad partykularne interesy wznosi się autor apelu

Wzywam ludzi do miłości i zgody  
Niech w szczęściu żyją narody.

c.d.n.

## PORTOWE PROBLEMY I PERSPEKTYWY

### JĘDRZEJ PORADA

Każda wycieczka do portu morskiego pozostawia na przybyszach z innych rejonów kraju, a nawet na mieszkańcach miast portowych duże wrażenie. Bezpośrednia bliskość oceanicznych kolosów, las żurawi portowych, suwnic, wysokie nabrzeża, elewatory, setki wagonów kolejowych, kontenerów, beczek, skrzyń, hałdy nie znanych surowców... pozorny bezruch. A jednak wszystko tętni życiem, w dzień i w noc, codziennie według ściśle ustalonego rytmu i planu. Ludzie nie związani z pracą portu na ogół nie podejrzewają, jak skomplikowanym systemem techniczno-ekonomicznym jest współczesny port morski. W żadnym innym kompleksie przemysłowo-transportowym nie ma tak dużej koncentracji i różnorodności środków transportu, koncentracji ładunków, różnorodności i zakresu usług, a w związku z tym różnorodności problemów technicznych i organizacyjnych. I jeśli, w ekonomicznym bilansie kosztów przewozu masy ładunkowej, transport morski jest o 40—45 proc. tańszy od kolejowego, 30—35 proc. od rzeczno i wielokrotnie tańszy od samochodowego, niemałą zasługę mają w tym porty morskie.

Powszechnie uważa się, że funkcja transportowa jest podstawową funkcją gospodarczą portu. Warunkuje ona jego aktywność usługową, handlową, miastotwórczą i regionalną oraz decyduje o jego znaczeniu w krajowych i międzynarodowych systemach transportowych.

Proces produkcyjny portu morskiego wykonywany w ramach tej funkcji obejmuje więc całą działalność od węzła drogowokolejowego, poprzez prace przeładunkowe, pilotaż i holowanie statków, zaopatrzenie do serwisu remontowego włącznie.

● Po trzydziestu latach wyciszane w prasie, radiu, telewizji, nieobecne w witrynach księgarń w kraju nazwisko Czesława Miłosza znów pojawia się na pierwszych stronach gazet, tygodników społeczno-kulturalnych, wraca do wiadomości o współczesnej literaturze. Informację o przyznaniu polskiemu poecie Nagrody Nobla przyjęto w naszym kraju z dużą satysfakcją, ale i z zakłopotaniem, bo wiedza o nim w społeczeństwie korzystającym z oficjalnych źródeł informacji była znikoma. Dlatego dobrze się stało, że zespół aktorów Teatru Polskiego w Szczecinie poprzez odczytanie wierszy Czesława Miłosza zapoznał słuchaczy z twórczością laureata Nobla 1980 r.

„Wieczór poetycki” przygotował Janusz Bukowski. W zespole znaleźli się nowi aktorzy, którzy obok już znanych z poprzednich sezonów teatralnych, na pewno po udziale w „Wieczorze poetyckim” w Sali Prób Teatru Polskiego zyskują sobie sympatię szczecińskiej widowni.



Elementy portu (a raczej systemu portowego), na które składają się różnorodne budowle i urządzenia techniczne, są ściśle ze sobą sprzężone, toteż każde zakłócenie w pracy jednego wywołuje natychmiastowe skutki w pracy całego systemu.

Funkcjonalne, czyli technologiczne powiązanie tych elementów następuje poprzez logiczny ciąg obiektów i urządzeń oraz związane z tym operacje obsługi statku i ładunku. Ciąg taki rozpoczyna się już na redzie portu i przebiega poprzez tor wodny, bazy przeładunkowo-składowe i zaplecze transportowe. Im większa specjalizacja portu, tym spójność technologiczna jego elementów mocniejsza, ale też i bardziej ograniczony zakres funkcji poszczególnych jego elementów. Nieco odrębną znaczenie mają w porcie morskim jego elementy przestrzenne wyznaczające strukturę portowego obszaru morsko-ładowego i możliwości jego rozwoju. A więc zarówno parametry toru wodnego, basenów portowych, długość nabrzeży, wielkość składowisk, pasów ochronnych, muszą ściśle funkcjonować w określonym systemie zagospodarowania i specjalizacji portu.

Rozwój gospodarczy świata i pogłębiający się międzynarodowy podział pracy związany jest ze

# KRONIKA

## morza i ziemi

● Rozstrzygnięto ogólnopolski konkurs ogłoszony przez Wyd. MON z okazji 35 rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego. Pierwszą nagrodę jury przyznało Ryszardowi Liskowackiemu za pracę „Zabijane, darowane”. Także szczecińskiemu pisarzowi przypadło w tym konkursie wyróżnienie — otrzymał je Czesław Czerniawski za pracę „Dzień dzisiejszy, dzień wczorajszy”.

● W dniach 4–5.X. br. w Teatrze Lalek „Pleciuga” w Szczecinie zaprezentował się Teatr Cieni z Francji, którego organizatorami i wykonawcami jest małżeństwo Annie i Allan Lecque. Pokazali spektakl pt.: „Koło graniste czterokanciaste”.

● 17.X. br. w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie odbyła się konferencja środowisk twórczych Szczecina z udziałem Andrzeja Wasilewskiego — członka KC PZPR, dyrektora PIW i autora książki pt. „Jacy jesteśmy”.

Tego samego dnia Andrzej Wasilewski spotkał się w siedzibie ZLP ze szczecińskimi pisarzami.

● Jury Honorowej Nagrody „Gdańska Książka Roku” 1979 w składzie: Józef Bachórz, Małgorzata Czermińska (przewodnicząca), Kazimierz Nowosielski, Tadeusz Skutnik przyznało tytuł „Gdańskiej Książki Roku” 1979 w dziedzinie poezji „Wypalonej dolinie” Teresy Ferenc, a w dziedzinie prozy, powieści „Na widoku” Bolesława Faca.

Wręczenie odznak, ufundowanych przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, przewidziane jest jak co roku w programie Dekady Pisarzy Wybrzeża.

zwiększającą się specjalizacją, integracją gospodarczą i wzrostem międzynarodowych systemów transportowych. Przykładem niech będzie tu kontenerowy system transportowy obejmujący wszystkie procesy przewozu i przeładunku od dostawcy do odbiorcy w skali międzynarodowej. Systemem tym, zgodnie z prognozami amerykańskimi, w 2000 roku będzie objęte 80 proc. wszystkich ładunków drobnicowych. W takiej sytuacji port morski staje się tylko jednym z ogniw zintegrowanego systemu transportowego, którego efektywne działanie możliwe jest jedynie przy daleko zaawansowanej unifikacji środków trwałych zaangażowanych w procesie przewozu i przeładunku (w tym wypadku kontenerów). Problem nie kończy się tylko na unifikacji technicznej, ale obejmuje unifikację i korelację ekonomiczną, organizacyjną i eksploatacyjną.

Porty morskie w coraz większym zakresie zostają włączane do tych międzynarodowych systemów transportowych, a ich przeładunkowo-składowe stanowiska obsługi statków stają się częścią integralną tych systemów. Sytuacja taka sprzyja pogłębiającej się rejonizacji i specjalizacji portów, zanikaniu uniwersalnego charakteru wyposażenia.

Najwcześniej zjawisko to wystąpiło w transporcie paliw płynnych, który od dawna charakteryzuje się wysokim stopniem specjalizacji. Nowoczesne głębokowodne porty paliw płynnych stanowią obecnie z zasady oddzielne organizmy portowe, często nawet nie powiązane organizacyjnie z portami obsługującymi ładunki suche.

Druga charakterystyczna cecha współczesnych kierunków rozwoju portów morskich wiąże się z przemysłową funkcją portów. Ta właśnie funkcja w nowoczesnych wielkich portach staje się najważniejszym czynnikiem określającym rozwiązania przestrzenne i efekty gospodarcze. Zgodnie ze wspomnianymi prognozami amerykańskimi przewozy suchych ładunków masowych w 2000 roku wzrosną prawie czterokrotnie (w stosunku do roku 1970). Ciężar tak dużej intensyfikacji przewozów spada nie tylko na flotę morską i porty, lecz i na inne środki transportu lądowego i wodnego. Zrozumiałe są więc tendencje rozbudowy przemysłu portowego pracującego na surowcach importowanych lub produkującego towary eksportowe, zajmującego coraz większe obszary na terenie samego portu lub na jego bezpośrednim zapleczu. Przykładem mogą być tu olbrzymie nowoczesne kompleksy przemysłowo-portowe we Francji i Japonii, gdzie ładunki przemysłu portowego stanowią integralną i do tego znaczną część obrotu portowego.

Wielorakie funkcje gospodarcze portu wymagają jednak zaplecza — bazy dla jego działalności i rozwoju, jaką jest miasto. Dziś już niemożliwy jest rozwój gospodarczych funkcji i specjalizacji portu morskiego bez równoległego procesu uprzemysłowienia i urbanizacji bezpośredniego zaplecza portowego, jakim jest miasto i region, a zarządzanie tak złożonym systemem techniczno-przemysłowym wymaga nie tylko nowoczesnej techniki i organizacji, ale odpowiednio przygotowanych kadr.

Należy oczekiwać, że potrzeby kadrowe w pionach technicznych i operacyjnych naszych portów i innych przedsiębiorstw uczestniczących w obrocie portowym zostaną zaspokojone przez absolwentów Wydziału Eksploatacji Portów — Wyższych Szkół Morskich w Gdyni i w Szczecinie. Działalność nowych wydziałów już się rozpoczęła, ale pierwsi inżynierowie ze specjalnością „eksploatacja portów” opuszczą mury Wyższych Szkół Morskich dopiero w 1984 roku, tymczasem problemy portowe związane z modernizacją i zarządzaniem wciąż narastają.

PIOTR FLUKS

# CZAS I OGIEŃ

Podczas jednej z moich podróży znalazłem się w Norymberdze. Miałem niewiele czasu, mnóstwo spraw do załatwienia i jak to zwykle bywa chciałem zwiedzić całe miasto. Oczywiście najważniejsze były obowiązki. Pozostałe do odlotu cztery godziny spędziłem jednak w niewielkim pomieszczeniu Muzeum Straży Pożarnej, do którego trafiłem zupełnie przypadkowo.

Muzeum posiadało bardzo wiele ciekawych eksponatów o charakterze technicznym i być może dlatego nikt nie zwracał uwagi na niepozorny, półokryty już nieco sztych z napisem „London's Burning 1666”. Na obrazie nie było płonących domów ani ludzi niosących wodę z Tamizy. Ponad dachami zabudowań miasta unosił się jedynie kosmaty Płonący Wilk z ogromnymi błyszczącymi oczami.

Kiedy zatrzymałem się na moment przed ilustracją, młoda dziewczyna — kustosz, od razu spostrzegła moje zainteresowanie tym drobiazgiem i pospieszyła z udzieleniem dodatkowych informacji. Dowiedziałem się od niej, że ten wykonany w połowie XIX wieku staloryt pochodzi z pracowni drezdeńskiego mistrza i stanowi fragment większego cyklu, z którego zachowały się: „Sacco di Roma” i „Moscow 1813”. Dziewczyna zauważyła rozbudzoną ciekawość i nie omieszkała skorzystać z tego. Zaprosiła mnie do niewielkiej pracowni i rozłożyła na stole swoje notatki.

Była to historia pewnej legendy, która mówiła o tym, że niektórzy ludzie noszą w sobie jajo Płonącego Wilka. Z rękopisów dowiedziałem się, iż przypadłość ta dotyczyła również Napoleona, i że jego adiutant pisze w swoim pamiętniku o niepokojącym błysku w oczach Cesarza w chwilach podejmowania bardzo ważnych decyzji.

Szpecially interesujące wydały mi się fragmenty notatek dotyczące mnicha Alberta, eremity z Dolnej Saksonii, żyjącego w XIV wieku, który w swoim dziele „Malum, Spiritus et Focus” wspomina o tym, jak zauważył w sobie zło, które każe mu podpalać. „Często podchodziłem nocą ku uspiionej wsi, aby opamiętać się w ostatniej chwili” — pisał pustelnik. Jak wynikało z dalszego ciągu historii, dzieła nie dokończył. Jego ciało znaleźli rybacy w rzece. Lud czcił w nim świętego widocznie rozumiejąc podświadomie motywy ostatecznej decyzji. Kościół sprzeciwiał się temu kultowi. Księża twierdzili oficjalnie, że utonął łowiąc ryby, nie dostrzegali dramatu człowieka, który nie potrafił rozwiązać dylematu moralnego.

No cóż, historia pouczająca, ale czy prawdziwa?

Na pożegnanie wymieniliśmy z dziewczyną adresy, nie przypuszczałem wówczas, że kiedykolwiek do niej napiszę.

Parę miesięcy później wylądowałem w małym norweskim porcie, trudności w ustaleniu szczegółów dotyczących realizacji pewnego zamówienia przedłużały mój pobyt. Już od tygodnia chodziłem znudzony po mieście zaglądając do okien schludnych domków, obejrzałem również wszystkie wystawy sklepów przy głównej ulicy.

Tego dnia zaplanowałem wycieczkę wzdłuż brzegów fiordu i właśnie miałem wsiąść do autobusu, kiedy przypomniałem sobie, że powinienem wrzucić list do skrzynki pocztowej. Widocznie podzielała na mnie skłaniająca do refleksji atmosfera miasteczka, gdyż kilka dni temu napisałem list do dziewczyny z Norymbergi, teraz tkwił on w wewnętrznej kieszeni bluzy. Udałem się więc w kierunku najbliższego skrzyżowania ulic w poszukiwaniu skrzynki. Nie znalazłem jej jednak ani na tym rogu, ani na następnym, ani na żadnym innym. W ten sposób doszedłem do poczty, lecz przed budynkiem urzędu również nie znalazłem skrzynki. Nie znam norweskiego, dlatego zrezygnowałem z próby wyjaśnienia tej zagadkowej sytuacji, postanowiłem wejść do środka i nadać list polecony.

Ciemna, wyłożona dębową boazerią sala była pusta. Pod staromodnym zegarem, w blasku niclego płomienia palnika spirytusowego siedziała przy kontuarze jasnowłosa dziewczyna uderzająco podobna do znajomej z muzeum zwłaszcza w tym momencie, kiedy wpisywała coś do wielkiej księgi. Gdy podszedłem bliżej zauważyłem starannie wykaligrafowane greckie litery. Wydało mi się to niezmiernie dziwne, ale spojrzała mi w oczy i zrozumiałem, że to właśnie jej powinienem oddać list.

Przylepiła piękne kolorowe znaczki i opieczętowała list dużym wyraźnym stemplem z trąbką. Potem położyła go w tyglu na trójnogu i przesunęła nad palnik. List zaświecił różowym płomieniem i zgasł. Popiół wsypana do małego glinianego naczynia z pokrywą i zalakowała. Glina była jeszcze ciepła, a pieczęć nie zastygła całkowicie, kiedy z czarującym uśmiechem podała mi urnę. Na białej wstążce odczytałem czarny napis — „adresat nieznanym”.

Nie wiem, czy wydarzenie to było jedynie wynikiem gry wyobraźni, ale kiedy wróciłem do kraju oczekiwała na mnie przesyłka z Norymbergi. Była to piękna reprodukcja Arcimboldiego przedstawiająca „Alegorię ognia”. Do paczki nie załączono jednakże żadnego listu. Reprodukcję powiesiłem w pokoju obok zegara, w ten sposób przedmioty te przypominają mi o nieustannej obecności w naszym życiu dwu groźnych, niszczących żywiołów.

Fot. Stefan Cieślak



